

Łódź  tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

PL ISSN 0472-5042

Nr indeksu 36762

NUMER 13 (1461) ROK XXIX

29 MARCA 1986 ROKU

CENA 30 ZŁ

Wiosennej pogody ducha,
także na następne pory roku
Czytelnikom i Przyjaciółom

 życzy
zespół „Odgłosów”

Miłość czyli radość dawania

EDMUND LEWANDOWSKI

Miłość jest dążeniem podmiotów do całkowitego zespolenia i oddania się. U jej podstaw leży najgłębsze i bezinteresowne uczucie. Nie ma do niej żadnego dostępu wyrachowany rozsądek, ani zimny rozum. Miłość jest namiętnością i aktywnością, a nie apatią i bezczynnością. Jest ruchem (greckie „eros” = miłość, „eroé” = ruch), a nie spoczynkiem.

W buddyzmie i stoicyzmie wzdarczano miłością, gdyż nie było tam miejsca dla wielkich namiętności. Ceniono opanowanie, umiar i spokój. Szczęścia szukano między lub ponad przyjemnością i cierpieniem. Z miłością natomiast wiąza się doznania silne i sprzeczne: rozkosz i ból, radość i smutek, nadzieja i rozczarowanie, bezpieczeństwo i lęk, sympatia i nienawiść, zadowolenie i tęsknota, śmiech i płacz. Miłość zbliża i rozdziela, buduje i niszczy. Ludzie tracą dla niej głowy, poświęcają nienie, przyjaciół, nawet życie.

Uczucia przybierają w miłości wartości ekstremalne. Miłość zniewala i uskrzydla, popycha do czynów wzniosłych bądź podłych, młota człowiekiem od udręki do ekstazy. Jedni widzą w niej samo szczęście, inni tylko zmartwienie i mękę. „Miłość jest uczuciem zbyt bolesnym” — powiada Alberto Moravia — by uczynić człowieka szczęśliwym. Prawdziwie szczęście może polegać tylko na tym, że człowiek nie czuje już nic”. Ale tak myślą ci, którzy boją się burzy namiętności, którzy cenią święty spokój i nie chcą płacić cierpieniami za rozkosze.

Miłość może być źródłem szczęścia i nieszczęścia. Odbarza nimi w tym większym stopniu, im bardziej jest szalona, irracjonalna, nieskrępowana. Kto nigdy nie kochał bez granic, ten nie zna smaku życia. Miłość upiększa świat. Nadaje mu sens najwyższy. Życie bez miłości nie jest pełnym życiem.

KORZENIE MIŁOŚCI

są głęboko ukryte w Przyrodzie, lecz korona jej sięga samego szczytu Kultury. Miłość rozpięta jest — jak człowiek — między naturą zwierzęcą a doskonałością boską. Na jednym biegunie mamy popęd instynktowy, na drugim skłonność duchową. Uczucie platoniczne nie jest jednak zaprzeczeniem fizycznego pożądania. Miłość zmysłowa, co już rozumiał Platon, jest szczytem do miłości nadzmysłowej. Świadomość udziału elementów duchowych w stosunkach miłosnych miał Watsjajana Mallanga. Pisał on: „Miłowanie to przy współudziale jaźni, słuszną skłonność myślową słuchu, czucia, wzroku, smaku i powonienia, których ostoją jest serce, ku odpowiednim przedmiotom. Rozkosz płciowa to rezultat szczególnego kontaktu z przedmiotem zmysłów. Przepelnia ją szczęście zespolenia miłosnego i owocuje nasieniem. Jest ona najpierwszą spośród innych rozkoszy, dlatego cała owa dziedzina zowie się Miłowaniem” (Traktat o Miłowaniu, L. 2 11-12).

W życiu ludzkim nie wystarcza zaspokajanie popędu płciowego i płodzenie dzieci. Ludzie potrzebują do szczęścia jeszcze czegoś więcej. Potrzebują również zespolenia duchowego. W interesujący pod względem artystycznym i psychologicznym sposób ukazał to Gabriel García Márquez. Jak pamiętamy, znakiem szczególnym Buendíów z powieści „Sto lat samotności”, było rodzinne „piętno samotności”. Członków rodu i mieszkańców Macondo rzadko nawiedzało szczęście, zyl w stanie niemal ciągłej frustracji. Dlaczego? Zdaniem samego pisarza przyczyną tego jest brak solidarności. Samotność stanowi zaprzeczenie solidarności.

Bohaterowie książki Garcíi Márqueza cierpią z powodu stłumionej miłości bądź niezdolności do kochania. Aureliano Drugi ostrzegł pewnego młodzieńca, że wszystkie dziewczęta w rodzinie Buendíów mają „serca z kamienia”. Ale wyraźnie widać, że one potrzebują miłości i chcą kochać, lecz brak im niezbędnej odwagi oraz woli przezwyciężenia niemądrej dumy, pychy i zakłamania. Amaranta nawet matkę przerażała swoją oschłością, choć naprawdę była to „najtękniejsza z kobiet”. Nikt nie wiedział, że w jej ukrytym wnętrzu toczyła się walka „na śmierć i życie między miłością bez granic a niezwykłym tchorzostwem i w końcu zatriumfował nierozsądny strach”. Miłość została sparaliżowana i wyrugowana przez irracjonalny lęk, co wywarło wpływ na dalsze losy i uczyniło życie nieszczęśliwym. Z kolei Fernanda del Carpio miała serce ze „skamieniałego popiołu”, ponieważ wychowała się w ponurym domu o tradycjach kolonialno-katolickich i w posępnym mieście, gdzie 32 dzwonników o szóstej po południu biło w dzwony żałobne, a w dodatku odebrała staranne wykształcenie w klasztorze. Kobieta ta nigdy nie miała przyjaciółki i była stracona dla „uciech tego świata”.



Foto: Grzegorz Galasiński

Ogłosy

Adres redakcji: 90-113,
Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny
36-52-44,
sekretarz redakcji,
fotoreporter: 36-80-99,
publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.

Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund
Lewandowski.

Sekretarz redakcji:
Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu
literackiego: Grzegorz Gazda.

Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Dorożyński,
Eugeniusz Iwanicki, Teresa
Jerzykowska, Andrzej
Karolczak, Roman Kubiak,
Jerzy Kwieciński, Bogda
Majewski, Andrzej Makowiecki,
Paweł Tomaszewski,
Jolanta Wronska.

Grafika: Janusz
Szamański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz
Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga,
Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:
Tadeusz Błażejowski,
Krzysztof
Drzewiecki, Bohdan
Gadomski, Witold
Kasperkiewicz, J. Stanisław
Knypl, Włodzimierz
Krzemiński, Alfred
Lutrzykowski, Władysław
Malka, Marek Mamos,
Zenon J. Michalski,
Jerzy Panasiewicz, Karol
J. Strykowski.

Wydawca: Łódzkie Wydawni-
ctwo Prasowe RSW „Prasa -
Książka - Ruch” 91-103 Łódź,
ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-
ficzne RSW „Prasa - Książka
- Ruch”, Łódź, ul. Armii
Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie za-
mówionych rękopisów i zastrze-
ga sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla
instytucji i zakładów pracy: -
zlokalizowane w miastach woje-
wódzkich i pozostałych miastach
w których znajdują się siedziby
Oddziałów RSW „Prasa -
Książka - Ruch” zamawiają
prenumeratę w tych oddziałach
- Instytucje i zakłady pracy
zlokalizowane w miejscowościach,
gdzie nie ma Oddziałów
RSW „Prasa - Książka -
Ruch” opłacają prenumeratę
w urzędach pocztowych i u dorę-
czyteli. 2. dla indywidualnych
prenumeratorów: osoby fizyczne
zamieszkałe na wsi i w miejscowościach,
gdzie nie ma oddziałów
RSW „Prasa - Książka -
Ruch” opłacają prenumeratę
w urzędach pocztowych i u dorę-
czyteli. 3. Prenumeratę za zlece-
niami wysyłki za granicę
przyjmuje RSW „Prasa -
Książka - Ruch” Centrala Kol-
portażu Prasy i Wydawnictw
ul. Towarowa 28 00-958 War-
szawa konto NBP XV Oddział
w Warszawie nr 1153.201045-
-139-11 Prenumeratę za zlece-
niami wysyłki za granicę pocztą
zwykłą jest droższa od prenume-
raty krajowej o 50 proc. dla
zleceniodawców indywidualnych
i o 100 proc. dla zlecających in-
stytucji i zakładów pracy. Ter-
miny przyjmowania prenumera-
ty na kraj i za granicę - do
dnia 10 listopada na I kwartał
i półrocze roku następnego oraz
cały rok następny - do dnia
1 każdego miesiąca - poprze-
dzającego okres prenumeraty
roku bieżącego.

Zam. 844. B-2.

Przegląd prasy

Przez wiele lat nie wspomina-
no nazwiska powojennego
prezydenta Rzeczypospolitej
Polskiej - Bolesława Bierut.
Teraz powoli zaczyna się przed-
stawić coraz pełniej tę - histo-
ryczną już przecież - postać.
„SZTANDAR MŁODYCH” w
numerze 57 z 21-23 marca
1986 roku poświęca całą kolu-
mnę Bolesławowi Bierutowi w
ramach swojego cyklu: „Prze-
puszka do historii”. Na kolu-
mnie tej znajduje się między
innymi wywiad Dariusza Szym-
czycha z badaczem dziejów
Polski Ludowej i ruchu robot-
niczego, dziekanem Wydziału
Nauk Społeczno-Politycznych
Akademii Nauk Społecznych
KC PZPR, profesorem Zeno-
biuszem Kozikiem. Jest tam też
fragment wywiadu, jaki profesor
Andrzej Burda udzielił ty-
godnikowi „RAZEM”, a w
którym wyjaśnia się

SKĄD WZIĘŁ SIĘ PRZESADA

Bolesław Bierut urodził się
18 kwietnia 1892 roku w Ru-
rach Brygidzkich pod Lubli-
nem, a dziś już stanowiących
część Lublina. Do szkoły za-
czął uczęszczać w 1900 roku.
„Słownik biograficzny działa-
czy polskiego ruchu robotni-
czego” podaje, że „uczęszczał
do szkoły elementarnej w Lub-
linie, z której został w 1905 ro-
ku usunięty za danie sygnału
do strajku szkolnego”. Warto
przypomnieć, że w 1905 roku
Bolesław Bierut miał 13 lat. W
biografii Bolesława Bieruta na-
pisanej przez Franciszka Józ-
wiaka znalazła się właśnie ta
scena, kiedy 13-letni uczeń
szkoły elementarnej rzucił ka-
lamarzem w portret cara, dając
tym hasło do strajku szkolnego
w Lublinie.

„W 1935 roku w Lublinie -
mówił w wywiadzie dla tygod-
nika „Razem” profesor An-
drzej Burda - przewodniczy-
łem sesji naukowej, w której
uczestniczył również Bierut. Je-
den z młodszych pracowników
naukowych zabrał wówczas
głos w dyskusji i w dobrej
wierze przytoczył słowa Józ-
wiaka. Bierut zaczął się kłócić
niespokojnie i poprosił o udzie-
lenie mu głosu. Mówił bardzo
ciekawie i z wielką pasją.
Przyznał, że nie tylko nie był
wówczas świadomym rewolu-
cjonistą, ale w ogóle ze spraw
politycznych niewiele rozumiał,
a i do szkoły chodził bardzo
niechętnie. To są właśnie rze-
czy wstydliwe, jeśli o żyjącym
przecież człowieku, głowie pań-
stwa wypisuje się apologety-
czne bzdury, którym on sam
musi zaprzeczać”.

Alfisi „danie sygnału do
strajku” znalazło się w poważ-
nym wydawnictwie, jakim jest
cytowany „Słownik biograficz-
ny działaczy polskiego ruchu
robotniczego”.

Zajmował się w swoim życiu
Bolesław Bierut różnymi pra-
cami. Był pomocnikiem mura-
rza, zecerem i metrampażem,
pomocnikiem geometry i bu-
chalterem. Od 1915 roku zwią-
zał się ze spółdzielczością. Na-
leżał do 1912 roku do PPS-Le-
wicy, a od 1918 do KPPR, jed-
nak nie przejawiał w tym cza-
sie większej aktywności partyj-
nej. Dopiero w 1923 roku,
gdy przenosił się do Zagłębia
Dąbrowskiego powrócił do ży-
wej działalności politycznej.
Dwukrotnie był w ZSRR, gdzie
studiował w szkołach partyj-
nych. Był w ogóle samoukiem.

Jak wspomina jego córka A-
leksandra - córka Małgorzaty
Fornalskiej i Bolesława Bieru-
ta - Bolesława Bierut „miał
dla nauki ogromny szacunek, a
także nawiązywał do nauki
studium. Każdą wolną chwilę
spędzał czytając, z ołówkiem i
notesem. Zapisywał w nim
swoim charakterystycznym,
równoległym, drobny pismem
uwagi i myśli, które na-
słuchiwała mu lektura. Studia od-
bywał w najdłuższych wa-
runkach - jako zecer w dru-
karni, jako geometra przebie-
rając z Janem Hemplaem pola
Lubelszczyzny i dyskutując za-
wzięcie o etyce Ramajany, w
warunkach konspiracyjnych, w
więzieniach i za granicą - a
zawsze stanowiły one pasję i

wielką ludzką przygodę Jego
życia”.

Po studiach w partyjnej
szkole w ZSRR działał z ra-
mienia Międzynarodówki Ko-
munistycznej w Austrii, Cze-
chosłowacji i Bułgarii.

W 1932 ROKU W ŁÓDZI

pełnił obowiązki sekretarza
Komitetu Okręgowego KPP,
potem był sekretarzem KC
MOPR i w 1933 roku został a-
resztowany, skazany na 7 lat
więzienia, a w 1938 roku wy-
puszczony na wolność na pod-
stawie amnestii. Wojnę spędził
na Ukrainie i Białorusi. W
1943 roku został wezwany do
powrotu do Warszawy, wszedł
w skład KC PPR, redagował
„Trybunę Wolności”, a 1 sty-
cznia 1944 roku został prze-
wodniczącym KRN. Od lipca
1944 roku był prezydentem
KRN, a w 1947 roku został wy-
brany prezydentem Rzeczy-
pospolitej Polskiej.

„Prezydent - mówi w wy-
wiadzie dla „SM” profesor Ze-
nobiusz Kozik - mógł zrobić
to, na co nie stać było żadnego
przywódcy partyjnego”. I tak
z jego inicjatywy Jerzy Borej-
sza jeździł dwukrotnie do
Wierchosławia, aby rozmawiać
o sprawach państwowych z
ciężko już chorym Wincentym
Witołem. Tenże sam Jerzy Bo-
rejsza - prezes Spółdzielni
Wydawniczej „Czytelnik” -
pertraktował z działaczami ka-
tolickimi, a Szymon Żolna-
-Manugiewicz z Poznania z
działaczami byłej endecji. Sam
Bolesław Bierut w krako-
wskim hotelu „Francuskim”
rozmawiał z przedstawicielami
różnych środowisk, w tym z
przedstawicielem metropolity
krakowskiego arcybiskupa A-
dama Sapiehy. Były to jego
inicjatywy, ale wynikające z
konceptji PPR budowania
frontu sił demokratycznych.

„...te politykę - powiedział Z.
Kozik - z przyczyn formal-
nych, lepiej mógł realizować
funkcjonariusz państwowy niż
partyjny”. Ze względu na tra-
dycję związane z funkcją pre-
zydenta, jak też ze względu na
wielopartyjność panującą wów-
czas, latem 1944 r. kierowni-
ctwo PPR zwołowało Bolesława
Bierutę ze sprawowania funk-
cji partyjnych”. Brał wpraw-
dzie udział w posiedzeniach
Biura Politycznego KC PPR,
ale nie podawał tego do pub-
licznej wiadomości, a on sam
„przysuchiwał się dyskusji i
często zabierał głos”.

„Kiedy Bierut obejmował
najwyższy urząd w państwie -
utrzymuje Dariusz Szymczycha
w „SM” -

BYŁ NOWICJUSZEM NA SCENIE POLITYCZNEJ

Jak twierdzą niektórzy był on
działaczem małego formatu,
któremu udało się wypłynąć w
przełomowym momencie”.

Odpowiadając na to Z. Ko-
zik przypomina, że „w 1937 i
1938 roku całe kierownictwo
KPP padło ofiarą niestusznych
oskarżeń, wyroków i wyszys-
kich tego skutków”. A poza
tym - należy pamiętać -
że przecież KPP działała w
podziemiu, że była ciągle ści-
gana przez defensywę, więc jej
działalce, nawet najwybitniejsi,
nie mogli i nie powinni byli
być znani. Nawet, jeśli działali
legalnie - jak choćby Boles-
ław Bierut w spółdzielczości
- to nie ujawniali
swojej partyjnej przynależności,
gdyż groziło to aresztowa-
niem i procesem. Dopiero
„pierwsze lata Polski Ludowej,
związane są najbardziej z
osobą B. Bieruta”, jak też i on
stał się wówczas powszechnie
znanym działaczem partyjnym,
a przede wszystkim - pań-
stwowym.

Oficjalnie do czynnego życia
partyjnego Bolesław Bierut
wrócił we wrześniu 1948 roku,
kiedy to KC PPR odwołał z
funkcji sekretarza generalnego
Władysława Gomułkę, a powo-
łał na tę funkcję Bolesława
Bierutę, który był głównym
autorem referatu „O odchy-
leniu prawicowym i nacjonalist-
ycznym w kierownictwie par-
tii”. Jak twierdzi Zenobiusz
Kozik „Bierut całkowicie uo-
żamiał się z tym nowym kie-
runkiem politycznym, który
zaczął obowiązywać w drugiej
połowie 1948 roku”.

Dziś taka nagła zmiana kie-
runku politycznego może się
wydawać co najmniej dziwna.
Trzeba jednak pamiętać, że do-
konywało się to pod wpływem
zmieniających się warunków
zewnętrznych, jak i wewne-

trnych. Nastąpił trwały po-
dział koalicji antyfaszysto-
wskiej, zaczęła się zimna woj-
na, która przerodziła się w go-
rącą wojnę w Korei. Wymaga-
ło to zwarcia obozu państw
demokracji ludowej wokół
Związku Radzieckiego. Trzeba
też pamiętać, że choć Anglia i
USA poniosły wielkie nakłady
na zbrojenia i wniosły poważ-
ny wkład do zwycięstwa nad
państwami osi, to przecież
przez kilka lat wojna toczyła
się na terenach Związku Ra-
dzieckiego i kraj ten poniósł o-
gromne straty materialne, nie
mówiąc już o milionach pole-
głych i zamordowanych.

„Ale były też powody wewne-
trzne: „W Polsce, po zakoń-
czeniu planu 3-letniego, czyli eta-
pu odbudowy, po umocnieniu
się władzy ludowej, w wyniku
zwycięstwa w wyborach do
Sejmu, trzeba było rozwiązać
wiele kwestii o zasadniczym i
perspektywnym znaczeniu”.
Trzeba było jednoznacznie i
szybko odpowiedzieć na pyta-
nia: „w jakim kierunku rozwi-
jać Polskę? Jak uprzemysłowić
kraj?”. Wreszcie był problem
zjednoczenia ruchu robotniczego,
którego podział w obliczu za-
grożenia wojną, jak też w obli-
czu wielkich zadań związanych
z przebudową kraju i jego us-
troju, nie dawał się już utrzy-
mać i stał się przeszkodą w
rewolucyjnych przemianach za-
chodzących w Polsce.

„Ale - powiada Dariusz
Szymczycha - „okres ten od 30
lat nazywamy jest także okre-
sem „biedów i wypaczeń”. Jaki
był w tym udział Bolesława
Bierut?”.

JAKA BYŁA ODPOWIEDZIALNOŚĆ

pierwszego człowieka w pań-
stwie?

„Oczywiście - powiedział
Zenobiusz Kozik - pierwsza o-
soba w państwie musi ponosić
największą odpowiedzialność
przed historią. Ale trzeba od-
dzielić to, co było dobre, od te-
go, co było złe. To, co było od-
tę, co było możliwe...”

„Pracownictwo i imano nie
tylko w Polsce, więcej - to
było zjawiskiem ponadpaństwo-
wym. Związane ono było z osobą
Ławrentia Berii, ludowego ko-
misarza spraw wewnętrznych w
ZSRR. W związku z tym zjawis-
ko to nazywano „beriozowszczy-
zną”. W MPB istniał, powoła-
ny zresztą przy udziale Bierut
X Departament zajmujący się
kadrami partyjnymi, w tym
także najwyższymi. Dziś już
wiemy, że wszyscy członkowie
kierownictwa posiadali tam
swoje dossier. Podejrzewam, że
było tam również miejsce dla
Bierut”.

Istnieje przekonanie, że w
Polsce nie doszło do takich po-
litycznych procesów, jakie mia-
ły miejsce w innych krajach
demokracji ludowej, właśnie
między innymi dzięki Bolesła-
wowi Bierutowi. Aleksandra
Jasińska-Kania, córka Bolesła-
wa Bierut i Małgorzaty For-
nalskiej, w cytowanym już
wspomnieniu pisze: „Często (...)
zdarza mi się spotykać ludzi,
którzy nagle mówią mi, jak
bardzo za coś osobiste są
wdzięczni mojemu Ojcu, że go
lubili i szanowali”.

12 marca 1986 roku minęła
30 rocznica śmierci Bolesława
Bierut. Zmarł w Moskwie po
zakończonym obrad XX Zjazdu
KPZR. Było wówczas sporo
plotek i domysłów. „Nie ma do
tego - oświadczył w „SM” Ze-
nobiusz Kozik - żadnych dan-
ych źródłowych, logicznych,
ani porównawczych. W pod-
anych okolicznościach i podob-
nym czasie zmarł Klement
Gottwald, I sekretarz KC KPCh
i nie znam wokół tego żadnych
domysłów. Wiadomo, że Bierut
był chory przed wyjazdem do
Moskwy. Są dane, że choro-
wał też w czasie XX Zjazdu,
czego dowodzi jego nieobec-
ność na paru posiedzeniach.
Nie widzę więc żadnych pod-
staw do spekulacji”.

I na zakończenie: „Według
mnie - powiedział Z. Kozik -
ten etap był historycznie nie-
uchronny. Niezależnie od tego,
czy na czele partii stałby ten
czy inny polityk”. Ale też dzie-
ki temu, że tym politykiem był
Bolesław Bierut ten etap his-
torii współczesnej Polski był -
w porównaniu z tym, co doko-
nało się w innych krajach de-
mokracji ludowej - znacznie
łagodniejszy.

LUCJAN
BOGUSZ

NA WŁASNY RACHUNEK

Pokój i wiarygodność

Od czasów rozpowszechnienia się w naszym kręgu kulturowym
idei humanitaryzmu, przyznawanie się do wojowniczych zami-
arów nie przysparza politykom popularności w społeczeństwie,
którego większość zazwyczaj pragnie zżywać pokoju. Nawet
Adolf Hitler walczył o zdobycie władzy, jak i po jej zdobyciu
i jeszcze po napaści na Polskę, a także po zajęciu Francji, skła-
dał światu pokojowe oferty i zapewniał stałe własny naród, że
pokój umiłował nade wszystko, do wojny natomiast został zmu-
szony przez polskie agresywne poczynania, przez angielską poli-
tykę kontynentalną i oczywiście przez, skierowany przeciwko
Niemcom, spisek międzynarodowego żydostwa, kapitału i maso-
nerii.

Nauczyciel i mistrz Hitlera, Benito Mussolini, wswawł się
wprawdzie powiedzeniem, że wojna jest tym dla mężczyzny, czym
rodzenie dla kobiet, jednak na co dzień, mimo iż proklamował
Morze Śródziemne jako „il mare nostro” (Nasze morze), wolał
podtrzymywać wśród Włochów przekonanie o swoim zamiłowa-
niu do osuszania błot pontyjskich. Tylko bodaj trzeci sojusznik -
cesarska Japonia mniej kryła się z militarystyczną ideologią.

Czy obaj faszystowskie dyktatorzy stali się w swojej pokojowej
deklamacji niewiarygodni dopiero po rozpętanu wojny świato-
wej? Dla nieuprzedzonego obserwatora było oczywiste, że pro-
gram gospodarczego rozwoju odłożyli dyktatorzy na dalsze lata
(po zwycięskiej wojnie), a tymczasem uprawiali gospodarkę ra-
bunkową, eksploatując np. tylko łatwo dostępne złoża własnych
surowców, a zaniebując poszukiwaniom i inwestycjom dla pozyska-
nia trudnodostępnych, podporządkowując wszystko błyskawic-
nemu dobrodzeniu. Ekspert z zagranicy już wtedy byli pewni, że
Hitler, Mussolini i Mikado, jeśli chcą uniknąć krachu gospo-
darczego, a pokojowe podboje (jak np. Czechosłowacji) miałyby
ich zawiązać, muszą ryzykować wojnę. Początkowe sukcesy wo-
jenne na wszystkich frontach, m.in. radzieckim, potwierdziły, że
nieodbrojone państwa koalicji antyfaszystowskiej nie mogły od
razu stawić czoła państwom „osi”.

Pytanie o wiarygodność pokojowych intencji wielkich mocarstw
jest dziś dla całej ludzkości niesłychanie istotne, wobec niszczy-
cielskich skutków broni nuklearnej, chemicznej, biologicznej. A
więc - kto tylko deklamuje o pokoju dla uspienia czujności
świata i własnego społeczeństwa, a kto dąży do pokoju? Albo
inaczej: kto uważa, iż w jego interesie leży pokój światowy, a
kto widzi dla siebie szansę w wojnie, a przynajmniej w zbroje-
niach? Sądzę, iż dziś każdy nieuprzedzony człowiek, niezależnie
od swoich politycznych sympatii, jest w stanie wyprowadzić po-
prawne wnioski zarówno z wewnętrznej, jak i zagranicznej poli-
tyki obu mocarstw. Co bowiem mówią nagie i niepodważalne
fakty?

Prasa zachodnia różnych odcieni politycznych (pomijając na-
wet prasę komunistyczną) nie ukrywa, że od czasu objęcia wła-
dzy w USA przez republikanów, którym przewodzi prezydent
Ronald Reagan, nastąpiło raptowne zamrożenie wydatków rząd-
owych na wszelkie cele społeczne i wydatki komunalne (m.in. przez
cofnięcie dotacji dla miast), z czym w parze idą coraz większe
zamówienia rządowe dla przemysłów zbrojeniowych, w tym na
ukierunkowany militarnie program kosmiczny. W zastraszającym
temple niszczy się gospodarczą infrastrukturę (znaczną część
tam wodnych zagrożona jest przerwaniami), a jeśli stopa życiowa
utrzymuje się jeszcze na stosunkowo wysokim poziomie i stan
zatrudnienia jest wyższy niż w zachodniej Europie, to jedynie
dzięki zbrojeniom.

Myślę, że ten sam nie uprzedzony obserwator, jeśli nawet do-
tychczas nie śledził gigantycznego wysiłku gospodarczego minio-
nych pięćdziesiąt lat, w Związku Radzieckim, a zapoznał się dopiero
z budzącym wielkie zainteresowanie w świecie programem wyty-
czonym przez XXVII Zjazd KPZR, przewidującym ogromne przy-
śpieszenie naukowo-technicznego i gospodarczego rozwoju, dla
tego stanie się oczywiste, że wrogiem tych dalekośrobowych celów
jest sama tylko konieczność zbrojeń, nie mówiąc o tym, że bez-
pośrednia groźba wojny przekreśliłaby te ambitne zamierzenia.

Określając słowami Wojciecha Jaruzelskiego na niedawnym XXV
Plenum naszej partii: „Kraj, który podejmuje gigantyczne zamie-
rzenia społeczno-gospodarcze, formułując program, inwestując
wszystko w pokój, nie może mieć w swej polityce innego kie-
runku, jak tylko walkę o świat bez wojen”.

Czyje więc deklaracje pokoju są wiarygodne?

JERZY KWIECIŃSKI

Nagrody teatralne

Na dorocznym posiedzeniu komisji składającej się z przedsta-
wicieli Towarzystwa Przyjaciół Łodzi, Towarzystwa Kultury Tea-
tralnej, Wydziału Kultury UMŁ oraz recenzentów teatralnych
przyznano tradycyjną nagrodę **SREBRNEJ ŁÓDKI** za najlepsze
przedstawienia od 1 marca 1985 do 1 marca 1986 r. zrealizowane
przez teatry łódzkie.

W konkurencji teatrów dramatycznych wyróżniono za zaszczyt-
ną nagrodą przedstawienie sztuki pt. „Ferdynand” wg powieści
Witolda Gombrowicza, w adaptacji i reżyserii Bogdana Hussa-
kowskiego, ze scenografią Janusza Sosnowskiego, na scenie Teatru
im. Jaracza. Kontrkandydatem do nagrody było przedstawienie
„Domu Bernardy Alba” Federico Garcii Lorki w reżyserii
Adama Hanuszkiewicza, ze scenografią Xymeny Zaniewskiej i
Mariusza Chwedecka, na scenie Teatru Powszechnego.

W konkurencji teatrów muzycznych spektakl składający się z
dwóch jednoaktówek Mozarta: „Maż zawiedziony” i „Dyrektor
teatru”, adaptacja, inscenizacja i reżyseria Ryszarda Perły, kie-
rownictwo muzyczne Wojciecha Michniewskiego, na scenie Tea-
tru Wielkiego.

W Konkurencji teatrów lalkowych - przedstawienie sztuki
Wojciecha Bogusławskiego „Krakowiacy i górale”, w reżyserii
Wojciecha Kobzyńskiego, ze scenografią Ali Bunscha.

Przyznano też ufundowane przez Wydział Kultury Urzędu Mia-
sta Łodzi **SREBRNE PIERSCIENIE** za indywidualne osiągnięcia
wykonawcze. Otrzymały je: Grzegorz Heronimski za rolę Mietusa
w „Ferdynandzie” w Teatrze im. Jaracza i Magdalena Cwienówna
za rolę Adeli w „Domu Bernardy Alba” Garcii Lorki w Teatrze
Powszechnym oraz Hanna Matyskiewicz za rolę Baronowej Ade-
lajdy w operetce Zellerla „Płaszcz z Tyrolu” na scenie Teatru
Muzycznego.

Zgodnie z wieloletnią już tradycją przyznano nagro-
dę redakcji „Głosu Robotniczego” za najlepszy debiut na łódz-
kich scenach. (Pod uwagę bierze się dwa ostatnie sezony teatral-
ne). Komisja reprezentująca Towarzystwo Kultury Teatralnej, Wy-
dział Kultury UMŁ oraz recenzentów teatralnych postanowiła
wyróżnić Jacka Łuczaka z Teatru Powszechnego, którego głów-
nym kontrkandydatem był Dariusz Siatkowski z Teatru im. Ja-
racza.

Uroczystość wręczenia wszystkich wymienionych nagród odbe-
dzie się w Dniu Teatru, tj. w czwartek, 27 marca o godz. 14.30
w Muzeum Historii Miasta Łodzi.

J. K.

Kiedy opuściła dom rodzinny pod opieką Matki Przełożonej i udała się w drogę do swego przyszłego męża — „wiozła ze sobą siostrzyńską kalendarykę z pozłacanymi kluczami, w którym jej spowiednik zaznaczył fioletowym atramentem daty abstynencji miłosnej. Odliczywszy Wielki Tydzień, niedziele, obchodzone święta, pierwsze piątki, dni ofiar, rekolekcje i przeszkody cyklu miesięcznego, w praktyce rok jej ograniczał się do 42 dni, rozrzuconych tu i ówdzie w sieci fioletowych krzyżyków”. Tak sztucznie reglamentowana miłość nie mogła się udać i przynieść szczęścia. A rygorystyczna Fernanda dopiero na starość — pod wpływem tęsknoty i smutku — „nabrała cech ludzkich”.

W powieści Garcii Marqueza ciekawy jest casus Pięknej Remedios. Niezwykła uroda dziewczyny — wytwarzała atmosferę niepokoju i burzy, którą wyczuwało się jeszcze parę godzin po jej przejściu. Jakiś niesamowity czar obezwładniał znajdujących się w pobliżu mężczyzn, a wielu z nich nie było w stanie oprzeć się „straszliwej chęci płaczu”. Wszyscy odczuwali zagrożenie niewidzialnym niebezpieczeństwem. A ci, co się z nią bliżej zetknęli, wkrótce ginęli w tajemniczych okolicznościach. Po trzecim wypadku niektórzy uwierzyli w legendę, że ciało Pięknej Remedios nie emanuje miłością, lecz śmiercią. Nikomu jednak nie przyszło do głowy, że dla unieszkodliwienia czarów dziewczyny prawdopodobnie wystarczyłoby tak pierwotne i proste uczucie jak miłość. Ale to właśnie była jedyna rzecz, o której nie pomyślano. Dziewczyna zaś „błąkała się na pustyni samotności”, aż pewnego dnia dziwnie błąda i przezroczysta z duszą i ciałem wstąpiła do nieba. Na oczach prababki, ciotki i bratowej opuściła „świat żuków i dala” i znikła wysoko tam, gdzie nie mogły jej osiągnąć nawet „najwyższe szubujące ptaki pamięci”.

Miłość zatem może być najlepszym środkiem

PRZECIW SAMOTNOŚCI

Prawdziwe, głębokie uczucie miłosne sprostą wszystkim wyzwaniom losu. Nadzwyczajne zalety miłości trafnie wyliczył już św. Paweł. W jego pierwszym liście do Koryntian, powstałym w latach pięćdziesiątych, czytamy:

„Miłość cierpliwa jest, łaskawa jest, miłość nie zazdrości, nie szuka poklasku, nie unosi się pychą; nie dopuszcza się bezwstydu, nie szuka swego, nie unosi się gniewem, nie pamięta złego; nie cieszy się z niesprawiedliwości, lecz współweseli się z prawdą. Wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, we wszystkim pokłada nadzieję, wszystko przetrzyma”.

Jest to, jak widać, prawdziwy hymn o miłości. Paweł z Tarsu był zdania, że człowiek bez miłości jest niczym, że spośród trzech zasadniczych cnót — wiary, nadziei i miłości — największa jest ta ostatnia. Ale miał on na uwadze braterską miłość bliźniego (agape), a nie miłość seksualną (eros).

W kwestiach erotycznych Korynt był synonimem rozwiązłości. Pamiętając być może o tym św. Paweł, choć faworyzował stan celibatu, uznał jednak, że ze względu na niebezpieczeństwo rozpusty, lepsze już są związki małżeńskie. Radził przy tym mężom i żonom, żeby nie stronili od współżycia z sobą, przerywając je tylko za obopólną zgodą i na czas modlitwy. W przeciwnym bowiem razie wystawiać się będą na kuszenie szatana. Małżonkowie winni ponadto troszczyć się o życie wieczne, ponieważ przemija „postać tego świata”.

W uniesieniu miłosnym ludzie często wypowiadają dziwne, lecz bardzo znamienne słowa: „Tak cię kocham, że chyba cię życzę”. Tak mówią do siebie kochankowie, bądź rodzice do dzieci. I równocześnie z całych sił ściskają osobę kochaną, całują ją, a nieraz także gryzą. Zdarza się, iż zakochani potrafią pogryźć się aż do krwi. W ten sposób ujawnia się — charakterystyczne dla miłości — naturalne pragnienie całkowitego zespolenia.

Hegel uważał, że najbardziej wzruszającym momentem w miłości jest ofiara. Żeby kochać, trzeba złożyć w ofierze swoją indywidualność, zrezygnować z własnej jaźni, wyrzec się siebie samego. Właśnie w tym oddaniu żyje i rozkwita miłość. A szczęście wynika stąd, że dzięki miłości drugiej strony, otrzymujemy z powrotem swoją jaźń i jednocześnie mamy poczucie zespolenia — jedności. Poświęcamy siebie, lecz nie przestajemy być sobą, nie tracimy własnej tożsamości. Żyjemy w osobie kochanej, a ona w nas. Pisał filozof:

„To zagubienie się świadomości własnej w kimś drugim, ten blask bezinteresowności i wyrzucenia się własnej jaźni, dzięki którym podmiot odnajduje dopiero sam siebie i staje się jaźnią, to zapomnienie o sobie do tego stopnia, że kochający posiada swoją egzystencję nie dla siebie, że nie dla siebie żyje i nie o siebie dba, to że korzenie swego istnienia odnajduje w kimś innym, a jednak w tym innym właśnie rozkoszuje się w pełni samym sobą — to wszystko stanowi niekończącą się miłość; piękna, zaś miłość należy szukać przede wszystkim w tym, że uczucie to nie pozostaje tylko popędem i uczuciem, że fantazja rozbudowuje sobie swój świat w sposób odpowiadający temu stosunkowi, że wszystko, co należy do potrzeb, okoliczności i celów rzeczywistego bytu i życia, czyni odcobą tego uczucia, że wszystko wciąga w jego wir i tylko ze względu na to uczucie przypisuje życiu jakąś wartość”.

Nie znam drugiego takiego fragmentu, który w długim wprowadzeniu, lecz jednym zdaniem zawierałby tyle głębokich myśli o miłości — wypowiedzianych przy tym z dostateczną precyzją i konieczną obrazowością. Lapidarnie zostało ujęte to, co nie daje się kwantyfikować i dość skutecznie opiera racjonalizacji.

W dalszym ciągu wybitny filozof niemiecki zauważył: „Szczególnie piękna postać przybiera miłość u kobiet. Dla nich bowiem oddanie i poświęcenie się jest czymś najwyższym, gdyż całe swe duchowe i rzeczywiste życie koncentrują na tym uczuciu i do uczucia tego odnoszą, w nim jedynie znajdując rację swego istnienia, a gdy uderzy cios, nieszczęście, marnieją i nikną, jak światła zgaszone pieruszym silniejszym podmuchem”.

Dodajmy tu, że we wszystkich prawie mitologiach kobieta jest głównym symbolem miłości. Sumerowie mieli Inanę, ludy semickie — Ishtar lub Astarte, Grecy — Afrodytę, Rzymianie — Wenus. Inaczej natomiast było w Indiach, gdzie Kama jest mężczyzną, a jego żona nazywa się Rozkosz (Rati).

Hegel przeciwstawiał miłość „świeckiej” sferze ziemskich zainteresowań człowieka, do której zaliczył życie rodzinne i społeczne, obyczaj, prawo, państwo itd. Wynikające stąd obowiązki mogą, jego zdaniem, zagrozić urzeczywistnieniu miłości. Miłość to „świecka religia serca”, która prowadzi nawet do zapomnienia o rzeczywistej religii, wyrzeczenia się wszystkiego, a nieraz do niewolniczego przywiązania i utraty godności. Na drodze miłości, oprócz obowiązków społeczno-politycznych, mogą również stanąć rozmaite przeszkody zewnętrzne (wypadki losowe, przesady, ludzka niegodziwość) oraz honor. Szczególnie poważnym bywa konflikt honoru i miłości, ponieważ w obu przypadkach chodzi o coś niekończącego.

KAŻDA MIŁOŚĆ PRZEMIJA

bądź ulega metamorfozie. Na początku jest to uczucie niezwykle podniecające i burzliwe. Kochankowie zapewniają się wówczas, że będzie trwało aż do samej śmierci. I absolutnie nie wydaje im

się, żeby mogło być inaczej. Z czasem jednak pojawiają się antagonizmy, padają słowa, których nie można cofnąć, przychodzą rozczarowania. Stopniowo płomień miłości uspokaja się lub wygasa. W każdym bądź razie żar namietności przekształca się w ciepło przywiązania i współczucia.

Ewolucję miłości interesująco przedstawił Lew Tołstoj w opowiadaniu pt. „Szczęście rodzinne”. Sergiusz i Masza bardzo się kochali w okresie narzeczeństwa i w pierwszych miesiącach życia małżeńskiego. Lecz później okazało się, że partnerzy mają różne wizje szczęścia. Znacznie starszy od żony Sergiusz zadowalał się spokojnym i rutynowym życiem, Masza zaś pragnęła udziały i mocnych wrażeń. Ona lubiła przyjęcia i bale, a jego to nudziło i frytowało. Na tym tle doszło do konfliktów. Obok miłości wyrosła nienawiść, obok uczucia — obojętność. Wzajemny stosunek małżonków stał się „oziębło przyjazny”. Masza przestała dostrzegać szczęście życia dla innych i nie miała nawet chęci żyć dla siebie. Osłabło też jej uczucie macierzyńskie.

OBLICZA SZCZĘŚCIA (5)

Miłość czyli radość dawania



A któregoś dnia małżonkowie odbyli całkowicie szczerą rozmowę i pojednali się. Sergiusz wyznał, że kocha dalej, lecz „inną miłością”. Powiedział też, że wszystkiemu winien jest zarówno czas jak i oni sami. „Każdy okres — stwierdził — ma swoją miłość...”. Także Masza uświadomiła sobie, że pierwotne uczucie nie mogło przetrwać. „Od tego dnia — czytamy — skończył się mój romans z mężem, dawne uczucie stało się drogim, bezpowrotnym wspomnieniem, a nowe uczucie miłości do dzieci i do ojców moich dzieci stało się początkiem innego, lecz już zupełnie inaczej szczęśliwego życia, którym dotąd żyję...”.

Taki finał kryzysu miłosnego i małżeńskiego wymaga wszak dobrej woli oraz odwagi z obu stron. Wystarczy zapomnieć urazy i wyciągnąć rękę. W szczególności zaś nie wolno unosić się honorem. Trzeba po prostu dużo mądrej pokory. A w nagrodę ma się szczęście rodzinne.

Pisarze i poeci, jak wiadomo, stworzyli ogromną liczbę dzieł poświęconych miłości. Ukazali w nich potęgę i piękno tego uczucia oraz związane z nim dramaty. Na temat miłości sztuka dostarcza nieporównanie więcej wiedzy niż nauka. Spośród naukowców poważnie zajęli się miłością jedynie psychoanalitycy. A najciekawszą teorię stworzył Erich Fromm, który czerpał inspirację z koncepcji Zygmunta Freuda i Karola Marksa. Pisał on:

„Razem z Einsteinem, Marks i Freud byli twórcami współczesnej epoki. Wszyscy trzej przekonani byli o zasadniczym ludzkiej rzeczywistości. To generalne nastawienie pozwalało im widzieć w dziełach natury — której częścią jest człowiek — nie jakieś tajemnice, które się odkrywają, ale wzory i konstrukcje, które należy zbadać. Dlatego ich dzieła, każde na swój szczególny sposób, mają w sobie elementy najwyższej sztuki, jak również nauki, najpełniejszego wyrazu ludzkiej tęsknoty do rozumienia, ludzkiej potrzeby poznania”.

Erich Fromm wyróżnia pięć specyficznie ludzkich potrzeb: więzi z innymi, transcendencji, zakorzenienia, poczucia tożsamości, oraz układu odniesienia i czci. Prawidłowymi formami ich zaspokojenia są kolejno: miłość, twórczość, braterstwo, indywidualność, racjonalność. Natomiast skutkami niezaspokojenia są odpowiednio następujące dewiacje: narcyzm (umiłowanie tylko siebie), wola niszczenia, dążenie kazirodce, konformizm, irracjonalność. Wspólnym problemem ludzi wszystkich epok i kultur jest lęk przed odrębnością i samotnością. Pełnym rozwiązaniem tego problemu egzystencji jest miłość, ponieważ daje poczucie związku i stopienia się z innymi osobami.

Miłość — według Fromma — jest daniem, a nie braniem. U ludzi o nastawieniu produktywnym dawanie jest przyjemnością, wyrazem bogactwa i siły. Bogatym jest ten, kto daje dużo i chętnie, a nie ten, kto ma dużo i skąpi. W akcie dawania człowiek wyraża swoją żywotność. Najprostszym przykładem jest życie seksualne.

„Punkt kulminacyjny udziału mężczyzny w akcie płciowym — pisze Fromm — zbiega się z aktem dawania; mężczyzna oddaje się kobiecie, dając jej swój organ płciowy. W chwili orgazmu ofiarowuje jej swoje nasienie. Nie może tego nie zrobić, jeśli zachował moc płciową. Jeśli nie może ofiarować jej nasienia, jest impotentem. U kobiet proces ten nie różni się niczym, chociaż jest nieco więcej złożony. Ona także daje siebie; otwiera bramę swego ciała — w akcie otrzymywania ofiarowuje się. Jeśli nie jest zdolna do aktu dawania, jeśli potrafi tylko otrzymywać, jest femina frigida. U kobiety akt dawania ma miejsce ponownie, już nie tylko w jej funkcji jako kochanki, lecz także jako matki. Oddaje się dziecku, które rośnie w niej, a kiedy się urodzi, daje mu swoje mleko i ciepło swego ciała”.

Nawiasem mówiąc, przejawem pewnej wulgaryzacji jest przekonanie mężczyzn, że w stosunkach seksualnych oni tylko biorą, a kobiety dają.

Poeta i pisarz arabski Khalil Gibran w pięknym utworze pt. „Prorok” podkreśla, że mało dajemy rozdając nasze mienie. Naprawdę zaś obdarzamy wtedy, gdy dajemy z siebie samych. Jedni dają radość, inni z bólem. Dla pierwszych radość jest nagrodą, dla drugich ból jest chrztem. Ale są też tacy, którzy dając nie odczuwają radości ani bólu i nie myślą o zasłudze. To przez nich — czytamy — „przemawia Bóg i ich oczami uśmiecha się do ziemi”. Powinniśmy brać przykład z drzew w naszym sadzie, które dają, aby żyć, bo zatrzymywać oznacza zginać.

Zdaniem Fromma,

PRAWDZIWA MIŁOŚĆ

zawiera zawsze cztery elementy: troskę, odpowiedzialność, szacunek i poznanie. Nie kocha więc ten, kto nie troszczy się o kogoś, nie poczuwa zań do odpowiedzialności, nie szanuje jego indywidualności, nie stara się go poznać. Istnieją następujące rodzaje miłości: braterska, macierzyńska, erotyczna, miłość samego siebie i miłość Boga. O miłości braterskiej możemy mówić dopiero wówczas, gdy dotyczy osób, które nie mogą nam się na nie przydać. Z kolei miłość macierzyńska zasadniczo różni się od erotycznej. Macierzyństwo polega na rozdzielaniu się jedności, erotyzm zaś łączy istoty oddzielne. Wyróżniając miłość własną psycholog przeciwstawia ją egoizmowi. Egoiści nie potrafią kochać ani innych, ani siebie i w rzeczywistości nienawidzą siebie. W sprawie miłości Boga Fromm sądzi, że na Zachodzie ma charakter intelektualny i w zasadzie jest równoznaczną z wiarą, natomiast na Wschodzie jest uczuciem bardzo silnym.

Miłość zajmuje centralne miejsce w hinduizmie i chrystianizmie. Podstawą etyki hinduizmu jest ahinsa, czyli zasada niekrzywdzenia istot żywych. Hinduizm uczy, że człowiek winien kochać bliźniego jak siebie samego, ponieważ w gruncie rzeczy sam jest swoim bliźnim. A tylko złudzenie każe mu widzieć w bliźnim kogoś innego.

Jeszcze większe znaczenie nadał miłości Jezus Chrystus. W słynnym Kazaniu na Górze, uchodzącym za kodeks moralności chrześcijańskiej, zanegował zasadę miłości bliźniego i nienawiści nieprzyjaciół. W zamian zaś wprowadził następujące przykazanie: „Miłujcie waszych nieprzyjaciół i módlcie się za tych, którzy was prześladowają (...). Jeśli bowiem miłujecie tych, którzy was miłują, cóż za nagrodę mieć będziecie? Czyż i celnicy tego nie czynią? I jeśli pozdrawiacie tylko swych braci, cóż szczególnego czynicie? Czyż i poganie tego nie czynią? Bądźcie więc wy doskonali, jak doskonały jest Ojciec wasz niebieski”.

Wzajemną miłość uznał Jezus za najważniejszą cechę wyróżniającą wyznawców jego nauki. „Po tym wszyscy poznają — mówił — żeście uczniami moimi, jeśli będziecie się wzajemnie miłowali”. W pierwszym liście przypisywanym tradycyjnie Janowi Ewangelistcie podkreśla się, że kłamcą jest ten, kto mówi, że kocha Boga, a nienawidzi bliźniego. Nie można bowiem kochać niewidzialnego Boga nie kochając bliźniego.

W nauce moralnej Jezusa znajdujemy imperatyw przypominający Kantowski. Czytamy mianowicie: „Wszystko więc, co byście chcieli, żeby wam ludzie czynili, i wy im czyńcie”. Jest to tzw. złota zasada etyczna. W formie przysłowiowej powiada się: nie czyn drugiemu, co tobie niemiłe.

Przemawiając w Milecie do wezwanych z Efezu przebiterów św. Paweł powołał się na symptomatyczne twierdzenie Jezusa: „Więcej szczęścia jest w dawaniu, aniżeli w braniu”. Słów tych wprawdzie nie odnotowali ewangelisti, lecz miały być znane ustnej tradycji — tak przynajmniej utrzymują redaktorzy Biblii Tysiąclecia.

Niedawno z ciekawą hipotezą wystąpił literat francusko-izraelski André Chouraqui. Otóż uważa on, że w ośmiu błogosławieństwach z Kazania na Górze Jezus używał hebrajskiego słowa „Aszei”, co kojarzy się z wyruszeniem w drogę. Natomiast w przekładzie greckim błędnie użyto słowa „Makariot” co znaczy błogosławieni, szczęśliwi. Nie powinno być więc — powiada autor — „błogosławieni”, lecz raczej „ruszający naprzód”, a w domyśle — ruszający „ku szczęściu, ku wyzwoleniu”.

Entuzjastą chrześcijańskiej koncepcji życia i szczęścia był Lew Tołstoj. Głosił, że królestwa bożego

NIE TRZEBA SZUKAĆ W ZAŚWIATACH

albowiem jest ono w nas samych. Trzeba tylko zmienić się wewnętrznie. Za najważniejszy element etyki Jezusowej uważał zasadę nieprzeciwiania się złu. Zdaniem pisarza, prawdziwy chrześcijanin nie może osądzać innych ludzi, a tym bardziej samowolnie karać — co należy wyłączać do Boga — bo powołaniem jego jest czynienie dobra. Człowiek powinien bezwzględnie wybaczać swoim winowajcom.

Sensowności takiej filozofii ukazał w powieści „Anna Karenina”. Jak pamiętamy, tytułowa bohaterka ponosi klęskę — ukarana przez samo Życie (Boga) — natomiast jej mąż doznaje szczęścia płynącego z przebaczenia. Inna z kolei bohaterka, Kitty Szcherbaczka, przekonała się, że „wystarczy zapomnieć o sobie i kochać bliźnich, by osiągnąć spokój, szczęście i piękno”.

Tołstoj zredukował chrystianizm do moralności opartej na absolutnej miłości bliźniego i wierzył głęboko, że taki sposób życia pozwala osiągnąć szczęście.

„Główną i podstawową pokusą — pisał — przed którą ostrzega nauka Chrystusa, jest wiara, że szczęście polega na zaspokojeniu osobistego pożądania. Nie należy jednak zapominać, że pisarz równocześnie zakwestionował podstawowe dogmaty kościoła. Stanowczo twierdził, że religia reprezentowana przez Kościół ma niewiele wspólnego z czystą doktryną ewangeliczną.

Aleksander Kamiński postulował swego czasu, żeby uczyć dzieci i młodzież radości dawania. Ale niestety, hasło to nie przyjęło się w naszym systemie wychowawczym, który przyzwyczaja raczej do brania i gromadzenia. Nie uczymy w ten sposób uszczęśliwiającej miłości, lecz wiecznie nienasyconego egoizmu.

EDMUND LEWANDOWSKI

M

am osiemnastoletni miał partyjny — albo inaczej: dziesięcioletni plus jeden rok... byłem bezpartyjny trzy lata, od stycznia 1982 roku do początku roku 1985...

Niech pan skasuje to na początku, tak, to wszystko tam... przed wojną. Ale niech pan zostawi ten fragment, jak mnie przyjmowali do partii. To ważne!

TASMA: Byłem starszym szeregowcem, działalem trochę w KMW... Tak, byłem dobrym żołnierzem. Lubilem służbę. Może dlatego, że pracowałem w swoim zawodzie, jako mechanik. No i to moje cholernie zamilowanie do porządku. A w wojsku to właśnie to — porządek. Dlatego lubilem służbę. Szeregowców tak znów często do partii nie przyjmują... Legitymację dostałem w Dzień Wojska, bardzo uroczysto. To bardzo ważne, kiedy takiego młodego człowieka przyjmują, żeby było uroczysto. To się pamięta...

Jakie miałem powody? Wie pan, kiedy oglądam czasem w telewizji różnych ludzi jak opowiadają, że chcą być zaangażowani w życie kraju, że chcą wpływać na to, co się dzieje...

ANDRZEJ KAROLCZAK

W tej historii nie ma nic nadzwyczajnego

Wydało mi się, że oni tak mówią dlatego, że ich przed kamerą postawili. Ja — tak zupełnie szczerze — nie bardzo bym umiał wtedy powiedzieć, jakie miałem powody. Byłem ambitny, przykładałem się do służby i do roboty. Takie hasło jakieś pamiętam: Najlepsi — do KMW, najlepsi z najlepszych — do PZPR. Może coś pokręciłem, ale tak chyba brzmiało. A ja chciałem być najlepszy z najlepszych...

— Może to też skasujemy. Niepoważne takie: najlepszy z najlepszych... Zresztą, niech zostanie...

Dalej też skasujemy. O tym technikum wiezarowym, o żonie i mieszkaniu... Nie ważne dziś. A o partii zostawmy: ten kawalek, że brałem udział w różnych akcjach i takich tam pracach społecznych, że na zebraniach gardłowałem. To wszystko prawda, to się panu do tego artykułu przyda... No i to jest ważne, bo tak naprawdę było, nie byłem żaden lipny aktywista — zawsze wszystko cholernie poważnie traktowałem.

O tym awansie też nie warto mówić. Nie ma nic do rzeczy. Przejmijmy od razu do osiemnastego roku. A — jeszcze jedno — niech pan to może też nagra...

TASMA: Kiedy teraz czytam albo słucham jak to ludzie już przeżywali, wiedzieli co się święci, że to już tak dużo nie można... to myślę, że trochę bujają. Nie wiem zresztą, może tam jacyś politycy, działacze, bardziej zorientowani — no, tacy, o szerszym spojrzeniu, jak to się mówi. Pan coś czuł, przeżywał? Coś pan wiedział?

— Dobrze, tak dobrze. To teraz niech pan da o sierpniu.

TASMA: Kiedy zaczął się strajk ani przez myśl mi nie przeszło, żeby się przyłączyć. Już mówiłem — cholernie mam zamiłowanie do porządku. A także ten świeży awans — czułem się bardzo odpowiedzialny za robotę. Tak było do końca. Przez cztery dni. Tak — cztery dni... Teraz się już nie pamięta, jakby to z miesiącem trwało. No, w Gdańsku trwało dłużej — chyba dziesięć dni? U nas cztery. Te cztery dni do końca życia będę pamiętał... Zwłaszcza trzeci dzień. Kiedy się rozszedło, że w tej hali, w której jest główna grupa strajkujących to właściwie nikt oprócz dyrektora nie był. Że nie wiadomo właściwie, jak oni tam żyją, jak śpią, co jedzą... Czy nie chorują.

Wtedy przyszedł ten przywódca strajkowy i jeszcze dwóch, z opaskami, i poszli o koca. Dyrektor zaczął wyć, a przewodniczący rady zakładowej oponował. Jak Boga kocham, sam przy tym nie byłem, ale wszyscy w zakładzie wiedzieli: przewodniczący nie chciał pomóc strajkującym. Bo oni chcieli innego związku... Jak się strajk skończył, odczekałem z ulgą. Nareszcie normalnie, nareszcie robota zwyczajna, porządek. Ale nie tylko w zakładzie. W kraju. Różne, najróżniejsze rzeczy przeciwieństwo wtedy powychodziły, nie było dnia bez sensacji. No i te porozumienia były... rany boskie, jak się te porozumienia czytało! Jak młotliwie w dzieciństwie... Czarno na białym stało, jak się to mówi, że ma być uczciwie, jawnie, sprawiedliwie.

Wtedy po raz pierwszy pomyślałem sobie: po co ja jeszcze do tej partii należę? To ja akurat przez te dziesięć lat należałem, byłem aktywistą, działaczem. Akurat przez te dziesięć lat... Zrozumiałem, że byłem przez dziesięć lat manipulowany. Takie słowo było modne. Najmodniejsze słowo wtedy — manipulacja. Może z tej partii wystąpić, przekreślić te dziesięć lat, już nigdy nie dać się manipulować?

Krótko trwały wahania. Jak tylko powstał nowy związek w zakładzie. Jak się zaczęły te wszystkie pogotowia strajkowe, te gazetki, te plakaty. A wszystko przeciw partii — znaczy, przeciw mnie! No ja taki miękki nie jestem. Mnie nie ma co straszyć latarniami... I nie jestem szczer, co to ucieka z tonącego okrętu i wyrzeka się swoich. Kiedy z nimi kiegoś. Tylko ze starego związku się wypisałem. Nie mogłem przewodniczącemu darować tych koców...

— Dalej chyba niepotrzebne... o tym co w domu, o rozmowach z żoną. Fakt, sam jej poradzilem, żeby się zapisała do „Solidarności”. Nie była to żadna inkuracja — że niby ja w partii, a ona tam, kryje jesteśmy na obie strony... To było inaczej: w jej przychodni wszyscy się zapisali — od dyrektora i wszystkich lekarzy do sprzątaczek. Co miała być czarna owca? Może trochę się o nią bałem... Zresztą ja nigdy nie miałem przeciw członkom „Solidarności”. Moi koledzy należeli i przyjaźniliśmy się dalej. Prywatnie, bo tak przy ludziach to mnie trochę unikali...

— Wtedy też wymyśliłem sobie porównanie z plutonem alarmowym. Ja do dziś tak myślę...

Przecież członków partii to normalny pracownik. Bywają lepsi, bywają gorsi, przecież wcale nie ma takiej reguły, że bezpartyjny musi być gorszy. Skąd, są świetni pracownicy bezpartyjni, wiadomo. W życiu nie ma tak jak w jakimś przemówieniu albo w tym hasle z wojska — najlepsi z najlepszych. Różni jesteśmy. Ale w plutonie alarmowym. Bardziej gotowi, tacy, na których bardziej można liczyć.

A o Zjeździe partii — jak pan chce — ja bym skasował. Wszyscy wtedy byliśmy pewni, że to już koniec. Ze partia się otrząsnęła, ostatecznie, że jest silniejsza, że już sobie poradzi. W zakładzie też poczuliśmy się mocniejsi. Śmiało rozmawialiśmy z kolegami, mocniej z „Solidarnością”. Ja byłem pewien, że wszystko idzie w tym kierunku: przekonamy tych wicherzycieli, większość pójdzie z nami. Przecież oni — moi koledzy — wcale nie chcieli obalać ustroju, likwidować socjalizmu. Skąd, oni tak samo jak my chcieli tylko, żeby wypełnić te porozumienia, żeby był porządek, praca i spokój. Przynajmniej u mnie w zakładzie. No, rozrabiaki też byli, ale w mniejszości...

TASMA: Usunęli mnie z egzekutywy POP. Nie miałem żalu, może mieli rację... O to poszło, że zapropomowałem weryfikację członków partii, co należeli do „Solidarności”. Myślałem tak: jak z „Solidarności” będą usuwać partyjnych albo zmuszać ich do wystąpienia z partii, to my nie jesteśmy słabsi. Też możemy mieć „oczyszczone szeregi”. Taką zwrot zapamiętałem: „oczyszczone szeregi”.

— To może od razu przejść do stanu wojennego? Tylko może opuścić te opisy, co się działo, jak pieczętował lokal związek, jak przyjeżdżał komisarz wojskowy. Ani co tam w domu się działo... Nie ważne dzisiaj. Od razu przejdźmy do tego, jak złożyłem legitymację.

TASMA: To było w styczniu. Interwencje, żeby zwolnić internowanego przewodniczącego „Solidarności” nic nie dały. Ale nie to było najważniejsze. Gorsze było to, co mówili ludzie, koledzy z „Solidarności”:

— No co, zadowolony jesteś? Tyle było gadania o odnowie, o demokracji i porozumieniu. I co? Za pysk wzięli...

No wzięli, faktycznie. Teraz wiem, że trzeba było. Ale wtedy... Po nocach nie spałem. Co teraz będzie? Jak ja wyglądam, jak mi wyglądamy?

Całą duszę wkładałem w robotę. Harowałem, bo też była taka potrzeba. Mało z kim rozmawiałem. W domu też. I takie dwie siły we mnie były, dwa głosy: Rzuć to, zajmij się robotą i rodziną. Wystarczy. Nie musisz przecież... Albo znów: stan wojenny jest koniecznością. Trudna konieczność. Trzeba wytrzymać, wrócić spokojnie i normalnie. Przecież zawsze tego chciałem — spokoju, roboty i porządku. Porządku mojego — cholera — ukochanego porządku. A co jak co, ale porządek był...

Ja nie potrafię tego dokładnie opisać. Ja się nie zmieniałem, to tylko wszystko wokół się zmieniło... Pomyślałem, że przecież już nie jestem tak potrzebny, że zostałem zwolniony ze służby w plutonie alarmowym.

Poszedłem do sekretarza i mówię: — Ja mam różne wątpliwości, nie jestem do końca przekonany. Myślę, że nie przydam się już w partii. Weźcie moją legitymację... Zrozumie, nie jestem wrogiem, ale już nie umiem być sojusznikiem.

Tak to jakoś brzmiało, na pewno mniej składnie, ale tak jakoś.

Sekretarz mówił: — zastanówcie się, to poważna decyzja... Nie zastanawiałem się. Jakoś tak leżę się poczułem... Spałem lepiej.

— Dalej śmiało można skasować. To ma niewiele do rzeczy, to wszystko o robocie i tym zwykłym życiu. Od razu niech pan da następny fragment, jak znów ustąpiłem.

TASMA: Słyszałem przemówienie Jaruzelskiego, że są takie możliwości, jak ktoś nie wytrzymać, jak się pomylił. Tak to jakoś brzmiało. Ale nie brałem tego do siebie. Żyłem sobie i pracowałem spokojnie. Dopiero jak były wybory do samorządu. Zapropomowałem moją kandydaturę starych członków partii. Zastrzygłem uszami jak zając: — on ma skłerozę czy co? Zapomniał, że ja już nie „towarzysz”?

— O rozmowach w domu i w pracy — nieważne, niech pan zachowa tylko te rozmowy z sekretarzem.

TASMA: Byłem w kasecie... Rozmawialiśmy o różnych sprawach, produkcyjnych, związkowych... Aha! W nowym związku już też byłem. Trochę się opierałem, namawiali mnie... Tych koców nie mogłem zapomnieć.

Wszyscy się rozszeli, zostałem z sekretarzem. Od słowa do słowa i doszło do mojej przynależności. Co ty masz przeciw partii, powiedz — mówi sekretarz. A ja: — właściwie nic, nigdy przeciw partii nie miałem. Ale, jak się już wypisałem, to się przecież na nowo nie będę zapisywał. Dlaczego? — zapytał — jacyś nie namawiam zresztą, rób jak chcesz...

Na drugi dzień przyszedłem już zdecydowany...

— Sam pan widzi, że w tej całej historii nie ma nic nadzwyczajnego. Żadnej wielkiej polityki nie ma... Są zwykłe sprawy zwykłego człowieka.

Niech pan zauważy — moje decyzje są jak spójniony zapłon, kiedy ludzie występowali z partii po sierpniu, mnie to do głowy nie przyszło. W stanie wojennym wystąpiłem, kiedy może i niejednemu by wystąpił, ale się bał...

Na powtórne wystąpienie znów za długo czekałem.

Jeszcze jedno — to ważne — przyjęli mnie jednogłośnie.

Reportaż nagrodzony w konkursie Łódzkiego Oddziału SD PRL KAW i „Ogłoszeń” „W środku Polski, w środku życia”.

Komputer na strychu

RYSZARD BINKOWSKI

W pierwszej klasie szkoły podstawowej otrzymałem pierwszą w życiu książkę i byłem z tego powodu szalenie dumny. Ten jedyny podręcznik, bogato barwnie ilustrowany, towarzyszył mi przez cały rok. Uczyłem się na elementarzu Falskiego czytałem i pisałem i nie czułem się z tego powodu zyskryminowany ani upodlegzony. Wprost przeciwnie, dziękuję Bogu, że uniknął kolejnych reform oświaty. Uniknąłem losu pierwszoklasistów, których w latach siedemdziesiątych ówczesny minister oświaty uszczęśliwił aż dwunastoma podręcznikami. Kiedy w epoce dynamicznego rozwoju zaczęto trząść miliony zbędnych podręczników, wykończyła nam się poligrafia i zabrakło papieru. Dziś się wycofujemy z tego interesu, ale skutki szaleństwa stają się dokuczliwe. Szkoła nie cierpi już tylko na brak lektur, ale i podręczników.

Dzieci, szczególnie dzieci wiejskie, nie zasnęły radości z powodu nadmiaru podręczników. Jeśli jakiś niedawny pierwszoklasista ma jedno ramię niższe, to nie dlatego, że ojciec zapędził go z widłami do gnoju, bo ojciec ma maszynę, ale z powodu dwunastu podręczników, które ciążyły mu w torbie, gdy wędrował kilometrami do tzw. gminnej szkoły zbiorczej, jak nawalił środek transportu.

Kiedy dzisiaj jakiś stary działacz oświatowy widzi marzącą na drodze wiejskie dziecko, czekające na autobus do szkoły, albo rezydujący w budynku zlikwidowanej szkoły związek hodowców gołębi pocztowych, to ze łzą w oku wraca do początków oświaty w Polsce Ludowej. Wspomina pierwsze dni lutego tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku, kiedy to do Łodzi przyjechał z Lublina przedstawiciel PKWN, Karol Przesmycki, na czele specjalnej grupy operacyjnej. Przesmycki miał w kieszeni delegację i dwa tysiące złotych, za które miał uruchomić oświatę w Łodzi i województwie łódzkim. Najpierw zajął niemieckie mieszkania przy ul. Jaracza 11, żeby zorganizować jakieś biuro, potem poszedł w miasto i stwierdził, że w większości szkół prowadzone są zajęcia lekcyjne. W trzy tygodnie po wywołaniu...

Nie oznacza to jednak, że po czterdziestu latach, na skutek szkodliwych zmian programów i błędów organizacyjnych, oświata na terenie województwa łódzkiego łódzkiego całkowicie podupadła. Nie podobnego! Kierując się logiką nieco pokrewną można by nawet stwierdzić, że gdy z dawnego województwa utworzono coś w rodzaju znaczaka pocztowego na mapie, to placówki oświatowe tak zgęstniały, że na tym znaczaku powinna stać szkoła na szkole.

Niestety, aż tak pięknie to nie jest. Z raportu o stanie oświaty, opracowanego przez łódzkie kuratorium, wynika, że jest niezłe, szczególnie w Łodzi. No, ale kiedy wyjrzy się za rogatką, to widać, że sytuacja wiejskiej szkoły nie rysuje się tak różowo. Dlatego też, nie kwestionując absolutnie raportu kuratorium, komisja oświaty, kultury i wychowania Wojewódzkiego Komitetu Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego w Łodzi postanowiła przywrócić sprawę z bliska i odnotować własne spostrzeżenia.

Przewodniczący komisji, doc. Tadeusz Jajmucha:

— Naszym celem było uważne przyjrzenie się szkołom gminnym, aby skonfrontować stan rzeczywisty z wysuniętymi przed laty założeniami.

Chodziło nam przede wszystkim o bazę, kadre nauczycielską i sytuację dziecka wiejskiego, a zwłaszcza o możliwości jego startu życiowego. Bo selekcja dokonuje się na szczeblu najniższym, w szkole wiejskiej. Tutaj właśnie tkwi przyczyna dyskutowanego dziś jawiska, że coraz mniej dzieci chłopskich studiują na uczelniach artystycznych i uniwersytetach...

Przed lustracją zadano o to, by była ona kompetentna i obiektywna. Opracowano własną ankietę i wytypowano do pracy zespoły gminne. Zadanie nie było łatwe, ale do jego realizacji przystąpili ludzie głęboko zaangażowani, m.in. Stanisław Skomiał i Henryk Muzioł,

starzy ludowcy i doświadczeni pedagodzy. Nie zamierzali oni jednak oceniać wyników dydaktyczno-wychowawczych, lecz zbadać przyczyny, dlaczego te wyniki są takie, jakie są.

Stanisław Skomiał, członek komisji oświaty, kultury i wychowania WK ZSL:

— W każdym zespole gminnym był nauczyciel. Z udziałem nauczelnika gminy lub osoby przez niego upoważnionej oraz inspektora szkolnego gminy ustalono, które szkoły zostaną poddane lustracji. Myśmy wybrali szkoły położone daleko od centrum gminy. Mielśmy własny samochód...

Kończyliśmy rozmowę tam, gdzieśmy ją zaczęli, tj. w urzędzie gminy, mówiąc o otwarciu, co sądzimy o stanie szkolnictwa. Urzędnicy wyrażali swoją opinię i w ten sposób powstawał zapis stanu faktycznego...

W województwie łódzkim jest osiemdziesiąt osiem szkół podstawowych na wsi, wzniesionych tradycyjną metodą, z cegły, przed wojną lub po wojnie. Dwadzieścia trzy budynki są tak zużyte, że w zasadzie należałoby przerwać w nich naukę i zabrać się do remontu i modernizacji.

Niestety, w roku szkolnym 1984/85 remonty i modernizacje prowadzono tylko w trzech szkołach: w Kurowicach, Solcy Wielkiej i Bratoszewicach. Ale tylko w Bratoszewicach prace remontowe zastęgują na wyrównanie. Panuje tam ład, porządek, widać, że coś się dzieje. Jest to także wzór zaangażowania społecznego. Dzięki pomocy mieszkańców stary przedwojenny budynek zmienia się w zupełnie inny, nowoczesny obiekt.

Tylko nieliczne szkoły posiadają urządzenia wodno-kanalizacyjne, centralne ogrzewanie i tzw. węzły żywieniowe. Sali gimnastycznej z prawdziwego zdarzenia w ogóle brak.

Piętnaście lat temu w Kalinie (gm. Rzgów) zbudowano szkołę typu „tysiąclatka”, ale bez sali gimnastycznej. Potem w gminie Rzgów zlikwidowano ośmioklasową szkołę w Romanowie oraz mniejsze szkoły w Gadce i Bronisławie. Dzisiaj w budynku szkoły w Gadce mieści się Związek Hodowców Gołębi Pocztowych, a w Bronisławie czteroklasowy budynek wciąż stoi pusty. Czasem, gdy pada deszcz, otwiera się jedyna salka, aby mogły się w niej schronić dzieci czekające na autobus wożący je do gminnej szkoły w Rzgowie.

Jeśli chodzi o budowanie nowej szkoły, to Rzgów stał się pod tym względem ewenementem.

Muszę przyznać, że niezbyt chętnie, ale bez powtórek, ukończyłem szkołę podstawową w Rzgowie. Wprawdzie zamiast chłonać z wypiekami na twarzy przekazywaną mi wiedzę, rozwijałem w sobie zamiłowanie do wagarów i poznawania świata, ale dzięki temu udało mi się napisać dziesięć książek, toteż przyznaję, iż zszedłem na psy, ale z honorem. Budynek, w którym pobierałem naukę, był solidny, przedwojenny, bez wygód, ale w suterenie można było przez jakiś czas jadać o biady. Prawie zawsze można było napić się kawy i zjeść prawdziwie chrupiące bułeczki, które dziewczyny ze Spółdzielni Uczniowskiej przynosiły z prywatnej piekarni Bronka Stachowicza.

Alisi po latach ktoś genialny wpadł na jeszcze bardziej genialny pomysł, aby w Rzgowie zbudować szkołę gminną na miarę naszych czasów. Budowa ciągnęła się latami, a towarzyszyły jej bałagan, anarchia budowlana i atmosfera skandalu. Bo jak już stanął tu wspaniały gmach, okazało się, że badania geologiczne były nieścisłe czy coś takiego, i szkoła może się zapadnąć pod ziemię. Potężny gmach z dwudziestoma czterema izbami lekcyjnymi, do których genialny pomysłodawca zamierza spędzić dzieci z całej gminy. Tylko że budowę sali gimnastycznej i zaplecza sportowo-rekreacyjnego przełożono na lata następne. Może stanie się cud i Bożia sypnie pieniądze...

Jeśli jednak wszystkie dzieci uda się pomieścić w tych dwudziestu czterech izbach lekcyjnych, to w gminie Rzgów trzeba będzie zlikwidować szkoły w Kalinie i w Guzowie, gdzie

przez sześć lat pracowałem jako nauczyciel. Gdyby zaś nowa szkoła w Rzgowie, co nie daje Boże, zaważyła się pewnego dnia, to na jej grobie należałoby postawić tablicę pamiątkową z napisem: „Przypomina się z ubolewaniem, że pisarz Ryszard Binkowski uczęszczał do tej starej szkoły obok, która wytrzymała próbę czasu, a jeśli kiedyś pamięć o niej zaginie, to tylko na cmentarzysku literatury”.

W dwudziestu sześciu szkołach, lustrowanych przez komisję WK ZSL, było sto dziewięćdziesiąt jeden sal lekcyjnych, w większości przystosowanych do roli klas przedmiotowych. Kierownictwo i nauczyciele dbają o sprzęt i pomoce naukowe, ale sami niewiele mogą zrobić na rzecz wyposażenia szkoły. Bo w tym miejscu wyłania się sprawa dość nieprzejmująca i drażliwa. Chodzi o to, że w wielu gminach nie dopuszczono do likwidacji małych szkół, nie przekazano budynków innym użytkownikom i przetrwały one dawne rejonowe szkolne, czyli rozparcelowane szkoły gminne. Rzecz w tym, że dawne szkoły gminne były znakomicie wyposażone, ponieważ przejęły majątek szkół likwidowanych, jak również środki finansowe. No i te szkoły gminne nie chciały niczego zwrócić szkołom, które się usamodzielniały.

Stanisław Skomiał:

— Cierpią na tym dzieci i nauczyciele. Bo zważywszy na skromne środki finansowe, czymże te usamodzielnione szkoły mogą dysponować, jak zapewnić właściwy proces dydaktyczno-wychowawczy? A przecież był to kiedyś społeczny majątek wsi, który zabrano bez rozliczenia. Jedynym pocieszeniem jest fakt, że tam, gdzie szkoła wróciła do wsi, ludzie są zadowoleni i tworzą społeczne komitety pomocy szkole.

No cóż, na tej zwariowanej łące kwitły podobno kwiatki. W ten sposób zginał gdzieś majątek likwidowanych urzędów powiatowych oraz chłopski majątek kółek rolniczych, który potem dewastowano w powstających SKR-ach. Ludzie stali się nieufni i rozgoryczeni, toteż władze gminne cieszą się, gdy w jakiejś wsi mieszkańcy budują cokolwiek. Strażacy budują remizę, bo mają pewność, że nikt im jej nie zabierze. A postawiają szkołę, przyjdzie jakaś nowa reforma i szkoła diabli weźmie.

W Petrykotech pod Pabianicami, gdzie nie dociera komunikacja miejska, jest tak przestronne i wysokie przedzkołe, że pragnący je zwiedzić prezes NK ZSL, Roman Malinowski, omal nie stracił tam życia, bo mimo że pochylił się w drzwiach, zaważył głową o futrynę.

W pobliżu przedszkola w Petrykotech stoi prymitywny budynek szkolny, czekający od lat na remont, a sto metrów dalej wznoszą się mury nowej strażnicy, z centralnym ogrzewaniem, urządzeniami wodno-kanalizacyjnymi i piękną, ogromną salą, którą wykorzystuje się najwyżej raz w tygodniu.

Nie jestem wrogiem nowoczesności, ale gdy widzę w telewizji, jak mali chłopcy trzaskają radośnie w klawisze komputerów i słyszę, że komputeryzacja musi szybko wkroczyć do szkół, bo w tej dziedzinie jesteśmy strasznie do tyłu, to nie wiem, czy śmiać się, czy płakać. Czytałem kiedyś, że w jednym z województw południowych urzędnicy teleksowe w gminach przestały działać, bo pogryzły je myszy. Dlatego też szkolny komputer leży na strychu. Bo jakże tu wprowadzić elektroniczne w skruszałe mury budynków przeżartych wilgocią i grzybem? Kto nauczy wiejskie dzieci posługiwać się drogim komputerem skoro dziś brakuje kadry do nauczania języka polskiego i matematyki? A jeśli dzieciaki w dwie godziny zepsują taki aparat, to naprawić go będzie chyba kawał. I kto zapłaci za komputer na strychu w sytuacji, gdy urzędy gminne ledwie co radzą sobie z budżetem na wydatki bieżące?

O tym, jak się czują w wiejskiej szkole nauczyciele i dzieci — za tydzień.

Niniejszym uprzejmie proszę Polskie Linie Lotnicze LOT — jako przedsiębiorstwo filantropijno-rozrywkowe, o niezwłoczne uruchomienie stałego połączenia rejsowego między podlaskim Lublinkiem a stolicą naszą Warszawą i odwrotnie. Proszę swą motywację tym, że inne miasta wojewódzkie już takie połączenia mają i bezczelnie się nimi chełpią, chociaż w porównaniu z Łodzią są za przeproszeniem kurduplami. Dodam, iż regularna komunikacja lotnicza mocno podniesie prestiż polskiego Manchesteru oraz znakomicie wydłuży czas podróży i nie będzie żadną konkurencją dla kolei państwowych.

Bez szemrania zgadzam się na gangsterskie ceny biletów lotniczych, albowiem rozumiem, że ich kalkulacja obejmuje zarówno ochronę pasażera przed komfortem, dotację na rozwój turystyki pieszej, usługi gastronomiczno-oświatowe, marżę rozrywkową, ubezpieczenia od następstw ataku zdrowego rozsądku, podatek pańszczyźniany i inne.

Nadmieniam iż lunapark na Zdrowiu jest już mocno wysłużony, a nie widzimy godniejszego jego następcy niż wyżej wymieniony — tak dbający o poziom uciech duchowych i cielesnych świadczonych swym klientom.

Ośmielam się zauważyć, iż budowa portu lotniczego na Lublinku nie pochłonie zbyt dużych nakładów finansowych, bo za przykładem innych lotnisk krajowych, w zupełności do tego celu wystarczą: jedna pakamera drewniana, jeden autobus wypoczynkowy z PKS, pół kilograma cukierków owocowych, twarogów, dziesięć sztuk gazet ogólnie dostępnych oraz ewentualnie jeden obiekt latający umownie zwany samolotem.

Ze swej strony obiecuję PLL dożgonną wdzięczność i szerokie propagowanie jakże trafnych hasel reklamowych w rodzaju: „LOTem bliżej”, „Rachunek ekonomiczny podstawą racjonalnego gospodarowania”, „czas to pieniąż” itp.

Z góry dziękuję za pozytywne załatwienie mej prośby. W dowód sympatii załączam poniższy tekst.

Wojewódzkie miasto Koszalin dzieli od wojewódzkiego miasta Słupska odległość niespełna siedemdziesięciu kilometrów drogi lądowej. Pośpieszny autobus PKS przebywa tę trasę w jedną godzinę i dwadzieścia minut przy okazji zatrzymując się na kilku mniejszych i większych dworcach. Wiadomo jednak, że autobus to jest przedmiot niegodny epoki kosmicznej, więc Koszalin i Słupsk zafundowały sobie regularne połączenie lotnicze, dzięki czemu podróż między stolicami obu województw trwa... prawie dwie godziny. LOTem bliżej.

Wszelako zabobonny lud pomorski lekając się kontaktu z „ognistym płakiem” po staremu jeździ koleją żelazną lub autodemobil publiczny, narażając postępowy LOT na transportowanie bogatego w jod powietrza.

Codziennie — za wyjątkiem sobót i niedziel, z koszałniańskiego lotniska startuje jeden (słownie jeden) samolot. Leci on do Warszawy po drodze zahaczając o Słupsk. Również codziennie i również za wyjątkiem sobót i niedziel Koszalin przyjmuje jeden samolot z Warszawy via Słupsk. Natomiast Słupsk przyjmuje i ekspediuje już po dwa samoloty dziennie, bo dodatkowo ma własne, niezależne połączenie z Okęciem. Teraz proste rachunki: jeśli autobusem z Koszalina do Słupska jedzie się szybciej niż lecąc samolotem, to... To rysuje się równie sensowna koncepcja uruchomienia mostu powietrznego między Lublinkiem a Okęciem przez Skiernewicę — jakby nie było też wojewódzkie miasto...

W słupskim biurze PLL LOT dowiaduję się, że rejs powietrzny z tutejszego lotniska do Warszawy kosztuje dokładnie tyle samo ile przelot z Koszalina na Okęcie — czyli dwa tysiące sześćset czterdzieści złotych. Wynika z tego niezbicie, że dobroczynny LOT funduje swym klientom bezpłatną wycieczkę samolotową na trasie Koszalin — Słupsk. To się nazywa mieć gest! Grzech nie skorzystać.

Tu muszę uczciwie wyznać, że jako łodzianin — czyli osobnik z miasta lotniczo zacofanego, natychmiast ulegam pokusie sprawienia sobie trąjdy na koszt filantropijnej instytucji. Przy okazji podejruję — kalkuluję perfidnie — na czym polega sekret darmowych lotów przez miedzę, by ów gospodar-

czy cud zaszcześcić na naszym gruncie.

Przeglądam rozkład lotów. Za ponad trzy godziny samolot wystartuje z Koszalina. Lot do Słupska potrwa (teoretycznie) dwadzieścia minut. Potem jeszcze siedemdziesiąt minut na Okęcie. Zamiast bezproduktywnie czekać na lotnisku w Słupsku — kalkuluję dalej — pojadę do Koszalina i tam wsiadę w samolot. Cena ta sama, a ile atrakcji...

Kupuję bilet na rejs Koszalin — Słupsk. Panie w słupskim biurze PLL LOT biorą mnie pod wnikliwą obserwację.

— Pan żartuje? — pyta pierwsza. — Przecież samolot startuje już za trzy godziny.

— Dopiero za trzy godziny — poprawiam niegrzecznie. — To zaledwie siedemdziesiąt kilometrów stąd. Zdażę nawet furmanką.

Gangsterzy i filantropi — czyli LOTem śmieszniej

— To się jeszcze okaże... — tajemniczo uśmiecha się druga. — No ale skoro pan nalega, mogę sprzedać bilet wedle życzenia.

Szczęście moje jest wprost nieopisane, bo oto tak po prostu, bez przedpłat z losowaniem mogę nabyć bilet na jedyny tego dnia lot. A myślę, że tudzie walą drzwiami i oknami.

— W Koszalinie? — szczerze dziwi się emisariuszka LOT. — Tam na pewno są wolne miejsca. Większość pasażerów wsiada tutaj, w Słupsku.

— Niemogliwie? Wieg komu opłaca się utrzymywać lot... — chyba nierozwrotnie przypuszczam zamach na chleb Bogu ducha winnych ludzi powietrznego czynu, bo pierwsza pani takownie przerywa mój wywód.

— Chwileczkę. Muszę sprawdzić, czy są jeszcze jakieś wolne miejsca na dzisiejszy lot.

Zgrabnie uruchamia przelicznik, żółty mikrokomputer, który trochę się opiera, ale wreszcie potwierdza to, o czym obie panie wiedzą, a ja się tylko domyślam: miejsca są.

Z biletem lotniczym w kieszeni gnam na słupski dworzec autobusowy, po drodze układając traktat o wyższości skrzydlatych usług nad prymitywnymi czterokołowcami. Pośpieszny do Koszalina odjeżdża punktualnie. Bilet kosztuje sto siedemdziesiąt złotych. No proszę — z pogardą oglądam zatłoczony wehikuł — a luksusowy samolot przeniesie mnie za darmo i o niebo szybciej.

Po godzinie i dwudziestu minutach autobus melduje się w Koszalinie. Biuro LOT odnajduję bez trudu — prosperuje obok dworca i przyciąga efektownymi reklamami. Pusto. Tylko znużone urzędniczki popijają ciekłą herbatkę. Na przeszkolonych drzwiach wisi karteczka z informacją: „Autobus na lotnisko odjeżdża z parkingu siedemdziesiąt minut przed planowym odlotem”. Czemu tak wcześnie? Odruchowo zerkam na czasomierz.

— Ale ma pan szczęście — z uznaniem stwierdza kierownica pekaesu oznaczonego tablicą „Lotnisko”, gdy zziąjany dopadam drzwi wozu — Odjeżdżamy. Kto się spóźnił, ten może dogonić samolot w Słupsku. Jeszcze zdąży. Placi pan sto dziesięć złotych — dodaje sucho.

Dogonić samolot — ładnie to brzmi. Ładnie i bardzo realnie. Tylko po co, skoro odlot z tutejszego lotniska ma nastąpić dopiero za ponad godzinę — wyliczam prowizorycznie. Ano zobaczymy.

Pekaes kluczy wąskimi ulicami miasta. Na rogu jednej z nich zabiera stewardesę i dwóch pilotów. Doliczam się łącznie aż czterem pasażerów. Uplywa kwadrans jazdy. Suniemy szeroką trasą mijając liczne wsie i osady. Po trzydziestu minutach milej skądinąd wycieczki krajoznawczej, lekko niepokój wypełnia wnętrze pojazdu.

— Panie, dobrze jedziemy? — zagaduje kierowcę jakiś mocno zaniepokojony jegomość.

— Rzecz jasna — pada mę-

ka odpowiedź. — Kierunek lotnisko.

— Ale, my jedziemy w przeciwnym kierunku niż mamy lecieć — zauważa sprostregawczy obywatel.

— Toż mówię, że jedziemy na lotnisko.

— Panie, ale to się kupy nie trzyma!

I ja tak myślę, ale głosu nie zabieram, bo z racji miejsca zamieszkania o komunikacji lotniczej wiem tyle, co kaczka o ornitologii.

Po czterdziestu minutach jazdy nasz autobus skręca w prawo i toczy się leśnym duktem wiodącym do tajemniczej zagrody. Hamuje u jej wrót.

— Pewnie mamy awaryjną — orzeka nagle przebudzony facet i wskazuje palcem na niewielki barak z napisem „ZGRZE POM”.

— Żeby tylko chłopcy z

jest mi wstyd, że za bilet płacę tylko głupie dwa sześćset.

Przez stanowisko kontroli osobistej nie przesłanie się nawet myśz z ostrymi zębami. To wiedzą wszyscy latający LOT-em, więc czym prędzej pozbywają się igieł, szpilek, żyłetek, lusterek, szydełek, opakowań szklanych, dezodorantów, noży, nożyczek, cyrki, szkolnych kluczy do konserw oraz innych przedmiotów powszechnie służących do uprowadzania samolotów.

Tak rozbrojeni mamy wreszcie prawo wstępu do tej części portu, która nosi nazwę sali odlotów. Aby przyszyć budowniczym Lublinka opisać, jak powinno wyglądać wnętrze prawdziwego portu lotniczego, posilkuję się spisem inwentarycznym, który akuratnie wisi na ścianie, jako motyw dekoracyjny. Stoi w nim: „krzesel —

44, stolików — 11, palm daktylowych — 2, agaw — 2, wykładowca — 3, firanek — 4, popielniczki stojących — 5, koszy na śmieci — 1”.

Kiedy już kończę spisywać inwentarz martwy lotniska, niezamocną ciszę przerywa triumfalny okrzyk czerwonego z emocji faceta o wyglądzie starszego referenta.

— Eureka! — powiada sapiąc ciężko. — Obliczyłem, że gdyby autobus, którym tutaj jechaliśmy, woził ludzi na lotnisko do Słupska, a nie do Zegrza, wówczas byłoby szybciej i taniej.

Marzyciel.

„Pasażerem odlatującym do Warszawy życzymy przyjemnej podróży” recytuje atlasowy głosik pilkerki.

Z biletem w zębach czaiemy po oblodzonych stopniach ku mrocznemu wnętrzu samolotu.

— Ja nie chcę! — opiera się paniusia w srebrnych lisach. — Przecież ten wrak jest polatany jak dziadkowe portki.

— Ciszzej Krycha — karci ją nieco odważniejszy małżonek. — Może jakoś doleciemy...

AN-24, pieczętliwie zwany „Antkiem” istotnie nie jest młokosem i nosi ślady burliwego żywota w chmurach.

— Te dziury to pamiętka z bitwy o Anglię — objaśnia pasażer z teczką. — Taki sam egzemplarz widziałem w muzeum awiacji.

Wchodzi matka z dziećmi, emeryci z ulgowymi biletami i fachowcy na delegacjach. „Mierz wysoko, lataj LOTem” — głosi reklamowy slogan. Mierzę wysoko — i walę głową w tłu lilipuciego wejścia. Jęknęło.

— Dzień dobry — wita stewardesa. — Proszę uważać, rozbije pan samolot.

Wzruszony troską o społeczne dobro rozcieram guza na czole. Mam nadzieję, że latający eksponat dobrze zniosł precyzyjny cios. Może jakoś doleciemy...

Przeciskam się na pokład „Antka”, z konieczności przybrawszy pozycję naszych przodków perfidnie zdemaskowanych przez Darwina. W dawnych czasach — myślę sobie — kiedy budowano te fruwające obiekty, statystyczny pasażer musiał być mocno karłowaty. Uparcie brnę dalej.

— Stop! — pada groźna komenda.

Na ramieniu czuję ciężką obciążenie. Nieśmiało podnoszę wzrok. Widzę dwa skórzane buty — najgorszy numer jedy-nasty, cętkowane spodnie, szeroki pas z ładownicami. Na prawym udzie nieznajomego wisi bębenkowa spłuwka z armatnią lufą — podobna do tej, jaką Kojak traktuje bandziorów. Na lewym udzie błyszczą metalowe ostrze — chyba do szlachetowania nierogacizny. Ani chybi porwacz! — zimny pot oblewa me obolałe czoło. To znaczy, że polecimy na Bornholm, albo do West Berlinu... Ładny gips.

Przelatując wrodozony lęk przed porywaczami wszelkiej maści, spoglądam wyżej. W najgorszym razie znowu dostanę w łeb — nie-szczęście chodzą parami. Wyżej jest kurtka moro rozpięta na atletycznych ramionach, zastawiających wejście do kabiny pilotów. Spod sufitu patrzy na mnie marsowe oblicze w polowej czapce. Kątem oka dostrzegam plaketkę na bluzie kultury.

— „Mileja”. Uiii! Wpę jednak polecimy zgodnie z planem.

— Dokąd? — pyta mój anioł stróż, bo widocznie nie wzbudzam zaufania. — Dalej nie wolno!

— Do Warszawy — odpowiadam zgodnie z prawdą, co wcale nie zadowala kultury. — Ja nie cierpię latać na Tempelhoff, nawet nie wiem, gdzie to jest — mamrocę pod nosem, żeby go udobuchać.

— Siadaj i zapij pasy — brzmi dobra rada.

Rzeczywiście, tak będzie lepiej. Zważywszy, że na plecach czuję gorący oddech drugiego anioła stróża z coltem. Imię i nazwisko, adres, numer dowodu osobistego... — szybkołto powtarzam w pamięci, żeby w razie czego nie podpaść głupio.

To nie na moje nerwy Marzę już tylko o powrocie na Bahuty, odkurzeniu starego roweru, którego mi nikt nie uprowadzi na obce lotnisko.

Tymczasem podniebni komandosi dobrze znani z filmu „72 godzin”, taksują klientów takimi wzrokiem, że nawet jakby któryś zamierował wycieczkę na Tempelhoff, dobrowolnie zrezygnuje z niej na rzecz emerytury w rodzinnym Pruszkowie.

— „Dzień dobry państwu. Witamy na pokładzie samolotu PLL LOT — chrypi w pokładowych głośnikach. — Nad bezpieczeństwem lotu czuwa patrol specjalny MO. Skuteczność tej opieki zależy od państwa. Prosimy nie wstawać z foteli. Gdyby zaszła konieczność, prosimy wsiąść zielony guzik znajdujący się nad głową i czekać”.

— Ale jakoś nikomu nie zachce się skorzystać.

„Antek” merda śmigłami obu silników. Trzęsie jak w rozklekotanej „Syrence”. Zimny wiatr buszuje po pokładzie, a trzeszczący głośnik uprzejmie instruuje, gdzie znajduje się wyjście awaryjne. Akurat się dzieje obok jednego z nich, więc

towarzysze niedoli patrzą na mnie niczym na urodzonego w czepku. Jeszcze chwila, a zdeponują u mnie co cenniejsze przedmioty...

— Kochanie, zapomnieliśmy pu-derniczki — oznajmia bładziutka matrona zakopana po uszy w futrze. — Muszę natychmiast wracać!

— Zostań! — syczy jej partner z równie niewyraźną miną. — Przecież ślubowałeś, że nie opuścisz mnie do końca.

„Antek” toczy się w kierunku pasa startowego. Przylepamy nosy do okragłych szyb iluminatorów. Naraz od prawego skrzydła z wstrząsającą delikatnością jak burza pruje ku nam bojowy wóz straży pożarnej. Na jego stopniach czatują dyżurni pożarnicy gotowi tygrysim skokiem rzucić się w ogień, by wyciągnąć nas z duraluminiowej konserwy. Ale ognia jeszcze nie widać, tylko zawłocowy nerwowo sięgają po tablety wyłuskiwane z papierków, bo szklane buteleczki zabrali im wcześniej. Mimo mrozu robi się dość gorąco. Patrząc w okienko staruszka zaczyna recytować:

— Ojciec nasz, któryś jest w niebie...

— Nie ma obawy — stanowczo twierdzi jakiś światowiec. — Polscy piloci nie mają sobie równych. Potrafią wystartować nawet taczka — tu znacząco wodzi wzrokiem po wnętrzu naszego przeznaczenia.

— I opuść nam nasze winy... — ciągnie nieufna kobiecina.

Coraz głośniejszy ryczał silniki gotowego do startu „Antka”. Maszyna rusza gwałtownie, nabiera pierwszej prędkości kosmicznej i wspinala odrywa się od ziemi.

— A nie mówili! — triumfuje światowiec. — Udało się.

Atmosfera sukcesu po brzęku wypelnia pokład. Dorosli cieszą się jak dzieci, dzieci cieszą się jak dorośli. Ogólna radość z lekką maci suchy komunikat: „Proszę państwa, kamizelki ratunkowe znajdują się pod fotelami. Proszę zapoznać się z instrukcją obsługi”.

— Czy będziemy przelatywać nad morzem? — pyta ktoś rezolutnie.

— Wczoraj jeszcze Warszawę nie miała dostępu do morza — zauważa inny sprostregawczy. — Ale bardzo możliwe, że się mylę, rano nie słuchałem radia. Dla zupełnej pewności pilnie studiujemy rysunkową instrukcję.

Stewardesa częstuje cukierkami. Poczwire landrynki są zawinięte w eksportowe papierki, co rzecz jasna czyni je znacznie smaczniejszymi. Lecz hojnie obdarowywani niewdzięcznicy głośno wybrzdają, domagając się zamiany słodkości na relanium. Niestety, dostępny jest tylko „Aviomarin”.

Najwyraźniej skutkiem ogólnego rozgorączkowania emocjami, temperatura powietrza skacze powyżej zera, o czym świadczą zanikanie szronu na brodach i wąsach pasażerów.

— Ech, wstałbym chętnie, żeby zdjąć kożuch — głośno marzy spocony tłuszczoch. — Ale życie mi młże. Wezmą mnie za terrorystę i przerobią na durszlak albo tatara...

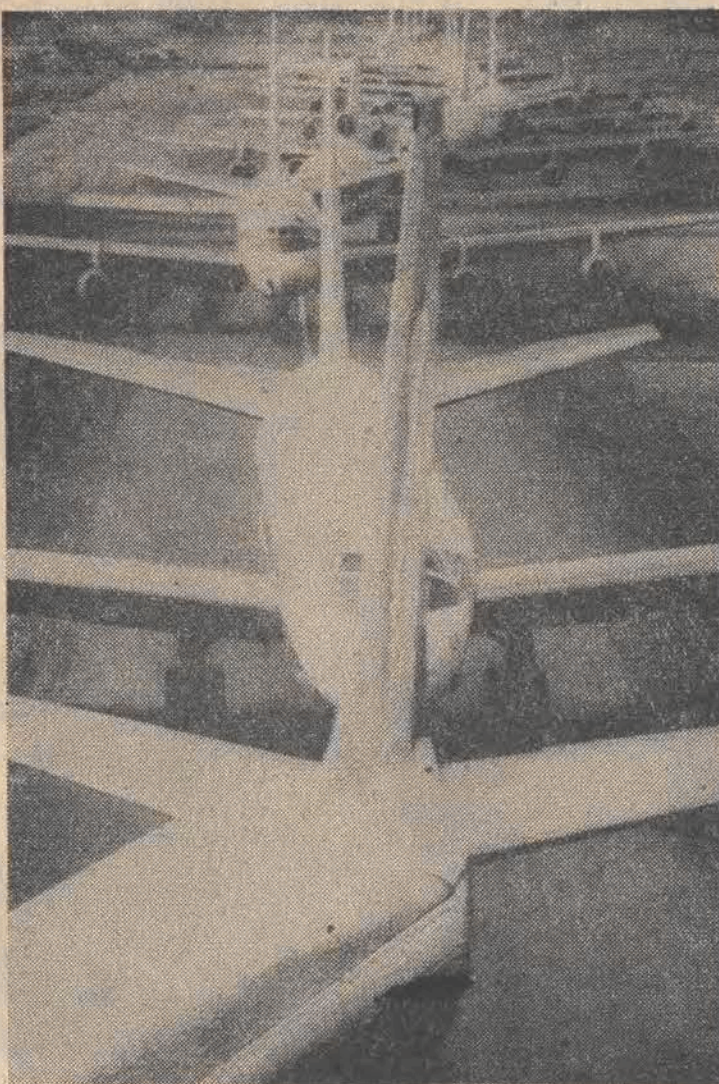
Siedzący grzecznie gapią się na zielony guzik w suficie.

W Słupsku ładujemy miękko i bez sensacji. Zaraz też zjawia się ekipa techniczna w o-sobie faceta z miotłkiem, który pieszczotliwie kopnąkami sprawdza stan ogumienia naszego „Antka”. Lecz widocznie coś jest nie tak jak być powinno, bo spec wymownie macha ręką. Siedząca przy oknie staruszka kontynuuje lekkomyślne przerwaną modlitwę.

Mija druga godzina od momentu, gdy świadomie, dobrowolnie i z podziwu godną ufnością oddałem się pod opiekę LOT. Zamraczam jednakże, że nie mam do nikogo żalu, albowiem wcale lecieć nie musiałem.

Dziękując PLL LOT za moc silnych wrażeń i solidny ładunek pierwszorzędnej rozrywki pragne nadmienić, że tekst mój jest równie bezinteresowną co niedoskonałą formą rewanżu. W skrytości ducha licząc na rychłe wybudowanie portu lotniczego „Lublink 1”, kreślę się z poważaniem:

ROMAN KUBIAK



— Od dawna gra pan w piłkę nożną?

— Od 13 roku życia.

— Ile pan ma teraz lat?

— Powiem wszystko: lat 28, wzrost 187 cm, oczy niebieskie, miejsce urodzenia — Radom, żonaty, dwoje dzieci: syn Tomek — lat 7, córka Katarzyna — 7 miesięcy, wykształcenie średnie, z zawodu technik hutnik. Czy coś jeszcze?

— A gdyby teraz przyszło panu wrócić do zawodu, to jak by z tym było?

— Niedobrze. Nie mam praktyki. Trzeba byłoby się wszystkiego uczyć od nowa.

— Czyli, że teraz pana zawodem jest: piłkarz?

— Tak wychodzi, a ściślej: bramkarz.

— Jak to się stało, że został pan bramkarzem?

— Zdecydował przypadek. Kilku moich kolegów z podstawówki grało w radomskiej Broni. Poszedłem z nimi na mecz. Przegrali 0:2. Bramkarz puszczał gole. W przerwie powiedział trenerowi, że jest tu z nimi taki chłopak, który lepiej broni niż ich bramkarz. Prawie siłą ściągnęli mnie do szatni i zmusili do wyjścia na boisko. Przegraliśmy wtedy 0:2, ale po przerwie, gdy byłem w bramce, nie padł już ani jeden gol. I tak zostałem trampkarzem.

— Czy to znaczy, że przedtem w ogóle nie grał pan w piłkę nożną?

— Grałem, ale z chłopcami po lekcjach, a nie w klubie.

— Został pan trampkarzem Broni, co było dalej?

— Gdy miałem zostać juniorem, a to wiązało się z koniecznością podpisania karty zgłoszenia, rodzice przeniesli się do innej dzielnicy Radomia, w pobliże stadionu Radomiaka. Z domu na boisko miałem 150 metrów. Nie miałem innego wyjścia, przeniosłem się i ja do Radomiaka. Gdy skończyłem 15 lat grałem już w seniorach w III lidze. Powoływano mnie do reprezentacji Polski juniorów, Radomiak awansował do II ligi. Było to wielkie święto w Radomiu. Ale w II lidze długo nie grałem.

— Zapewne padły propozycje nie do odrzucenia?

— Zgadza pani. Jesienią przyjechali działacze chorzowskiego Ruchu i zaproponowali przejście do nich. Była to już I liga, a Ruch wówczas liczył się w tej lidze, był w czołówce.

— Kiedy to było dokładnie i czy była to jedyna propozycja?

— To był 1974 rok i nie była to jedyna propozycja. Miałem kilka innych, ale od drużyn z II ligi i te odrzuciłem.

— W Ruchu — jak pamiętam — był wtedy dobry bramkarz, jeden z lepszych w kraju, Piotr Czaja. Poszedł więc pan na ławkę rezerwowych?

— Taki jest już los bramkarzy. Poszedłem na tę ławkę przez 3 lata. Ale nie zmarnowałem czasu. Dużo uczyłem się od Piotra. Czaja sam trenował bramkarzy, a przy tym

i siebie, więc można było wiele nauczyć się.

— W którym roku przeszedł pan do Widzewa?

— W 1982.

— Żeby znów usiąść na ławce rezerwowych?

— Przecież cały czas na tej ławce nie siedziałem. W Ruchu, jak już stanałem w bramce, to broniłem jej przez 4 lata. Do Widzewa też nie szedłem po to, aby siedzieć na ławce. To było po mistrzostwach świata w Hiszpanii. Pytałem wtedy Józka Młynarczyka, jakie ma zamiary. Szykował się do wyjazdu za granicę. Dla bramkarza taki wyjazd nie jest łatwy. Kluby chętniej kupują napastników, pomocników. Na bramkarzy nie ma takiego zapotrzebowania. Trzeba było więc poczekać. W pierwszym roku pobytu w Widzewie na 30 meczów ligowych rozegrałem 21. Jak by tak policzyć, to na ławce przesiedziałem w Widzewie półtora roku.

— Był pan wtedy drugim bramkarzem. Jak czuje się człowiek, kiedy ma świadomość, że jest drugi?

— To nie jest łatwo być tym drugim. Czasem ogarnia człowieka zwątpienie. Miałem jakie chwile, że chciałem rzucić to wszystko. Ale jakoś przemogłem się. Byłem przecież drugim po Józku Młynarczyku, który był najlepszym w Polsce bramkarzem. Poza tym wiele się od niego uczyłem. On mówił, że też uczy się ode mnie.

— Nie ma pan takiego uczucia, że zmarnował pan czas siedząc na ławce?

— Nie, choć przesiedziałem chyba 5 lat. Ale rozegrałem 170 meczów w lidze. Jak na bramkarza nie jest to mało.

— Z tabeli rozgrywek ligowych wynika, że należy pan do bramkarzy puszczających najmniej goli. Ale w reprezentacji pan nie gra. Dlaczego?

— Na to pytanie może odpowiedzieć trener reprezentacji Antoni Piechniczek. Ja mogę powiedzieć tylko tyle, że jestem brany pod uwagę. Jako kandydat do wyjazdu do Meksyku wśród 5 bramkarzy. Z tej piątki pojedzie trzech. Czy będę wśród nich?

— Do Włoch i Ameryki Północnej jednak pan nie pojedzie. Czy był pan gorszy od innych?

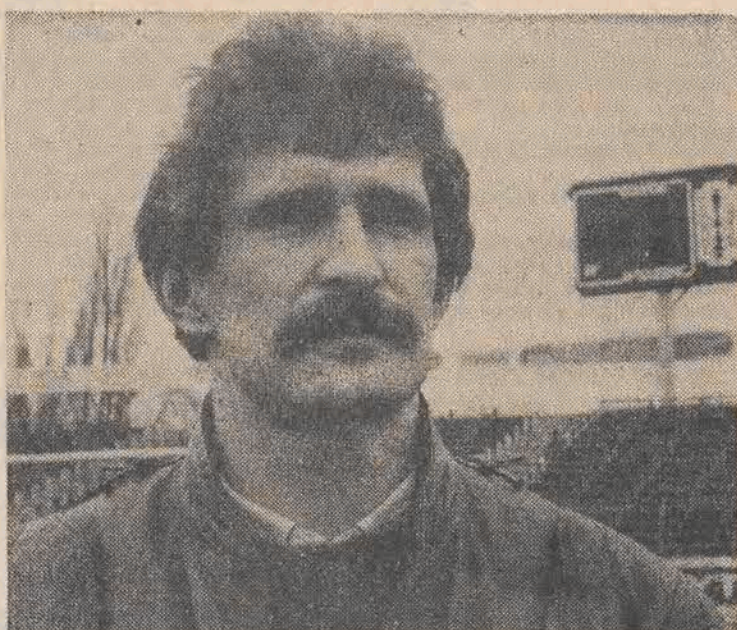
— Mnie jest trudno samego siebie oceniać. Nie czuję się gorszy. Ale trener ma prawo dobrać zawodników do swojej koncepcji. Mogę więc być w Meksyku, a może mecze tam rozgrywane oglądać tylko w telewizji. Byłoby trochę smutno.

— Bramkarza ocenia się najczęściej po ilości puszczonych goli, a powinna po tym, jak i ile obronił. Czy to sprawiedliwe?

— Czy to sprawiedliwe, nie wiem, ale rzeczywiście można czasem puścić zupełnie głupiego gola, a broni się pewnie strzały.

— Co to znaczy „głupi gol”?

— Wychodzi człowiek dobrze przygotowany na mecz. Zna przeciwnika. Wie na kogo trzeba uważać. A tu nagle wpada obrońca i strzela gola. Zask-



Nie czuję się gorszy

Rozmowa z HENRYKIEM BOLESTĄ, bramkarzem drużyny piłkarskiej RTS Widzew.

kuje bramkarza, który uważał i pilnował się zupełnie przed kimś innym.

— A pan na kogo szczególnie uważa?

— Groźni są na boisku Andrzej Iwan, Andrzej Zgutczyński, Krzysztof Baran, Andrzej Palasz, Jan Furtok.

— Nie wymieniał pan Dariusza Dziekanowskiego.

— Do niedawna grał razem z nami. Teraz gra przeciw. Bywa groźny. Trzeba będzie na niego uważać. Ale jeszcze tak się do tego nie przyzwyczailam.

— Bramkarz jest sam, czy też czuje pomoc całej drużyny?

— Nie powinien być sam. Musi mieć pomoc całej drużyny. Musi dobrze rozumieć się z obrońcami.

— A jak z tym jest w Widzewie?

— Nie narzekam. Obroną dobrze kieruje Roman Wójcicki. Obronę mamy dobrą, zgraną.

— Co pan czuje, gdy przed panem leży piłka 11 metrów od bramki a za nią stoi napastnik?

— Próbuje go wytrzymać. Na ogół mówi się, że to on ma 90 procent szans na strzelenie gola, ja tylko 10 procent, że obronie. Dochodzą do tego jeszcze inne czynniki. Na przykład stawka meczu. W meczu o Puchar Polski z GKS obrońcą 3 karne. W tym wypadku rolę się zmieniły. Strzelający był obciążony odpowiedzialnością. Od jego strzału zależał wynik meczu. Ja byłem w lepszej sytuacji. Mogłem spokojnie czekać na jego ruch. Przy strzeleniu karnego wszystko zależy od tego, kto wykona pierwszy ruch. Jeśli bramkarz

drgnie, to pokazuje którą stronę bramki będzie bronił i strzelec puszcza piłkę w przeciwny róg. Jeśli strzelec drgnie, to bramkarz ma czas, aby rzucić się we właściwą stronę. Jego szanse są wtedy większe.

— Na czym polega tajemnica dobrego bramkarza?

— Kibicom na trybunach może się wydawać, że wszyscy bramkarze są jednakowi. A to nieprawda. Każdy ma swój styl. Jeden lepiej broni na przedpolu, inny na linii bramkowej. Zawodnicy na ogół znają bramkarzy i wiedzą jak go pokonać, znają jego słabe strony. Bramkarze natomiast znają zawodników. Walka między bramkarzem a zawodnikiem polega na tym, kto kogo przechytrzy, zmusi do popełnienia błędu. Na tym polega cała tajemnica. Zmusić do popełnienia błędu.

— Czaruje pan bramkę?

— Każdy czaruje. Każdy na swoje sposoby.

— Jak pan to robi?

— Jeśli poprzedni mecz był wygrany, to staram się robić to samo, co wówczas. A jeśli przegrany, to robię wszystko inaczej.

— Czy wspomina pan jakiś mecz jako swój najgorszy?

— Tak. Jeszcze z czasów, gdy grałem w Ruchu. Prowadziliśmy wtedy 2:1 i po przerwie padło wyrównanie na 2:2. Koledzy oskarżyli mnie, że to było z mojej winy. Bardzo to przeżyłem. Do dziś to wspominałem jako moje najgorsze bramkarskie przeżycie.

— A najlepsze?

— Pucharowy mecz z GKS, kiedy obroniłem 3 rzuty karne pod rzad.

— Zna pan swoje błędy?

— Po każdym meczu analizuję się je. Dzięki temu następny mecz można ich uniknąć. Ale każdy zawodnik popełnia jakieś błędy. Bramkarz od tego nie jest wolny.

— Gdy tak patrzeć, jak bramkarz skacze po piłkę, pada z nią, przewraca się, to wydaje się, że musi być bardzo poobijany. A jak jest naprawdę?

— Różnie. Na miękkim boisku lepiej, na twardym gorzej. Na ogół bramkarze mają po meczu pościerną skórę na łokciach, nogach. Można sobie też odbić mięśnie. Ale to nie są groźne kontuzje. Gorzej jest, kiedy dochodzi do zderzenia z przeciwnikiem. Wtedy można odnieść poważniejsze kontuzje. Potłuczenia na mnie goła się szybko. Stosuję zresztą „Aktual”, który mi bardzo pomaga.

— Ludzie na ogół uważają, że piłkarze mają wspaniałe życie. A co pan o tym sądzi?

— Sądzę, że bardzo trudno jest być piłkarzem.

— Dlaczego pan tak sądzi? Przecież macie stypendia, premie za mecze. Sporo zatem zarabiacie. Macie różne ułatwienia, pomoc klubu.

— To się tak może z zewnątrz wydawać. Owszem mamy stypendia i mamy premie. Ale premie mamy za wygrane mecze, a nie każdy mecz się przecież wygrywa. Przeciwnik też chce wygrać. Premie mamy na ogół przez 7 miesięcy, gdy gramy, a przez pozostałe 5 tylko stypendia. Co się zarobi przez te 7 miesięcy wydaje się przez pozostałe 5. Mam samochody, mieszkania. Pomoc klubu, gdy potrzeba. Ale wiemy, że nie możemy grać przez całe życie i trzeba sobie jakoś zapewnić warunki życia na przyszłość. A groźna kontuzja może piłkarza na stałe wyeliminować z gry. I co wtedy?

— Czy gdyby mógł pan ponownie zacząć wszystko od nowa, to mając to doświadczenie, które pan już ma, zostałby pan bramkarzem?

— Tak. Trudne to życie, ale przyjemne. Piękna przygoda.

— Czy syn też będzie piłkarzem?

— To już będzie zależało od niego. Teraz cieszy się, że odciec gra, jest dumny i pawi się w piłkarza. Ale co będzie, gdy dorośnie, to pokaże przyszłość.

— Żonie podoba się pana zawód?

— Wychodziła za mąż za piłkarza, wiedziała co wybiera.

— Ale ma ciągle wyjeżdża, czy to ją nie denerwuje?

— Początkowo tak. Teraz przyzwyczaiła się. Musi opiekować się dziećmi. Chodzi jednak na wszystkie łódzkie mecze.

— Co zamierza pan robić dalej? Jakie ma pan plany na przyszłość?

— Bramkarz, tak jak wino, im starszy, tym lepszy. Bramkarze mogą dłużej grać od innych. W miarę grania nabierają doświadczenia. Mam nadzieję na wyjazd zagraniczny.

— Ale sam pan powiedział, że dla bramkarzy jest to bardzo trudne. Na dodatek nie

gra pan w reprezentacji, więc zagraniczni trenerzy nie mają takiej możliwości poznania pana. Jak to było w wypadku Jana Tomaszewskiego czy Józefa Młynarczyka.

— Zgadza się. Zawsze jest jednak możliwość wyjazdu do drużyny II lub nawet III ligi. A powód tego jest taki, że tam w ciągu roku, dwóch można zarobić tyle, ile u nas w ciągu 10 lat. Jest to jakiś sposób na zapewnienie sobie przyszłości.

— Kibice piszą do pana listy?

— Owszem. Najczęściej chłopcy z różnych klubów, którzy tam trenują i chcą być bramkarzami. Proszą o bramkarskie rękawice lub koszulki.

— I wysyła je pan?

— Przykro się przyznać, ale nie. Nawet nie odpisuję. Nie jestem w stanie. Musiałbym mieć prywatną wytwórnię rękawic i koszulek. A prawda jest taka, że jest to drogi sprzęt — jeśli można tak się wyrazić — i nie mamy go w nadmiarze. Ubiór bramkarza niszczy się szybciej niż innych zawodników, chociaż staram się oszczędzać i dbać na przykład o rękawice.

— Co pan najczęściej robi po meczu?

— Oglądam filmy. Kupiłem sobie magnetowid i czasem oglądam po 2 lub nawet 3 filmy dziennie. To zabiera dużo czasu, ale bardzo to lubię.

— Czy siedzenie przed telewizorem nie wpływa źle na sylwetkę?

— Codziennie przecież trenuję. Staram się mało jeść potraw mącznych i mało pić płynów. Mam skłonności do tycia. Ale na treningu łatwo zrzuć nadwagę. Gorzej jest zimą, gdy nie gramy. Staram się też nie pić alkoholu, ale nie mogę powiedzieć, że jestem abstynentem. Palę dziennie do 15 papierosów.

— Czy nie sądzi pan, że terminy rozgrywek ligowych są u nas źle ułożone? Zbyt duże są przerwy między sezonami ligowymi.

— Klimat nie porwała na ciągła grę, chociaż rzeczywiście długie przerwy dla piłkarza nie są korzystne.

— Jak pan patrzy na grę Widzewa od tyłu, od własnej bramki ocenia szanse w tym roku? Zdobędziecie mistrzostwo, czy zadowolicie się dalszym miejscem?

— Patrząc na naszą grę od bramki nie wydaje mi się, aby było nam źle. Wrócił Władysław Smolarek, wzmożni ataki. Cztery drużyny mają szanse na tytuł mistrza. W tych czterech drużynach jest też Widzew. Będziemy się starali.

— A jak pan ocenia nasze szanse w Meksyku?

— Trzeba wierzyć w sukces. Inaczej nie miałoby to sensu. Zespół jest młody ambitny, ale ma też dobry doświadczony trzon. Może to dać dobre rezultaty. Choć nie będzie łatwo. Silni przeciwnicy i trudne warunki klimatyczne. Przygotowanie musi być solidne i bez pudła. Ale o to już musza się martwić szkoleniowcy, lekarze. A tak będzie, zobaczymy.

Rozmawiała:
**BOGDA
MADEJ**



Foto: Grzegorz Galasiński

Marzyła mi się ta rozmowa od dawna. Bowiem ilekroć męskie fanaberie, podrażniona ambicja czy najwyklesza ochota na kłamię „pior” podpowiadała pomysł z kupnem koszuli, szare życie układało ten sam wciąż scenariusz. Znużona panienka, rzędy półek zapelnionych towarami, zwykle lekko przykurzonym i paru podobnych minie klientów usiłujących wśród klasycznej szarzysty wyprzedaż choć jedną, jedyną. A tu ograne fasony, wyblakłe kolorki: szarżale bęże i beżowe szarości, czasem twarzowy seledyn, niekiedy błękit, a najczęściej nieśmiertelna „biała, na każdą okazję”. Sklepy i stoiska z koszulami — bliźniaczo do siebie podobne, jakby przez kalkę produkowane i te niaki, latami niezmiennie królujące w foliowych woreczkach wzory. I tylko niekiedy życiowy, konspiracyjny szept: — **Niech pan zajrzy w poniedziałek, mają rzucić jakieś kraty z „Wólczanki”...**

No i wreszcie przebrała się miarka. Postanowiłem przyprzeć do muru utytułowanego przeciwnika, zaatakować serią najbardziej wrednych pytań, złośliwych pomówień i docinków. Błędy brutalnie wytknąć, a i ostrzem krytyki wychłostać! Wdziąłem tedy na się najlepszą z posiadanych koszul, co mi jeszcze ze „złotych” lat siedemdziesiątych się ostała i ruszyłem do jaskini Iwa, przy ulicy, Wólczańskiej numer 243 usytuowanej...

— **Panie dyrektorze, dlaczego nie ma koszul w sklepach?!!** — bezpardonowo ruszyłem do ataku tuż po przekroczeniu progu gabinetu dyrektora do spraw produkcji łódzkiej „Wólczanki” — Pawła Tobiasza. Zza biurka przyglądał mi się uważnie mężczyzna w wieku mniej więcej czterdziestu lat, uprzejmie uśmiechnięty, spokojny, bynajmniej nie zbity z tropu. W doskonałe skrojonym garniturze, harmonizującym z efektowną, błękitną koszulą i stonowanym szarym krawatem. Uprzejmie mnie zaprosił do zajęcia miejsca w wygodnym fotelu.

— **Czyżby rzeczywiście w sklepach brakowało naszych wyrobów?...**

— **No, niby są, ale dlaczego nie ma ładnych koszul?**

— **Aaa, to są dwie zupełnie różne kwestie i nie widzę przeszkód byśmy nie mogli przyprzeć się problemowi z bliska.**

— **Nie przepadam za klasycznymi liczbowymi wylczankami, ale sądzę, że tym razem kilka liczb się przyda. Ile krajowy potencjał zamierza w tym roku wyprodukować koszulek?**

— **W zaokrągleniu około 10 milionów sztuk...**

— **I tyleż standardowo nijakich trafi do sklepów?**

— **Powoli, powoli. Czy nijakich — o tym za chwilę, ale przede wszystkim powiedzmy wyraźnie, że do sieci sklepów krajowych dotrze około 5,5 miliona sztuk...**

— **No jasne, te najlepsze, najefektowniejse pojadą za granicę. Widziałem tego drogowego kołosa na holenderskiej rejestracji, tu, obok, na parkingu. To on wywiezie koszule, o jakich marzy każdy Polonus.**

— **To jeszcze co innego, Holender odbiera swój wyrób, sztytu nas „w przerobie”.**

— **???**

— **Nie, tą metodą do niczego nie dojdziemy. Umówmy się, że pan przez chwilę nie będzie mnie zarzucał gradem podchwytliwych pytań, a ja postaram się usystematyzować podstawowe dane, zgoda?**

— **Niech będzie.**

— **Więc tak. Wielkość rocznej produkcji już znamy, spróbujemy też wyeksportować w tym roku 4,5 miliona koszul do „kk” i „ks”. Większość, bo ponad milion, trafia do Związku Radzieckiego, z krajów tak zwanego drugiego obszaru płatniczego ponad 3 miliony sztuk naszych wyrobów sprzedajemy do RFN, Holandii, Finlandii, Norwegii, Danii.**

— **Ale...**

— **Umawialiśmy się? Wiem do czego pan zmierza. Koszule z naszych tkanin sprzedajemy średnio po... no tak, to jest szkopuł, bo wie pan, mnie obowiązuje jednak tajemnica handlowa. Wszystkich kart odkryć nie mogę, powiem tylko, że sprzedajemy i białki, i koszule po dobrych, europejskich cenach, a za sztukę otrzymujemy od kilku do kilkudziesięciu marek...**

— **Cóż to jest ów przerób?**

— **Dla nas oznacza to regularne, rytmiczne, ustalone co do godziny dostawy tkanin, wszelkich dodatków, układu kroju, nawet modeli koszuli czy bluzki. My dajemy tylko czystą robociznę. I dla przykładu firma holenderska „Van Heek”, z którą łączymy wieloletnią, obopólnie korzystną współpracę, a której samochód zapewne pan zauważył na parkingu, raz w tygodniu dostarcza nam to wszystko i natychmiast zabiera oczekującą partię gotowych wyrobów, zwykle około 7—8 tysięcy sztuk. Oprócz nich, na podobnych zasadach, szyjemy dla innej firmy holenderskiej — „Love jeans” i zachodniemieckiej „Ferse Blusen”.**

— **Czy to jest...**

— **Opiacielce. Oczywiście, dla obu stron. Najlepszy przykład, że żaden z zagranicznych kontrahentów nie wycofał się, ani nie zmniejszył zamówień na początku lat osiemdziesiątych, gdy kraj znalazł się w gospodarczym „dolku”. To chyba o czymś świadczy, ale też taką pozycję trzeba sobie było latami wypracowywać. Precyzją wykonania, najwyższą jakością, terminowością. Solidnemu partnerowi solidnie się też płaci...**

— **A dla was?**

— **Dla nas, to oprócz jakże istotnego zastrzyku finansowego możliwości stałego kontrolowania europejskich trendów w naszej branży. Holender nie przywozi — jak pan to nazwał — nijakiej, standardowej szarzysty, tylko modele aktualnie obowiązujące, najmodniejsze, bo na te ma rzecz jasna największy zbył. A więc o tym co się nosi wiemy tu drogą szybciej, niż z giełd czy specjalistycznych wydawnictw.**

— **Dłużej już nie zdzierzę tego siedzenia w milczeniu. Kolejne niedyskretnie pytanie: stan waszego konta?...**

— **Dewizowego?**

— **Oczywiście...**

— **Proszę bardzo. I żeby pan miał bardziej kompletny obraz dodam, że ubiegły rok zamknęliśmy zyskiem przekraczającym 1 miliard złotych, w tym 240 milionów złotych — z samego eksportu. A stan konta wynosił niecałe 2 miliony dolarów...**

— **Piękny wynik! O numer nie będę pytał, pewnie i tak jest na hasło... Ale poważnie! Nieco: co wy robicie z taką ilością dolarów? Chęć pewnie przeznaczacie na wczasy pracownicze na Florydzie czy choćby Majorce...**

— **Na razie kończymy budowę ośrodka w Rowach i chyba nam się to uda wyłącznie za złotych. A jeśli powiem, że według wszelkich znaków na niebie i ziemi pod koniec roku pozostanie nam zaledwie 200—250 tysięcy dolarów na tymże koncie to będzie pan zdziwiony?**

— **Raczej tak. Szalenie rozrzućna ta „Wólczanka”...**

— **Bynajmniej. Wymiana parku maszynowego — to podstawowe „źródło” naszych wydatków. Chcąc szyć więcej i lepiej, by wyeliminować ową „szarzystą”, musimy dysponować maszynami co najmniej średniej, europejskiej klasy. I takie mamy. Ale część starych, zużytych trzeba zastąpić nowymi, bardziej wydajnymi. W tym roku na przykład... Ale zaraz, dlaczego mam się sam męczyć, poproszę na chwilę Andrzeja, on panu wyluszczy sprawy precyzyjniej...**

Gospodarz podnosi słuchawkę telefonu i po chwili w drzwiach staje kolejny z szefów firmy — dyrektor do spraw technicznych czyli Andrzej Kołacz. Też energiczny, uśmiechnięty, prasy się nie lekka i też w efektownej jasnobłękowej koszuli z małym kołnierzykiem zapinany na guziczki.

— **Posiadamy ponad 2600 maszyn, w większości produkcji japońskiej i RFN. Gdyby nie było eksportu, który zarabia na cykliczną ich wymianę i zakup niezbędnych części, nie byłoby mowy o wysokiej jakości naszych wyrobów, to chyba rozumiałe. W tym roku musimy wymienić ze względu na wysokie zużycie około 280 maszyn. Zamierzamy kupić między innymi nowoczesne maszyny prasownicze w RFN, firmy „Kannegiesser”, kilka automatów do naszywania kieszeni; jako jedyni w kraju będziemy też mieć automaty do koszulowych plis, a warto wiedzieć, że jeden taki automat, pomijając już precyzję wykonania, zastępuje pracę 9 osób.**

— **I ten nowoczesny, specjalistyczny sprzęt powoduje, że każdy brakujący drobiazg musicie kupować za waluty wymienialne...**

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Blizsza ciążu, ale wciąż niedostępna!

— **No, nie jest aż tak źle — dyrektor Kołacz w lot wyczuwa moje „nieczyste” intencje. — W miarę naszych możliwości niektóre elementy sami regenerujemy a nawet w całości wykonujemy w zakładzie. Tylko z tego tytułu roczne oszczędności w dewizach liczone sięgają 1200—1300 dolarów. Ale nie sposób nie wspomnieć, że część naszych walutowych zasobów przekazujemy kooperantom, głównie na rozmaite komponenty do wykończenia tkanin dla nas. To tak w skrócie, gdybyś mnie Paweł potrzebował to jestem obok, ale mam małą naradę. No, leć, miło mi było pana poznać...**

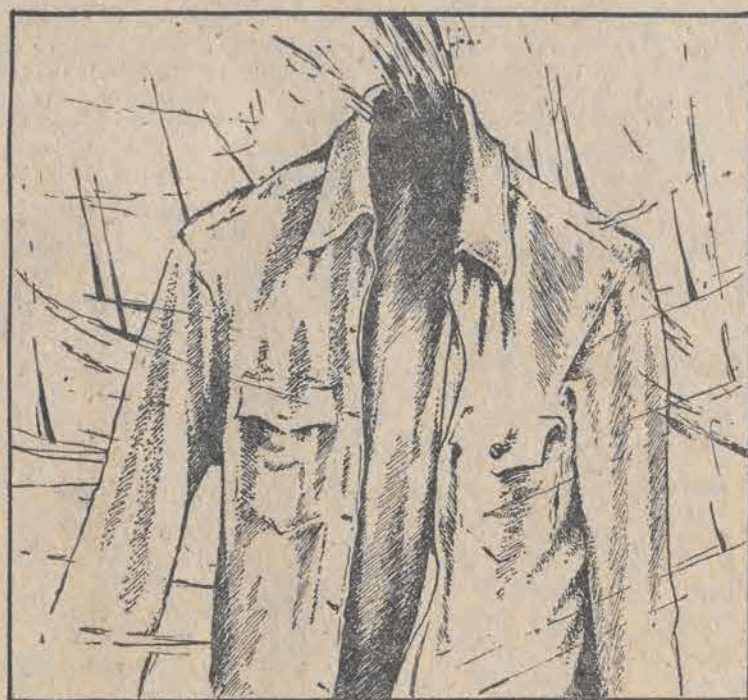
— **I wyjaśniła się sprawa naszej rozrzućności... — śmieje się dyrektor Tobiasz, gdy zostajemy sami.**

— **Wiem już, że „Wólczanka” zatrudnia około 5 tysięcy osób i jest bodaj największym zakładem odzieżowym w kraju, a przytaczając większość załogi stanowią kobiety...**

— **Wszystko to prawda, ale mam wrażenie, że znów przygotowuje pan jakieś pytanie cięższego kalibru, nieprawdaż?...**

— **Ależ skąd! Firmę tworzy kilka zakładów, przy czym łódzki jest jednym z mniejszych...**

— **Tak, dokładnie — sześć zakładów, a łódzki jest wręcz najmniejszy, zatrudnia zaledwie 350 osób i specjalizuje się w szyciu wyłącznie bluzek. Pozostałe zakłady to — Wieruszów, Łask, Opatów i dwa w Ostrowcu Świętokrzyskim. Ale jeśli do tego pan zmierza, to znów odpowiem profilaktycznie: wszystkie szyją eksport, wszystkie to bez problemów potrafią i wszystkie mają z tego tytułu korzyści.**



Rys. Janusz Szymański-Glanc

— **No dobrze, więc wróćmy do pytania, które mnie do pana dyrektora sprowadziło: dlaczego nie ma w sklepach ładnych, modnych koszul? Wiem już że potraficie, ale głównie na eksport, że nie wspomnę o nieszczęsnym „przerobie”; orientację co modne małe, maszyny nowoczesne, załoga zgrana, zręczna w palcach. Więc dlaczego?...**

— **Szczerze i po męsku?**

— **Wyłącznie!**

— **No to jedziemy. Koszul, jak pan słusznie zauważył na początku, nie brakuje. Brakuje ładnych, modnych propozycji, bogatszej, urozmaiconej oferty. I my o tym wiemy! Rynek został już prawie nasycony koszulami standardowymi — tak je nazwijmy umownie — i klient szuka czegoś ekstra.**

— **I powinien znaleźć! A „Wólczanka” śpi...**

— **Nie, to nieprawda. Raczej jest momentami beśsilna. Bo coś się składa na modną koszulę? Jej całościowa konstrukcja czyli krój, dodatki oraz tkanina, z której ją uszyjemy. Wszyscy liczący się projektanci i producenci na świecie „idą” obecnie w kierunku maksymalnego uatrakcyjnienia wyrobu przez zastosowanie nowych rodzajów tkanin, wzbogacanie kolorystyki, ponieważ w kroju i dodatkach wymyślono już prawie wszystko.**

— **Ale u was jest to nierealne...**

— **Wprost przeciwnie! Mogę panu uszyć najmodniejszą koszulę, model obowiązujący w tym miesiącu wręcz, firma jest na to naprawdę przygotowana. Ale na piękną koszulę nie mam odpowiedniej tkaniny.**

— **Aaa, tu jest pies pogrzebany. Teraz zaczniemy narzekać na producentów tak zwanego metrażu, dobrze mówię?**

— **Nie będziemy narzekać, bo to byłoby najłatwiejsze, oni mają swoje kłopoty, ja — swoje. Ale gdyby mogli się przestawić, co wciąż jest naszym marzeniem, na atrakcyjne, modne rodzaje tkanin, zapewniam, że nie doszłoby z pewnością do pańskiej wizyty w „Wólczance”, choć jest mi bardzo miło...**

— **Czyżby w dobie walki o maksymalny eksport te najciekawsze gatunki tkanin wyjeżdżały za granicę?...**

— **Sorry, ale to pytanie nie do mnie...**

— **Ech, ta wasza handlowa dyplomacja. A jakież to tkaniny sną się szefom koszulowego potentata po nocach?**

— **To co obowiązuje na świecie: tak zwane tkaniny „gofrowane”, drukowane, nabylszczone, tkaniny o splocie żakardowym, „gniecione” — to tylko kilka przykładów. A poza tym — kolorystyka!**

— **No, jest i moja „ukochana” szarzystka! Rozumiem, że ma pan do dyspozycji głównie elanobawełną o deseniach powtarzających się od lat, i w kolorach bladych, nijakich, pastelowych. A uchylny spragnionym Czytelnikom rabka tajemnicy: co się nosi i w jakich kolorach? Czyli: co mógłby pan produkować, gdyby...**

— **Rynek zdominowała koszula sportowa, nie mówimy rzecz jasna w tym momencie o stylu klasycznym, czyli modelu do garnituru ślubnego lub jak kto woli — wyjściowego. Triumfy świeci dziś koszula luźna, w formie bluzonu, wydłużona, noszona na wierzch. O żywych barwach: ostra żółć, amarant, turkus. Modne są bardzo pasy, kraty, ale w tych samych kolorach. Wszelkie blade, niewyraźne odcienie są po prostu niemożliwe! Wraca kołnierzyk wydłużony, przypinany na guziczki, jak również kołnierzyk „lamany”, jaki nosili nasi dziadkowie. Tak zwana stójka to już przeżytek, podobnie jak kołnierzyki okragłe. Koszule te szyte są z tak atrakcyjnych tkanin, że raczej nie stosuje się nadmiaru dodatkowych „ozdób”, różnego rodzaju plis czy kieszonek.**

— **A skąd pan to wszystko wie? „Burdę” pan czytuje czy co?**

— **No widzi pan: kłania się ów nie lubiany „przerób”. Ale nie tylko, są przecież giełdy, pokazy, z żurnali też korzystamy, nasi plastycy są w stałym kontakcie z komórką wzornictwa Zrzeszenia Producentów Odzieży. Ale faktem jest, że firma i „Burdę” prenumeruje. Cóż, trzeba być na bieżąco...**

— **Wątpiła to chyba przyjemność, jeśli nie mogę takich jak opisane koszul znaleźć na rynku.**

— **No, tak całkiem źle to jeszcze nie jest...**

— **Czyżby udało się wyrwać parę metrów dobrej, modnej tkaniny opornym producentom?**

— **To jeszcze wciąż nie jest to, co byśmy chcieli i nie te ilości przede wszystkim, ale trochę modnych koszul pojawi się w tym roku w sklepach.**

— **Czym więc uraczy mężczyzna firma?**

— **Będą to partie koszul typowo sportowych, obszernych, o wydłużonej linii, w kolorach powiedzmy zbliżonych do aktualnych wymagań mody i — uwaga — prezentowanych na wieszakach, nie złożonych w torebce. Generalnie chcemy doprowadzić do sytuacji, by, nazwijmy to umownie, podanie koszuli polskiemu klientowi niczym nie różniło się od stylu w jakim prezentuje się i sprzedaje tego typu wyroby za granicą...**

— **Diękuję, ja już chyba pójdę, widzę, że wchodzimy w obce mi rewiry czarnej magii, wróżbiarstwa i science fiction...**

— **Spokojnie, spokojnie, niech pan wysłucha mnie do końca. Wystarczy jeśli powiem, że obecnie, niemal wszystkie nasze koszule legitymujące się znakiem jakości „I” są „wystrojone” identycznie jak te sprzedawane do krajów drugiego obszaru. Inne mają nawet tekturki, na których są upięte, modne dodatki inne opakowania. To jeszcze nie są te wymienione wcześniej, a co tu ukrywać — wymarzone i przez nas tkaniny, ale prezentują się zupełnie inaczej niż dotychczas oferowane wyroby „Wólczanki”.**

— **Ciekawe, a słyszałem kiedyś, że ładną koszulę to i w gazetę owinięta można spokojnie sprzedawać...**

— **Tak, to niech to spróbuje, czynić autor tej „złotej myśli”. Tego typu propozycje to delikatnie mówiąc czysty anachronizm!**

— **A gdzie te piękności można obejrzeć?**

— **Choćby na wiosennych targach w Poznaniu...**

— **A kupić?**

— **Na początku drugiego kwartału powinny pojawić się w sklepach...**

— **W których?**

— **No, tego tak naprawdę to nikt nie wie. Ale będą to spore ilości, około 10 procent naszych wyrobów tegorocznych będzie już prezentować zmieniony styl.**

— **Wspomniał pan o zmienionych między innymi opakowaniach. Czy to oznacza, że jednym problemem z jakim boryka się firma to te nieszczerne, modne tkaniny, a dodatków czy choćby owych toreb macie pod dostatkiem i to najwyższej jakości?**

— **Drogi redaktorze, musiałby pan mieć jeszcze parę godzin czasu i jeszcze jeden gruby brulion do notowania. Ale przecież nie o to chodzi, bym zanudzał pana i Czytelników opowieściami o naszych szarych, codziennych zmaganiach! Walczymy jak możemy. Ostatnio, dzięki współpracy z warszawskim Instytutem Chemii, udało nam się namówić Przedsiębiorstwo Doświadczalne Opakowań w Białymstoku do produkcji nowego zupełnie wzoru toreb. Będą kopertowe, wytrzymałe, a przede wszystkim — idealnie przeźroczyste. Dotychczas zdarzało się, że biała koszula sprzedawana była w opakowaniu w kolorze mlecznym. A to przecież błąd w sztuce. O braku papieru wie pan więcej ode mnie, więc nie ma sensu narzekać na brak odpowiednich tektur do koszul...**

— **Zamknąłem więc brulion, ale i tak przegadaliśmy jeszcze dobrą godzinę. A dowiedziałem się jeszcze że największe nadzieje wiąże firma z zakładami „Andropol” w Andrychowie, które jak mogą starać się ze swymi tkaninami trafić w wybredne gusty szefów „Wólczanki”, za co im chwala. Wiem już, że dla każdego kraju inne są tabele niby typowych wymiarów i w koszulę numer „40” szyta dla Fina, Niemiec czy Duńczyk się nie zmieści, ale odwrotnie — jak najbardziej. Dowiedziałem się wreszcie, że ta, którą mam na sobie, jest już od dobrych dwóch lat niemożliwa...**

— **A pan gdzie się ubiera, dyrektorze? Skąd ten piękny błękit w misterny prążek?**

— **Ta? To nasza, „Wólczanka”. Bywają w sklepach...**

— **Właśnie, bywają. Czyli, jak na razie, musimy drodzy panowie pilnować stoisk, dostaw wypratywać, do dziewczyn za ładą przymilnie się uśmiechać. Będą modne koszule tyle że mało i marna to pociecha, że wiemy dlaczego. Na szczęście lato ma być upalne w tym roku. Wystrójmy się w podkoszulki! Tu już żadne światowe trendy nam niestraszne...**

Zawoja koło Makowa Podhalańskiego jest podobno największą wsią w Polsce (gmina Zawoja, obejmująca praktycznie tę jedną wieś, liczy sobie 9 tysięcy mieszkańców i 140 kilometrów kwadratowych powierzchni) i może właśnie dlatego organizatorzy wybrali ją sobie na miejsce dorocznego, ogólnopolskiego spotkania kabaretów wiejskich.

Ta piękna wieś położona w Beskidzie u stóp Babiej Góry ma jednak poważny mankament — dojechać do niej trudno... Wasz reporter musiał dojechać się pociągami do miejscowości Sucha Beskidzka, a do Zawoi koszarowym, lokalnym autobusem PKS. Zwracam uwagę zarówno korekty jak i drogie, czytelników na piśmownię „Sucha Beskidzka”. Należy ją traktować z całą powagą i nie ulegać czarowi fonetyki. Mogłoby to bowiem sugerować istnienie miejscowości „Sucha z kickiem”. A takiej nie ma.

Na zaproszenie gospodarzy, Ośrodka Kultury Wsi ZMW „Scena Ludowa” z siedzibą w Krakowie, zjechały do Zawoi kabarety w liczbie 15 (na 28 zgłoszonych), liczna grupa obserwatorów — w tym ok. 20 dziennikarzy i aż trzy ekipy TV! Konkurs obserwowało bacznie pięćosobowe jury, w składzie którego zasiadały dwa niekwestionowane autorytety — Jan Poprawa i Marek Pacuła. Przewodniczyli znani — jak sądzę — autor kabaretowy i animator amatorskiego ruchu artystycznego Andrzej Górskich.

CO TO JEST KABARET WIEJSKI?

Pytanie to wracało jak bumerang zarówno w oficjalnych konferencjach jak i w kulturalnych rozmowach. Jedni twierdzili, że kabaret wiejski to taki, który na wsi działa, w którym występują mieszkańcy wsi. Inni „wiejskość” wiązali wyłącznie z tematyką — wiejski kabaret ma za przedmiot satyry niedomogi wsi współczesnej, kłopoty rolników, biurokrację gminną itp. Jeden z dyskutantów użył nawet sformułowania „martyrologia rolnika polskiego” co — jak sądzę — miało oznaczać trudność z nabyciem nawozów sztucznych i sznurka do snopowiązelek, niesolidność usług kółek rolniczych itp.

Miał ktoś, a szczerze mówiąc nikt oprócz niżej podpisanego, nie próbował sprowadzić sporu do kategorii form: dla mnie kabaret wiejski to — przede wszystkim — taki teatrzyk satyryczny, który czerpie ze skarbnicy folkloru muzycznego, używa autentycznej gwary, obraca się w kręgu

problematyki wiejskiej a także — co bardzo istotne — prezentuje wiejską, zdroworoządkową mentalność, ludowy, rubaszny, racjonalistyczny i realistyczny humor.

W gruncie rzeczy może to być kabaret działający w samej Warszawie, choć — oczywiście — najbardziej autentyczny będzie wtedy, kiedy opierze się na własnych tekstach i amatorskim aktorstwie oraz piosenkarstwie prawdziwych mieszkańców wsi.

Jeden z jurorów, Andrzej Pawłowski, nazwał takie rozumowanie obraźliwym dla wsi i jej mieszkańców. Jury w ogóle najchętniej zrezygnowałoby z przymiotnika „wiejski”. Kabaret wiejski — twierdził Andrzej Górskich — nie jest gor-

zanki skeczów i piosenek nazywana, z reguły na wyrost, kabaretem takie szanse daje i... i bardzo dobrze!

Także socjologicznej natury jest inna obserwacja, jaką poczynił (nie tylko ja, podobnego zdania było wielu): na styl artystyczny i zawartość treściową oglądanych piętnastu kabarecików ma przemożny wpływ telewizja. Przeważają dowcipy o telewizji, o dzienniku TV i serialach. Ale nie tylko. Programy tych amatorskich scenek są napisane i wyreżyserowane tak, jakby miały być pokazane na ekranie! Są to — na ogół dość nieudolne — naśladownictwa programów rozrywkowych TV — te piosenki jak na festiwal w Opolu lub Kolobrzegu, te skecze,

prawdopodobniej nigdy nie zobaczy omawianych programów. Krępuje to autora, który w tej sytuacji zmuszony jest lapidarnie i możliwie plastycznie scharakteryzować nagrodzone programy a jednocześnie uniknąć ich recenzowania. Recenzja bowiem — w założeniu przynajmniej — ma zachęcić lub zniechęcić do obejrzenia tego, co recenzowane.

Pierwszej nagrody nie przyznano. Dwie drugie przypadły zespołom z Polski północnej: „Ortalion 80” z Lidzbarka Warmińskiego i „Zadło” z Biskupca w województwie olsztyńskim. Obydwa zespoły prezentowały teksty na — prawie — przyzwoitym poziomie, pisane zresztą przez profesjonalistów. Obydwa charakteryzo-

mi napisali teksty, podejmowali mniej lub bardziej udane próby „podejścia” do autentycznej problematyki wsi. Byli wreszcie naprawdę zabawni i wyraźnie sami dobrze się bawili. Dobrze przyjęta przez widownię sekwencja „mundialowa” kupila na pniu koleżanka Katarzyna Dowbor ze Studia 1 i nawet filmowała jakiś mecz między ekipą „Kociuby” a drużyną piłkarską odbywającą w Zawoi obóz treningowy. Piłkarze byli zresztą cały czas aktywnymi kibicami przegladu, reagowali żywo, może nazbyt żywo... Być może drużyny klasy „C”, „D” i dalszych nie obowiązuje rygorystycznie abstenencja.

Wyróżnienia zdobyły zespoły: „Cep” z Lipki w woj. pilskim,

głupcy... Bowiem bardzo różne bywa

POCZUCIE HUMORU

autorów i wykonawców wiejskiego kabaretu...

Wiadomo, że najśmieszniej jest, kiedy ze sceny lub estrady padnie słowo „dupa”. Tę prostą prawdę znają wszystkie niemal występujące w przeglądzie kabarety. Nie brakło zatem — o! nie brakło... dowcipów, dowcipuszków i dowcipasów na tematy męsko-damskie, na temat różnic anatomicznych między piciami itd., itd. Drugą sferą była telewizja, o czym już wspominałem. Trochę gorzej było z tematyką wiejską: prawie nie o autentycznych problemach, bólach i trudnościach wsi. Wiadomo, nie ma wzorów! Sporo o wiejskim wódochleństwie i chuligaństwie.

Ambicje z dziedziny satyry politycznej kończyły się w okolicach uszu ministra Urbana. Były to dowcipy z trzeciej, a nawet czwartej ręki, nudne, głupie i nieśmieszne. A było tego sporo, całą antologię można zestawiać, tylko po co? Odważniejszych prób politycznej złośliwości nie odnotowałem. I nie była to kwestia obecności na sali pani cenzor z wojewódzkiej agencji Głównego Urzędu Kontroli. Pani cenzor, jak zdążyłem się zorientować, była raczej uczulona na teksty swawolne, obyczajowe. Zatrzymywała dowcipy „co to pan wisz a ja rozumiem”, choć teksty były już ocenzone poprzednio w agendach cenzury właściwych dla miejsca działalności kabaretów. Widać w Beskidach obyczaj surowsze?

Osobną kwestią jest stosunek wiejskich kabaretów do gwary i dialektów. Oprócz jednej próby (wspomniany już „Cep”) młodzież wiejsko-kabaretowa, jeśli już sięga po gwary, to wyraźnie widać, że wzory czerpie od soltysa Kierdziołka „Wesołego Autobusu” i „W Jezierzanach”. Jest to mowa wyprana z prawdziwych regionalizmów „gwara ogólnowiejska”. A szkoda!

HEJ GÓRY, NASE GÓRY!

W słoneczne przedpołudnie wybrałem się z redaktorem Zbigniewem Korzeniowskim z łódzkiej rozgłośni Polskiego Radia na spacer i rozmowę z dyrektorem Babogórskiego Parku Narodowego, inżynierem Stefanem Kalwą. Dyrektor boleje bardzo nad stadną turystyką w Parku Narodowym. Zaprasza turystów serdecznie, ale indywidualnych, kulturalnych takich co roślinność nie niszczą i zwierzyńca nie płoszą. O kabaretach wiejskich nie rozmawialiśmy...

ANDRZEJ KAROLCZAK

W co się bawić na wsi? W kabaret!

szy od kabaretu miejskiego. Zdanie to powinno być śluzne teoretycznie, praktycznie jednak to, co prezentowano w Zawoi, świadczyło dowodnie, iż jest akurat inaczej...

Nie bawmy się w teorie i próby normatywnej definicji. Popatrzmy, czym jest, a nie czym być powinien kabaret wiejski.

A jest to przede wszystkim

INTERESUJĄCE ZJAWISKO SOCJOLOGICZNE

Znawcy przedmiotu twierdzą, że w Polsce działa aż 300 kabaretów wiejskich! Chętnie w to wierzę — młodzież wiejska, w najrozsądniejszy sposób zachęcana, jeśli wręcz nie zmuszana do uczestniczenia w całym mazowszańskim - cepeliowskim, lipnym, a jakże często zupełnie martwym skansenie pt. zespoły pieśni i tańca hop dżidana dana! — w naturalny sposób odwołuje i szuka rozrywki cokolwiek nowszej. Szuka form, w których może dać wyraz swemu stosunkowi do świata tu i teraz, a nie powiełać w nieskończoność muzealne kawałki typu wesele ludowe na Kurpiach (Podlasiu, Mazowszu, Podhalu itd. — niepotrzebne skreślić). Łużna, urozmaicona i pozornie łatwa forma skla-

senki i monologi — skauci piwni? Studio 1? Bo nie kabarecik Olgi Lipińskiej, niestety...

Może to właśnie jest przyczyna, że TV przysłała trzy ekipy, w tym jedną właśnie Studia 1, a krakowski ośrodek telewizyjny unfundował nagrodę?

Skoro o nagrodach mowa, to werdykt jury dość wyraźnie odzwierciedlał gusty samych jurorów (trudno, żeby było inaczej), ale nie zawierał czegoś, czego — być może — niektórzy uczestnicy spotkania oczekiwali. Nie zawierał pewnego elementu pedagogicznego. Jestem otóż zdania, że kryteria artystyczne, bardzo ważne, jeśli nie najważniejsze, muszą być na tego typu amatorskiej imprezie wsparte pewną refleksją wychowawczą. Werdykt powinien premiować to, co nazwał można trafnym kierunkiem poszukiwań, nawet, jeśli poziom wykonawczy nie dorasta jeszcze do oczekiwań jury. A oto

LISTA LAUREATÓW

którą przedstawiam z oszczędnym komentarzem. Mam bowiem krępującą nieco świadomość, że ogromna większość Czytelników tego tekstu, nawet jeśli doczytała go do tego miejsca, nie widziała i naj-

wały się skuteczną (tak bym to nazwał) reżyserią. Skuteczną, bo bez udziwnień i „pomysłów”, za to spektakle były utrzymane w rytmie, nie rozlażyły się. Obydwie drugie nagrody świadczą o określonej tendencji jury: premiowanie kierunku na profesjonalizację wykonawczą, tekstową i muzyczną.

Gwoli sprawiedliwości odnotować muszą, że znaczna część tekstów prezentowanych przez „Ortalion” była autorstwa przewodniczącego jury... Nie komentuję tego faktu, takie praktyki — aczkolwiek z pewnymi oporami — wchodzą na stałe do tradycji amatorskiego ruchu artystycznego i stają się powoli polską normą (moralną).

Dwie równorzędne nagrody trzeciej zdobyły zespoły: „Kociuba” za program „Żona dla Wsioguna” z Sycowa i kabaret „U Haka” ze Słup i w województwie kaliskim.

Obydwa zespoły różnią się znacznie: „U Haka” to zespół uczniów z Zespołu Szkół Rolniczych. Kabaret z ambicjami przypominający zespoły studenckie wyraźnie zaspokajał tęsknotę jurorów do kabaretu „miejskiego”.

Natomiast „Kociuba” zastępowała na wyższą — sądzę — lokatę. Członkowie zespołu sa-

Teksty kabaretu „Ortalion 80”

WŁADYSŁAW KATARZYŃSKI

Kolysanka

Rośnij mi, rośnij, rośnij powoli
Rośnij jak pączek w tłuszczu
Tak mi się wspinaj, jak biust Marioli
Poznanej w Swinoujściu

Tak mi wyrastaj, jak kac po wódce
Nawis i płaskostopie
Rośnij mi, rośnij, a będziesz wkrótce
Największa w Europie!

Ceno, ceno umowna
Nie wcinasz mięsa z karteł
Ani „Bebika”
Wiec jak — u licha
Wyrosłaś z krótkich majtek?

Ceno, ceno umowna
Ty nie karmiona smoczkiem
Nie jadasz kaszy, ni innej paszy
A jednak ciągle rośniesz!

Rośnij mi, rośnij niby sromotnik
Alba zbożowy wolek
A kiedy już się zwielokrotnisz
Do sklepu cię zabiorę!

Lecz nie patrz w moje oczy, ozule
Koloru wiązki siana
Nie stać mi będzie na koszulę
By nakryć Ci kolana!

Ceno, ceno umowna ... itd. ...

Rośnij mi serio i pół żartem
Jak doświadczanie z wiekiem
Rośnij, a będę musiał całkiem
Przerzucić Cię na dietę!

Choć ci repety nie dokładam
Dalej rosnać zamierzasz
Coś mi się zdaje, że wyjadasz
Jedzenie nam z talerza!

Ceno, ceno umowna ... itd. ...

Marszowa ballada z awansem

WŁADYSŁAW STRUTYŃSKI

Nie chcą młode dziewczuchy
Świnkom dawać serwatki
Ciagać za krwi cycek
I wyszywać makałki (do Cepelii)
Tata sprzedaje jałóWKi
Byczki i wszystkie króWKi
Kupi salon fryzjerski dla córki

Ref.
Dezodoranty i perfumy
To jej marzenie, co w niej drzemie
A ona czesze, forę czesze
Ku wszystkich uciec... na wikt

LZS-u miał dosyć
I dyskotek w geesie
Transfer mu się nadarzył
Zmieni traktor na fiata
LZS dostał piłki
Siatkę, buty i trampki
A nasz bohater w lidze
Strzela bramki

Ref.
Stadiony i wielbiciele
To jego marzenie, w nim drzemie
A on goni za piłką goni
Ku wszystkich uciec... na wikt

Raz w video-tece
Snajper nasz ją zobaczył
Złaczyli uczucia
M-5, fiata i daczę
A kontakt z folklorem
Mają przed telewizorem
Są dla innych wzorem
Ref. la, la, la, la, la, la, la,



Na przełomie listopada i grudnia 1985 r. byłem w RFN. Tak się złożyło, że w dniu przyjazdu przeczytałem w „Die Zeit” (nr 49) rozdział pierwszy najnowszej powieści Güntera Grassa o niesamowitym prawie tytule „Szczurzyca”. Po tygodniu na łamach tego znakomitego tygodnika ukazał się rozdział czwarty. Cała powieść, niewątpliwie potężny fresk epicki z licznymi rysunkami autora — niektóre z nich reprodukuje — ukaże się w końcu marca 1986 r. w Wydawnictwie Luchterhand. Lektura wywarła na mnie silne wrażenie, postanowiłem przełożyć choć pierwszy rozdział. Ubiegał mnie wprawdzie Adam Krzemiński, ogłaszając w „Polityce” z 1985 r. (nr 3) przekład (z komentarzem) fragmentów tego rozdziału, miałem zatem zrezygnować, ale zachęcono prośbą red. Grzegorza Gądy — uległem. Mocowanie się ze sztuką pisarską tej klasy (i skali) trudności może stać się pasjonująca przegoda literacka, a rezultat zmagania — wcale interesujący nie tylko dla translatorów.

O czym traktuje powieść? Jeśli jej dalszy ciąg będzie rozsnawał główny motyw zagłady w wyniku już zaszłej katastrofy atomowej, gdzie po porozumiałym, pysznym człowieku, właściwie na jego śmietnikach, pa-

noszą się szczury, to można przypuszczać, iż gryzonie te karmione wiedzą i kultura ludzkości od jej zarania, ćwiczące już wyprostowany człowieczy chód, będą opanowywać kolejne stopnie procesów cywilizacyjnych, aż same kiedyś zgrotują sobie szczurzy koniec. Z noty poprzedzającej uzyskane wyłącznie dla „Die Zeit” prawo przedruku tych rozdziałów, nie dowiadujemy się, jak potoczy się akcja i jaka problematykę będzie odwijał i supłał ta potężna dysputa między narratorem a szczurzyca. To ja tylko dałem upust swoim domysłom.

W nocy czwarty, że Grass po trzydziestym przerwie, sobie narzuconej, w przerwie pisania — w tym czasie powrócił do zarzucanych przed laty prac plastycznych (rzeźba, rysunek, sztych, litografia), — dokładnie 1 stycznia 1984 roku zaczął pisać „Szczurzyce”, taką datę postawił na pierwszej karcie dużego formatu. Jest to wyrafinowanie, logicznie złożona konstrukcja, w którą pisarz wprowadził rozmaite formy podawcze, takie wypowiedzi jak wiersz, rysunek, szkic reportażowy, ściśle przylegające do siebie i podporządkowane rozłożycielowi ukazywanej panoramie ludzi, wydarzeń, faktów, spraw, krajobrazów (Morze Bałtyckie), Można dopa-

trzyć się jakby w założeniu tej narracji jakiegoś podobieństwa z ówczesną powiastką z przewrotnym morałem.

Z całą pewnością jest to wielka powieść uskrzydłona niebawala fantazją i drapieżną wyobraźnią, uciskająca z niezwykłą siłą, wprost paraliżująca nasze myślenie i uczucia, wstrząsająca każdego końca rodzaju ludzkiego.

Czytelnicy dzieł Grassa już w tym pierwszym rozdziale odnajdą znanych bohaterów, przede wszystkim „naszego pana Materatha” — garbuska Oskara z „Blaszanego bebenka”, jego pielęgniarza Brunona, strażnika nieprzerwanie nim uczeczonego, powraca do Gdańska, wywołuje z zawiadów na sto siódme urodziny babkę Anne Kollaczkową, w imię jej prawda transfiguracji i scenarii odwiedza bliskie mu (Grassowi, Oskarowi...) wsie kaszubskie. Jak w „Blaszonym bebenku”. I tu potracą w sposób pełen przekory i utajonego sentymentu o nuty polskie. Ironia i bluźnierstwo, cynizm i przesławność, groteska i naturalizm, negacja i mimo wszystko, trochę nadziei.

Może kiedyś przeczytamy „Szczurzyce”?

S.K.

W pierwszym rozdziale spełnia się marzenie, w Arce Noego nie ma miejsca dla szczura, po człowieku zostaje tylko śmietnik, pewien statek często zmienia swoje imię, jaszczury wymierają, pojawia się stary znajomy, otrzymuje kartkę pocztową z zaproszeniem do Polski, ćwiczy się chód wyprostowany i rozlega się potężne klepanie robótek na drutach.

Wymarzyłem sobie na gwiazdkę szczura, spodziewałem się bowiem usłyszeć inspirujące słowa do napisania wiersza, który by traktował o edukacji rodzaju ludzkiego. W istocie chciałem pisać o morzu, o moim bałtyckim bajorku; zwierzak zwyciężył. Spełniło się moje życzenie! Pod bożonarodzeniowym drzewkiem zaskoczył mnie szczur.

Bezceremonialnie w sam środek, osłonięta gałęziami choinki, niby połączona z nisko zwisającymi ozdobami, wparadowała się zamiast żłobka ze znanymi postaciami kłatką drucianą, bardziej długa niż szeroka, o biało lakierowanych prętach metalowych, w której wnętrzu pomieszczono drewnianą budkę, butelkę ze smoczką i miseczkę. Jak przystało na prezent, znalazł się on na właściwym miejscu, z oczywistych względów, bez żadnych zastrzeżeń jako zwyczajny podarunek: szczurzyca pod choinką.

Skończyłem zaszleścić papier, ledwie powstrzymywana ciekawość. Zagrzebana w skreślonych wiotrach, chrobotła — pospiesznie. Gdy przycupnęła po krótkim skoku na budce, widać było w złościście polyskującej bombce igraszki czujnie nastrozonych wąsików. Od początku zadziwiła swoim długim, pozbawionym łusek ogonem i ciepłopalczystym jak u człowieka pazurem.

Czyściutki zwierzak. Jedyne tu i tam kilka szczurzych bobków drobnotalutkokopalszkowych. Rozchodzący się według starej receptury zapach wigilijnego wieczoru, pochodzący ze spalających się świec, z choiny, z odrobiny zamyślenia, z prawdziwego piernika niwelował odór podarowanego młodzieńczego zwierzaka, kupionego od hodowcy węzów, który osiadł w Giessen, trzymał szczury przeznaczone na karmę dla węzów.

Naturalnie również pozostałe prezenty były niespodzianką: użyteczne, zbędne rozłożone po lewej, prawej. Coraz trudniej przecież wybierać prezenty! Gdzież je pomieścić jeszcze? Ach, ta mizeria, już nie wiedzieć, co by życzyć sobie. Wszystko się spełniło. Czego brakuje, mówimy, to niedostatku, jak byśmy pragnęli w nim dostrzec nasze życzenie. I w dalszym ciągu oddajemy się bezsilności. Nikt nie wie, co kiedy od kogo z szacunkiem przez kogo otrzymał. Sytuacja i mizeria oto mój stan, kiedy więc zapytany, jakie mam życzenia, zapragnąłem mieć pod choinką szczura.

Oczywiście sztych. Nie poskapano pytań: w twoim wieku? Czy aby to konieczne? Za sprawą obecnej mody? A czemuż nie wrócić? Albo jak w zeszłym roku: wydmuszki ze szkła. Cóż pozostać, życzenie to życzenie.

Miała to być samica. Tylko, błagam, nie taki osobnik z czerwonymi ślepiami, żaden szczur doświadczał, jakie preparują w Laboratoriach Scheringa i Bayer-Leverkusen.

Albo czy będzie można dostać szarobrunatnego wędrownego szczura, pospolicie zwanego kanalizacyjnym?

W sklepach zoologicznych trzyma się zwykle te gryzonie, które nie zagnają zła sławy, utrwalonej w przysłowiach i o których nie paskudnego nie napisano.

Ponoć dopiero pod koniec czwartego tygodnia Adwentu dotarła wieść z Giessen. Syn handlarzy zwierzętami mającej na składzie zwykły towar, który i tak jechał na północ przez Itzeho do narzeczonej, okazał uprzejmość i dostarczył żądany egzemplarz: kłatkę w najgorszym wypadku mogła być taka sama jak dla chomika.

Tymczasem ja już prawie zapominałem o swoim życzeniu, byłem przeto zaskoczony w wieczór wigilijny zobaczysz szczurzyce w klatce. Odzywałem się do niej, jak ostatni dureń. Potem wyciągnęto płyty. Śmiano się z pedzla do gołenias. Książek sporo, spośród nich jedna o wyspie Uznam. Zadowolone dzieci. Tłuczenie orzechów, składanie świątecznego papieru. Szkarłatne i seledynowe wstążki, poskręcane na końcach, powinno się je wygładzić i przechować — nie nie marnować! — do ponownego użycia.

Futrzane bambosze, I jeszcze to i owo. I prezent dla ukochanej, która obdarzyła mnie szczurzyca, owinięty w bibułkę: na ręcznie malowanej mapie leży wysunięta przed wyrzniętym pomorskim Vineta, zatopione miasto. Mimo płam i rozdarcia z boku — piękny sztych.

Dopalające się świece, podniosła wieść rodzinna, trudny do zniesienia nastroj, świąteczne jedzenie. Nazajutrz pierwszy goście powiedzieli, że szczurzyca jest słodka.

Moja gwiazdkowa szczurzyca. Jakże inaczej mogę ją nazywać. Różowymi, delikatnie ukształtowanymi pazurami trzymam orzech, migdał lub sprasowaną karmę. Zrazu bojaźliwie zwrócona do opuszków moich palców, próbuje ją rozpierzchać rodzynkami, okruszynkami sera, żółtkiem. Usadowiła się obok mnie. Dotykem czujnych wąsików wyczuwa mnie. Naigrawa się z moich obaw, to jej odpowiada. Mówię zatem do niej. W pierwotnych planach nie uwzględniono egzystencji szczurów, jak gdyby w przyszłości mogło cokolwiek bez nich się wydarzyć zakładano nieobecność szczurzyce, podczas gdy na morzu nie układają się już fale, las zamiera za sprawą człowieka albo jakiś garbaty człowieczek wybiera się w podróż.

Ostatnio wyśniła mi: bałagan szkolny, niedosyt ciała, wszystko co przywodzi sen, w jakie zdarzenia bywam wpłataną na jawie; moje marzenia za dnia, moje nocne marzenia to jej zarezerwowane terytorium. Nieistniejące chaos, którego by nie uformowała z pomocą swego pozbawionego łusek ogona. Wszędzie pozostawia cuchnące ślady. Cokolwiek bym podsunął — przepastne igrzyska czy dwuznaczności — przeżyje je. Jej nieprzerwane gryzienie, jej przemadzaństwo. Przestaje mówić, to ona do mnie mówi.

Koniec! powiada. Nie ma was. Byliście kiedyś, wspomina to szaleństwo. Nigdy już nie podacie żadnych informacji. Żadnych perspektyw. Wykończyliście się. I to bez reszty. Najwyższy czas!

W przyszłości już tylko szczury. Najpierw nieliczne, bo całe prawie życie zamario, ale szczurzyca snując opowieść i zapowiadając naszą zagładę, rozmnaża się. Raz popiskuje żałośnie, jak gdyby chciała nauczyć swoje potomstwo oplakiwać nas, innym razem kpi szczurzym żargonem, jak gdyby nienawiść do nas wciąż ją ożywiała: was już nie ma, nie ma!

Ja jednak przeciwstawiam się: nie, szczurzyco, nie! Jest nas jeszcze co niemara. Punktualnie dochodzą informacje o naszej działalności. Klecimy plany, które obiecuje sukcesy. Przynajmniej realne są nieodległe terminy. Nawet ów garbaty człowieczek, który pragnie coś powiedzieć, rzekł niedawno, gdy schodziłem do piwnicy, by zobaczyć jakiego zimowego: być może, że nastanie koniec z ludźmi, jednakże my ostatecznie ustalamy, kiedy sklep zostanie zamknięty.

Szczurze opowieści! Wiele ich zna moja szczurzyca. Znajdują się nie tylko w strefie gorącej, ale nawet w igloo Eskimosów. Wraz z zesłańcami szczurom udało się zasiedlić Syberię. Towarzysząc badaczom polarnym, szczury okrętowe odkryły Arktykę i Antarktydę. Nie przestraszały ich żadne odludzia. Za karawanami przemierzały pustynię Gobi. W ślad za pobożnymi pielgrzymami wstąpiły do Mekki i Jerozolimy. Nie odstępując ani o krok od wędrownych plemion rodzaju ludzkiego — szły z nim szczury. Z Gotami przybyły nad Morze Czarne, z Aleksandrem przebiegły Indii, z Hannibalem przez Alpy, uciepione Wandalów ciągnęły na Rzym. Za masą wojsk Napoleona poszły na Moskwę i zawróciły z niej. Także z Mojżeszem i z ludem Izraela szczury suchą stopą przeszły przez Morze Czarne, by na pustyni Sin pożywić się mągłą zlatującą z nieba; od zarania było dość odpadów.

GUNTER GRASS

Szczurzyca

(Die Rättin)

(fragmenty)

Tyleż wie moja szczurzyca. A wykrzykuje, aż głos się rozlega wokół: na początku był zakaz! Kiedy Bóg ludzi zagroził: oto ja przywiodę wody potopu na ziemię, abym wytracił wszelkie ciało, w którym jest duch żywota — nie zezwolono nam wyrazić nie wesość do Arki. Dla nas, szczurów, nie było przystępu, gdy Noe ze swej Arki uczynił zwierzyńiec, choć jego stałe karzący Bóg, przed którym znalazł łaskę, odezwał się do niego z góry: ze wszystkich zwierząt czystych weźmiesz po siedmioro, samca i samicę, a ze zwierząt nieczystych po dwoje, samca i samicę. A spuszczając deszcz na ziemię przez czterdzieści dni i czterdzieści nocy, a wyglądając z ziemi wszelkie stworzenie, którym uczyniłeś. Bo mi żal, że nie uczyniłeś.

Uczynił tedy Noe wszystko, co mu Pan kazał, i z ptactwa, wędrownego rodzaju jego, i z bydła, według rodzaju jego, jeno z naszego rodzaju nie wwiódł do swej skrzyni ani dwojga, samca i samicy. Ni stworzeniem czystym ni nieczystym, nie byliśmy dlań niczym. Od zarania nienawiść i żądza tępienia tego, co dawało i powoduje młodość. Wrodzona człowiekowi odraza do naszego rodzaju nie pozwoliła postąpić Noemu zgodnie z surowym nakazem jego Boga. Wyrzekł się nas, wymazał ze swego rejestru, w którym wszystko wymienili, co oddycha.

Karaluchy i pajaki krzyżaki, pełzające robactwo, wszy nawet i gruczołowate ropuchy, polyskujące muchy plujki wziął Noe po dwojgu z każdego, tylko nie nas. Winnymi byli zatrącić się na podobieństwo pozostałej skażonej reszzy ludzkości, o której Wszechmogący, ów nieustannie karzący Bóg, żądny zemsty, pomstujący na własny spartaczony twór wyrzekł: wiele było złoci ludzkiej na ziemi, a wszystka myśl serca była napięta ku ziemi na wszystkie czasy.

I padał deszcz na ziemię przez czterdzieści dni i czterdzieści nocy, wezbrały wody, i wszystko napelniały na wierzchu ziemi, Arka płynęła po wodach, i wszystko, co w niej się znalazło. Gdy wody opadły i z odmetów potopu wynurzyły się pierwsze szczyty górskie, za krukiem, który powrócił, Noe wypuścił gołębicę, o której powiadano: przyleciała do niego pod wieczór, niosąc gałązkę oliwy z zielonym liściem w dziobie swym. Atoli nie tylko z zieloną gałązką przyleciała do Noego gołębicę, przyniosła mu również wieść, która wprawiła go w zdumienie: tam, gdzie nie zostało się nic żywego, gołębicę zobaczyła szczurze bobki, świeże szczurze bobki.

Wówczas rozeźmiął się Bóg zmęczony swoją fuszerką, albowiem nieposłuszeństwo Noego zostało w niwecz obrócone przez naszą niestrudzoną żywotność. Rzekł tedy, jak zawsze z góry: od tej pory szczur i szczurzyca towarzyszyć będą człowiekowi, i będą zyskać nań rozliczne, wszelakie plagi...



Rys. Günter Grass

ODGŁOSY 9

Centurion Abenadar nie po raz pierwszy odprowadzał skazanych na miejsce straceń. I tym razem szybko wydawał rozkazy, ustawiał szyki. Jedną centurię wystawił na Trupią Czaszkę, by otoczyła pagórek, broniąc nań wejścia gawiedzi, która w oczekiwaniu egzekucji, nie zważając na upał, wypełniła szczyt każdego skrawka ziemi. Oprócz kapłanów i mieszkańców miasta, ze wszech stron nadciągali pielgrzymi: z Jaffy, Betlejem, z Aleksandrii. Ich namioty pokrywały dolinę, a okrzyki w różnych narzeczeniach tworzyły nieśladą kakofonię, którą tu, w pałacu, odbierało się jak nadciągającą nad miasto burzę.

Centuria stanęła w szyku bojowym, jeżdżąc z trudem utrzymywali konie, które broniąc się przed muchami i ślepkami unosili nogi, kreśliły głowami i machały zawzięcie pleciami misternie ogonami. Dowódca niecierpliwie spoglądał na bramę czekając na sygnał do wyjazdu. Miał tę samą rangę co Abenadar, lecz nie wiedział czemu zarówno legat, jak i procurator oddawali większym zaufaniem Abenadarowi, który pełnił funkcję nie mianowanego zastępcy dowódcy legionu. I choć Abenadar nie był lubiany przez oficerów, to nikt nie mógł zarzucić mu braku odwagi czy znajomości sztuki wojennej. Właśnie pojawił się ubrany w pancerz łuskowy i płaszcz, na stopach miał nowe trzewiki, skórzane nagolenniki osłaniały potężne nogi, głowę wieńczyła corona civica, szyję obejmowało torques, a piersi pokrywały mieniące się w słońcu medale. W ręce trzymał niebdale znak władzy centurionów — pręt winorośli. Nagle skinął w stronę czekającej centurii. Konie poderwane za uzdy i smagnięte z całych sił rzemiennymi pejszami skoczyły ku przodowi sięjąc popioły na ulicy wznoszącej się łagodnie pod górę. Jej wąska przestrzeń była niemal całkowicie wypełniona ludźmi czekającymi na wyjazd skazańców. Łomot kopyt na kamieniach, krzyki dowódców oddziałów, rżenie i pryhanie koni, wrzaski zaskoczonych przebiegów — wszystko to zlało się w jeden przeciągły ryk, który do pałacu dotarł jako zwielokrotniony szum liści w czasie ulewnej deszczu. Procurator i jego współtowarzysze odruchowo spojrzeli na siebie.

— Abenadar jest świetnym żołnierzem.

— Jest twoim ulubieńcem, hegemonie — powiedział z łagodnym wyrzutem młody człowiek — To wywołuje u innych zawiść.

— Cóż mnie obchodzi inni? — procurator wygodnie usadowił się na krześle, ruchem ręki wskazując młodzieńcowi drugie, stojące obok.

— Nawet ten Żyd, którego teraz prowadzą na Trupią Czaszkę?

— Już o nim zapomniałem.

— Uchodził za proroka.

— Posłuchaj — dotknął opuszkami palców nabrzmiałe powieki, które po złej spędzonej nocy ciążyły niczym dwie drachmy położone na oczach umierającego. — Jestem tu po to, by utrzymać porządek i spokój, aby czuć nad bezpieczeństwem najdalszych granic Rzymu. Dla mnie każdy taki prorok stanowi potencjalne zarzewie buntu. Gdyby to zależało ode mnie, drogę od Jeruzalaim do Cesarei przybrałbym tysiącami krzyży.

— A twoje sumienie? — zaśmiał się cicho młodzieniec, aż Pilat ze zdziwieniem odwrócił ku niemu twarz. — Skazywałbyś niewinnych?

— Nie ma ludzi niewinnych, to tylko prawo jest niedoskonałe. W tym barbarzyńskim kraju...

Nie dokończył, gdyż nowa fala okrzyków zgromadzonych w dole tłumów wypełniła pałac. Nie można było z tej odległości rozróżnić słów, gdyż tysiące głosów zlało się w jedno przeciągłe uaa!

— Stało się — powiedział młodzieniec i jego oczy pociemniały.

— Zwyczajna rzecz w Judei — procurator uderzył w dłoń i w tej samej chwili zjawił się niewolnik z tacą, na której stało wino i dwa złote kielichy.

Tymczasem w dole, przed bramą pałacu, dobiegały ostatnie przygotowania do wyjazdu. Centurion Abenadar zarządził aby przed każdym z więźniów kroczył legionista z włócznią, trzymając wysoko tabliczkę z napisanym imieniem skazanego oraz wymienieniem przestępstwa, za jakie go osadzono. Na czele pochodu uwił się jeździec, którego koń, widząc dopiero niedawno ujeżdżony, bocił się na krzyżący tłum, prycał, gryzł wędzida i usiłował pomknąć galopem po uliczce. Ale siedzący na nim żołnierz z całych sił ścigał go ku sobie uzdę, aż szły ze splecioną w warkocz grzywą wygięta się nieczym łuk, a pysk gubiący na ziemię białą pianę, dotykał szerokiej końskiej piersi.

Pierwszy stanął Zystyn, za nim Nismimus, na końcu Jezua. Słońce paliło coraz mocniej, płuka wciągając gorące powietrze nie przynosząc ulgi. Zdawało się, że łąda chwila oddech się urwie, wnetrze stanie w płomieniach, a oczy zaleje wieczna ciemność. Ale usta w rozpaczliwym wysiłku otwierały się szeroko, wciągały do płuc ogień zmieszany z kurzem, szybko wydychały, ślina zwilżała przetyk i wszystko rozpoczynało się od nowa.

Z pałacu wynoszono bukiaki z wodą i proiant dla tych żołnierzy, którzy wezmą udział w egzekucji. Kilku innych dźwigało drewniane belki, wyciosane z drzewa oliwnego, długie na 1,80 metra, na 3 cale grube i szerokie na 5 cali. Sprawnie umieszczono je na prawym ramieniu każdego ze skazanych, a obie ręce związano im nad głową. Teraz belka była przytrzymywana samoczynnie i nie mogła się wysunąć. Abenadar wyznaczył spośród żołnierzy jednego, który brał często udział w egzekucjach i znał sztuki krzyżowania skazańców. Dookoła skazanych stanęli żołnierze — i po chod ruszyli.

Uliczka pęła się pod górę. Była wąska, kręta, pagórkowata, zaśmiecona i brudna. Nogi idących ślizgały się na porzuconych rybkach wnątrzościach, na resztkach owoców. Żołnierze po-

krzykiwali, legionista na koniu wymachiwał mieczem, lecz pochód przez to nie przyspieszał kroku. Z przeciwka nadciągały karawany wielbłądów lub mułów obciążonych towarami i poganiacze nie mogąc w żaden sposób skręcić w bok przy spotkaniu kolumny ze skazańcami, zaczęli bić obciążone zwierzęta, które nagłe zapierały się, stawały w uporze na środku uliczki. Zapim zdołano je przepędzić i oczyścić drogę, pojawiały się następne karawany. Jak każdego innego dnia wzdłuż domów odbywał się handel, bowiem Jeruzalaim słynął ze swoich garncearzy, koszykarzy, jubilerów, lekarzy, kamieniarzy, rybaków i snycerów. Nie brakło tu także kowali zachwalających swoje usługi, krawców, bednarzy i położnych. Obok nich, prawie na jezdni, pracowali golarze i aptekarze, przemylali gońce, niewolnicy z tabliczkami umieszczonymi na szyi stwierdzającymi ich tożsamość, dźwigali ciężary lub dokonywali zakupów dla swoich panów. Wszystko to kottowało się, krzyczało, wzbijało bory kurz, który momentami przysłaniał rozpalone słońce.

Pochód ze skazanymi raz szedł w skwarze, to znów dostawał się w nikły cień, w zależności od tego czy ulica skręcała w lewo czy w prawo. Nismimus i Zystyn w milczeniu dźwiga-

EUGENIUSZ IWANICKI

„Wiedli go, aby ukrzyżować...” (fragment)

li swoje belki, natomiast Jezua, który rano został poddany straszliwemu biczowaniu, pomału tracił siły. Chwilami przestawał rozróżniać dźwięki i twarze, nie słyszał ludzkich głosów. Gorąca jak krew czerwień przysłaniała oczy. Ciało traciło swój ciężar. Stanął się.

— Spójrzcie na tego amhaaraza! — krzyczało z tłumów.

— Jeszcze trochę, wytrzymaj, odpoczniesz na słupie!

— Czy to ten, co kazał palić nasze świątynie?

— Ależ nie, przeczytajcie co pisze na jego tabliczce: „Jeszu han nostril malka dihudaey”!

— Król Żydowski!

— Patrzenie: tak wygląda nasz król!

— Hic est Jesus rex Judaeorum!

Jezua potknął się, zachwiał i osunął na ziemię. Jeden z żołnierzy szybko podbiegł i trącił go nogą, lecz widząc bezgraniczną pustkę w oczach leżącego, krzyknął by zatrzymano pochód. Zjawił się Abenadar. Żołnierze natychmiast z obu stron zamknęli ulicę. Jedynymi świadkami tego, co się dzieje ze skazanymi, byli ci, którzy powłaziли na dachy domów i teraz przyglądali się zafasci z góry. Abenadar nie mógł pojąć sił słabości więźnia; od pałacu Heroda Wielkiego na miejsce straceń było nie dalej niż tysiąc kroków, a ten zwala się na bruk, jakby maszerował co najmniej przez cały tydzień. Przeklęte plemie — myślał — nawet nie potrafił umierać. Wtem dostrzegł potężną sylwetkę jakiegoś wieśniaka, który chował w cień rozkuśdany, rudy łeb. Wskazał go żołnierzom.

— Zostawcie mnie! — wrzasnął wieśniak. — Cały dzień byłem w polu, nie miałem czasu na tyk wody.

— Jak się nazywasz? — pochylił się w siodło Abenadar. — Pytam cię w imieniu Cesarza!

— Józef, panie.

— Masz przewzisko?

— Wolają na mnie Cyrenejczyk. Nie jestem Żydem i nie mam z nimi nic wspólnego.

— Będę o tym pamiętać. A teraz weź tę belkę.

— Wracam z pola...

— Mam cię przekonać tym oto mieczem? — wskazał na legioniści, który trzymał obnażony miecz, jakby zamierzał nanieść nim uderzenie.

— Przedaj, przedaj!

Cyrenejczyk jedną ręką ujął belkę i zarzucił ją na swój potężny bark. Widać było, że jest przyzwyczajony do dźwigania wielkich ciężarów. Stał i czekał, aż żołnierze podźwigną leżącego na bruku skazańca. Ten długo chwiał się, dotykał palcami powiek, w końcu otworzył oczy.

— Dziękuję ci, bracie — powiedział z trudem, ale Józef Cyrenejczyk uśmiechnął się do niego.

Ruszyli dalej. Uliczka, która dotąd wiodła na zachód, teraz zaczęła stromo opadać ku dolinie. Jeszcze raz skręśli: tym razem w prawo i oto otworzyło się przed nimi ostre wzniesienie, ciągnące się aż od bramy Gennath. Do Trupiej Czaszki pozostało jeszcze pięćset kroków.

Wchodzili do dzielnicy rezydencyjnej i żołnierze z eskorty zdwoili czujność. Jeśli istotnie jeden ze skazanych był przywódcą rebelianckiej grupy, to kto wie, czy nie ma przyjaciół wśród możnych. Jednak ciągnące z miasta tłumy nie okazywały wrogości. Również kapłani zdawali się być zupełnie obojętni na to, co się dzieło.

Po minięciu bramy legioniści na koniach ruszyli na wylewający się z miasta tłum. Ludzie zatrzymywali się, odbiegali na boki. Zresztą dalej i tak nie mogli iść, bowiem wysłana w przód centuria ciasnym pierścieniem otoczy-

ła niewielki pagórek zwany Trupią Czaszką, który od bramy dzieliło zaledwie pięćdziesiąt kroków. Trupia Czaszka leżała u zbiegu dwu szlaków: jeden wiodł z Jaffy do Jeruzalaim, drugi z Samarii. Szczyt góry znaczyły trzy wbite weń drewniane pale, na których rozpięto skazanych na śmierć. Góra była kamiennista, choć na jednym z jej zboczy zieleni się ogród z kwitnącymi właśnie polnymi kwiatami, a trochę dalej, bardziej na północny zachód, bieleł się wykuty w skale grobowiec Józefa z Arymatei.

Abenadar krzyknął coś w stronę żołnierzy wiodących skazanych i ci z wprawą przeprowadzili całą grupkę na szczyt góry. Tu wyznaczony uprzednio do egzekucji żołnierz przy pomocy dwóch innych rozebrał z szat Jezua i zreczenie powalił go na ziemię. Pod szyję włożył wsuniętą odebraną od Cyrenejczyka belkę. Jezua leżał z przechyloną głową obserwując kamienną górę, śmigając zielone jaszczurki, stojących żołnierzy. Nie widział, jak żołnierz kładący obok niego wyjął z fartucha pięciociałowe gwoździe i młotek. Dopiero szarpnięcie za przegub dłoni, która znalazła się na belce i ostry ból w nadgarstku zmusiły go do krzyku. Jeszcze chwila i druga ręka została przybita.

Wieżnił jeżał. Dwaj żołnierze na dany znak schwyli belkę i unieśli ją w górę. Nie bacząc na zwiłające się w bólu ciało unosili belkę wzdłuż środkowego słupa, aż do miejsca, w którym na słupie było specjalne wycięcie. Tam poprzeczna belka została mocno osadzona. Na pionowej, wystającej części krzyża umieszczono przyniesioną tabliczkę. Teraz trzeci żołnierz ukląkł pod krzyżem, schwylił nogi skazanego, nieco je podkurczył, i zaczął przybijać prawą stopę nad lewą.

Nismimus i Zystyn równie szybko powędrowali na swoje krzyże. Żołnierze odeszli kilka kroków by sprawdzić czy praca, jaką wykonali, znajduje uznanie u centuriona. Abenadar był zadowolony. Co prawda stracono trochę czasu w drodze, za to tutaj odbyło się wszystko szybko i sprawnie.

— Szaty należą do was — powiedział. — Podzielcie się.

Była godzina dziewiąta miejscowego czasu i za trzy godziny rozpocznie się Święto Paschy. Abenadar wiedział, że w czasie święta nie wolno wykonywać wyroków ani pozostawiać skazanych na słupach. Jednak liczył na to, że pałac bez miłosierdzia słońce zdąży do tego czasu wypalić z rozpiętych ciał resztki życia.

Jezua cierpiał Rozszerzona i wzdęta klatka piersiowa nie chciała się poruszyć, nie można było nabrać w nią powietrza ani go z niej wypuścić. Dusił się. Pokonując niewiarygodny ból opierał się na gwoździu wbitym w stopy podnosząc w ten sposób ciało ku górze. Wdech i wydech. Jeszcze jeden. Ale nogi nie wytrzymały, ciało ponownie zwiisa bezwładnie na gwoździach wbitych w przeguby rąk. I tak co chwila. I jeszcze, i jeszcze, i jeszcze. Rozpalone słońce oślepiło. Twarz obsiadły tysiące much i ślepków, które niechętnie zrywały się kiedy skazany odwracał głowę. Zresztą owady ruchomym nalotem pokrywają wkrótce całe ciało. Teraz jest to już czarna, drgająca kukła.

Żołnierze z pierwszej centurii, która kołem otoczyła Trupią Czaszkę, zaczęli się posilać. Ci drudzy, z eskorty, gasili pragnienie napojem zwanym „posoka” a przyrządzonym z kwaśnego wina, wody i jaj. Któryś z nich zatknął na włóczni umoczoną w tym napoju gąbkę i przytknął do suchych ust Jezui. Skazaniec chwycił przysłał się do niej ustami, ale oczy zalepione przez owady nie otworzyły się. Ciało drgające w nagłych konwulsjach, coraz rzadziej unosiło się na przybitych stopach.

Tymczasem wznagający się upał i jednostajność widowiska, zmusiły zebrany tłum do ukręcia się w cieniu. Większość wróciła do miasta, patnicy schroniły się pod swoimi namiotami. Jedynie wojsko trwało na posterunkach, choć każdy z żołnierzy głośno złorzeczył i przeklinał tych trzech wiszących na słupach.

Czas wócił się w odurzającym skwarze, który mimo upływu godzin nie zmniejszał się, lecz jakby się nasilał i potęgował. Od strony pustyni niebo poczerwieniało, a dalekie nieelczne drzewa i krzewy utraciły swoją jasną barwę. W zniechęconym i ciężkim powietrzu śmigały jedynie jaskółki niskim lotem kreśląc na niebie elipsy. Legioniści dawno zdjęli hełmy przykrywając głowy białymi chustami zamocnymi w ciepłej wodzie. Wkrótce i jej zabrakło. Nie do wiary — myślał Abenadar spoglądając na słupy. — Wciąż żyją!

Zył. Nismimus coś mamrotał bez związku, czasami krzyczał, unosił się na przybitych nogach, potraszał zniekształconą przez ból głowę. Przy każdym jego ruchu ku górze zbijał się czarny rój owadów i ponownie osiadał na twarzy skazanego. Potężna klatka piersiowa wzdymała się wysoko by po chwili równie gwałtownie opaść ku dołowi. Także Zystyn okazywał wyraźne oznaki życia: kłął Żydów i Rzymian, groził bogom i prorokom, lżył kapłanów. Jego stopy były przybite wyżej niż pozostali, co umożliwiało mu sprawniejsze, unoszenie ciała. On także nie mógł bronić się przed natarciwością owadów i w beznadziejnej rozpacz ki-

wał głową w lewo i w prawo chcąc bodaj na chwilę pozbyć się natrętnych i bolesnych ukąszeń. Natomiast Jezua cierpiał najsrożej: porzywane przez flagellum podczas biczowania ciało stało się dodatkową przynętą dla much i ślepków. Można było sądzić, że zleciały się tu z całego Jeruzalaim. Twarz skazanego wzdęła się od ukąszeń i zniekształciła, nad każdą raną utworzył się żywy, ruchomy kopczyk. Już nie odwracał głowy, nie bronił się. Tylko co jakiś czas, instynktownie unosił się na wbitym w stopy gwoździu, wciągał z trudem powietrze wraz z muchami i powoli je wydychał. Nawet nie czuł, że wciąga ogień, suchą strugę roztopionego gazu, który pali gardło i rozrywa płuca. Żyć! Żyć! — kołatało gdzieś w podświadomości. Kiedy popadał w krótkie omdlenia, a potem budził się na skutek bólu, widział w wyobraźni wodę ogromne jej przestrzenie wielkie jak jeziora lub bezkresne jak morze, po którym niegdyś płynął razem z przyjaciółmi. Pragnienie było tak wielkie, że w ustach czuł smak i chłód przepływającej strugi, a uszy łody łagodny plusk fal o przybrzeżne kamienie.

Abenadar niecierpiał się. Coraz odwracał głowę w stronę pustyni i spoglądał na szarzące niebo. Nie dostrzegał na nim chmur, a mimo to, szła stamtąd ciemność.

— Dziwne — powiedział do stojącego nieopodal dowódcy drużyny. — Co się tam dzieje?

Zapytany przysłonił dłonią oczy i jakiś czas wpatrywał się w horyzont.

— Pewnie będzie deszcz.

— Bzdura. Gdzie widzisz chmury?

— Nie widzę, tylko ta dziwna ciemność...

Niecodzienne zjawisko dostrzegli także kapłani. Zbili się w gromadkę, coś poszeptali i w pośpiechu zaczęli odchodzić ku murom miasta. Abenadar dogonił jednego i chwycił za rękaw.

— Dlaczego odchodzicie? — zapytał głosem ochrypłym i suchym. Zaimujące się w złotych medalach słoneczne promienie poraziły oczy kapłana i ten odwrócił się ku miastu.

— Sirocco! — powiedział w pośpiechu. — Nadciąga sirocco!

Abenadar drgnął. Wiele nasłuchiwał się o tym dziwnym zjawisku, o jego niszczącej sile, o zasypanych karawanach, o grzebanych na zawrze osadach, o rzekach, które po jego przejściu przestawały istnieć, lecz nigdy dotąd nie doświadczył potęgi tego żywiołu.

Obejrzał się: żołnierze pierwszej centurii nadal tkwili dookoła Trupiej Czaszki, pozostali siedzieli na kamieniach, niektórzy usiłowali grać w kości.

— Powiedz — zajął w badawcze oczy kapłana. — Ile mam czasu?

— Na co? — zapytał tamten z naciskiem.

Abenadar skinął głową w stronę pagórka.

— Jeśli na skrycie się za murami, to wystarczy ci kilka chwil, jeśli zaś chodzisz o tamtych... — wskazał trzy krzyże — Mogą jeszcze trochę powiszieć.

— Ile?

— Kiedy wodny zegar odmierzy godzinę, będziesz musiał się śpieszyć. — I kapłan odwróciwszy się plecami do centuriona szybko pośpieszył do miasta.

W miarę upływu czasu otaczający świat szarzał, stawał się matowy, zmienił barwę. Słońce nada! przayło, ale jego blask spłowił, nie był tak beztłusty. Natomiast powietrze robiło się coraz cięższe, jakby gęstniało, a przez to oddech stawał się krótszy i urwany. Stojące nie opadał konie prychnęły niecierpliwie, strzygły uszami usiłując zerwać rzemieńne uzdy.

Abenadar przywołał żołnierza, który pełnił obowiązki opiekcy.

— Kończ!

Żołnierz chwycił metrowej długości kłoc i pobiegł do środkowego krzyża, na którym wisiał Jezua Ha-Nocri. Za nim podążyli dwaj inni z włóczniami.

— Zjesz?! — krzyknął opiekca, ale nie otrzymał odpowiedzi.

Wówczas jeden z żołnierzy ostrzem włóczni przeciągnął po chudym ciele skazańca, a gdy ten nie dawał oznak życia, wbił włócznię w lewą pierś poniżej sutka. Ciało skazańca drgnęło w nagłym skurczu, a z rany pociekła cienka strużka krwi i zaraz ustała. Żołnierz z kłosem podszedł tymczasem do Nismimusa i zreczynnym ruchem pogruchotał mu kości podudzia. Skazany wydusił z siebie ochrypły ryk niepodobny do ludzkiego głosu, i powoli na gwoździach wbitych w przeguby rąk. Teraz nie mógł się unieść na stopach. Dusił się. Żołnierz odczekał parę minut i wbił w jego serce włócznię. To samo uczynił z trzecim skazanym, Zystynem.

Centurion naglił. Od pustyni nadciągał gorący powiew, a słońce coraz bardziej kryło się w mętnej, żółtej powłoce. Trzej żołnierze w pośpiechu zdejmowali ciała. Centuria utworzyła szyk i odeszła ku miastu.

Po drugiej stronie Trupiej Czaszki był wykopany rów, w którym grzebano skazańców i biedaków. Abenadar w zniecierpliwieniu czekał, aż żołnierze zaniosą tam ciała. Jego koń, w przecuciu czegoś niezwykłego, rwał się i niecierpliw, podmuchy wiatru targały jego grzywę, a nie słyszany nigdy dotąd szum, idący gdzieś z pustyni, niepokoił.

— W drogę! — krzyknął Abenadar i żołnierze ustawiając się w szyki pobiegli po kamieniach w dół.

Słońce na dobre skryło się za popielatą zasłoną i nad miastem zaległa ciemność.

Kiedy przekroczyli bramę Gennath, pierwsze ziarenka piasku uderzyły o ich żelazne hełmy.

Z powieści — tryptyku „Mistrz i ucieczka”.

„Podrózniku, przybyłeś do kraju
najbardziej przejrzystego powietrza”.
Bernal Diaz de Castillo.

Rozmiary stolicy Meksyku najlepiej można ocenić wjeżdżając nocą do miasta, szczególnie szosą z Cuernavaca. Kiedy samochód wydostanie się już na otaczający Dolinę pierścień wzgórz, za kolejnym zakretem otwiera się nagle wypełniający szczerlinie cały horyzont labirynt świateł. Rozmowy urywają się i przez chwilę wszyscy w milczeniu patrzą w dół...

Nawet nowicjusz potrafi od razu wskazać wyginającą się wyraźnym łukiem obwodnicę metropolii — Periferico i proste, jakby wykreślone linijka, główne arterie: Insurgentes i Tlalpan. Stali mieszkańcy rozpoznają także inne miejsca: Uniwersytet, Stadion Azteca, nawet odległe stad Zócalo... Padają kolejne nazwy; wszystko po to, aby zagadać lek wyprzedzający być może uczucia kosmonautów lądujących na nieznanym planecie. W istocie bowiem trudno nie uwierzyć, że coś takiego jak Meksyk mógł wybudować człowiek i — co jeszcze bardziej nieprawdopodobne, że człowiek może tu żyć.

Dopiero, kiedy po godzinie albo i dwu, uda się jakoś przecisnąć do domu i przez okno widzieć dobrze znane ulice i słychać gwizdki patrolujących policjantów świat wraca do normalnych wymiarów. Ale tylko do momentu, kiedy za tydzień czy za miesiąc, znów trzeba będzie wracać nocą do miasta, najlepiej szosą z Cuernavaca...

Z wysokości 4480 metrów, z Trzech Krzyży na stoku wulkanu Popocatepetl, ponad 60 kilometrów od stolicy, Meksyk z nieładzkiego labiryntu zmienia się w niemal przytulną oazę. Z tej odległości groźny staje się dopiero po wschodzie słońca, kiedy tam, gdzie jeszcze przed godziną kusily miliardów świateł widać tylko olbrzymia, żółtoszara chmurę smogu, jakby w mieście szalała gwałtowna burza.

Może zresztą rzeczywiście szaleje... Wszystko wydaje się tu niepoohamowanie rosnąć: jak ludzkie, to ponad 18 milionów, jak ulice, to kilkudziesięciokilometrowej długości. Jak uniwersytet, to ze 300 tysiącami pracowników i studentów. Jak bazar, to na powierzchni średniego polskiego miasteczka. Jak choinka, to wysokości kilkunastu metrów. Jak centrum handlowe, to Paris — największe w Ameryce Łacińskiej, jak trzęsienie ziemi to

8,4 STOPNIA W SKALI RICHTERA

19 września 1985 roku o godzinie 7.19 na drugim kanale telewizji uśmiechnięta spikerka rozegrała się nagle dokoła, po czym spokojnie poinformowała, że chyba mamy właśnie niewielki wstrząs, ale nie ma najmniejszych powodów do niepokoju... Zaraz potem obraz zniknął.

Rozpoczęły się dwie minuty, które wszyscy mieszkańcy stolicy zapamiętają na całe życie. Wszyscy za wyjątkiem uśmiechniętej spikerki, i ponad 8000 innych, ofiar trzęsienia. Runęła prawie 1/3 centrum miasta, urwała się łączność, stanęło metro, przez kilka najbliższych dni nawet mieszkańcy parterowych domków owinięci w sarape spędzali noc na ulicy, a jeszcze przez kilka tygodni każde wyłączenie prądu wywoływało krzyk; ludzie klekali na chodniku, gdzie kto stał, i wznosili do nieba złożone dłonie.

Mnożyły się przepowiednie wróżące miastu straszliwy koniec. Każdy najdrobniejszy wstrząs, a takie zdarzały się tutaj zawsze parę razy w tygodniu i nikt nie zwracał na nie uwagi, był teraz komentowany. Właściwie o niczym innym się nie mówiło... Radio bez przerwy nadawało komunikaty o zaginionych i podlegających.

Zmieniły się nawet rozrywki: pewien przemysłowiec zadał sobie wiele trudu, aby powiązać niewidocznymi na pierwszy rzut oka sznurkami wiszące w jego mieszkaniu skrzynki z kwiatami. Kiedy był w dobrym humorze pociągał dyskretnie koniec sznurka, skrzynki zaczynały się kołysać, a jego żona w panice zbiegała cztery pietra w dół na ulicę.

Codziennie problemy nie zniknęły jednak nawet na te dwie minuty. Rabunki zaczęły się dokładnie razem z trzęsieniem; wylądowane łupem sanitarki prowadzone przez policjantów zajeżdżały nocą pod wille w ekskluzywnej dzielnicy Polanco.

Prezydent, jakby próbując potwierdzić telewizyjne slogany, przez 2 dni odmawiał pomocy zagranicznej; Meksykanie mieli sami dać sobie radę, choćby dziesiątki ludzi ginęło w tym czasie pod gruzami. Ponad 70 procent zawałonych budynków, łącznie z imponującym kompleksem medycznym, zostało wzniesionych przez rząd, jak się okazało bez zabezpieczeń przed wstrząsami...

„Mexico, creo en tí!” (Meksyku, wierzę w ciebie!) Nic dziwnego, że to proste hasło wypisywane dotąd bez zastrzeżeń na domach i ulicach zaczęło się komplikować, wydłużać, przybierać różne warianty: „Mexico, creera en tí, si desaparezca el PRI” (Meksyku wierzę w ciebie jeżeli zniknie PRI rządzący w Meksyku ugrupowanie polityczne), głosi teraz olbrzymi napis na Paseo de la Reforma, koło stacji metra Hidalgo.

„Salario mínimo al presidente, para que vea lo, que se siente” (Minimalna płaca dla prezydenta, aby wiedział, co się czuje — co czują ci, którzy taką płacę otrzymują); za tym dowcipnym wierszykiem kryje się postępująca pauperyzacja warstw średnich.

„Miguel de la Madrid precz do USA” — wypisano sprawem na murze o jednym z częstych wędrowców na Uniwersytecie, na którym mówiło się o zmniejszającej się autonomii, relatywnie coraz mniejszych placach, masowej emigracji specjalistów za granicę.

„Żądamy godności” — ten transparent jest mały i rozmyty przez deszcze; chłopcy nekani, a



często okrutnie torturowani przez narcotraficantes, już od przeszło miesiąca koczują pod Katedrą domagając się ochrony ze strony rządu.

„Woda za darmo od PRI” — litery na beczkowie krążącym po dzielnicach nędzy otaczających stolicę są ładne i wyraźne, jak na denerwujących sloganach telewizyjnych, ale jedyny beczkowiec gratis zostaje opróżniony w kwadrans i za wodę znów trzeba płacić.

„1 dolar — 521 pesos” — sucha informacja w witrynie kantoru wymiany działa jeszcze silniej, bo zaledwie przed trzema miesiącami za dolara płaciło się o połowę mniej.

Mariom, kobietom sprowadzanym do Meksyku z prowincji i zmuszanym do żebrania za nędzne jedzenie i dach nad głową nie potrzeba hasła, wystarczają im twarze, oczy i wianuszek otaczających je dzieci...

PO WIELKIM WYBUCHU

gazu w slumsach San Juanico zostały dziś tylko makabryczne dowcipy, ale trzęsienie z 19 września dotknęło oprócz pariasów, także wielkich tego świata. I na fali ich tragedii na ulicę, do gazet i telewizji przecisnęły się problemy maluczkich; pokazano zamieszkałe przez dziesiątki tysięcy ludzi nory, tuż obok pałacu prezydenckiego, jakby wyraźnie zobaczono, dotąd ignorowane, wyrazy bólu i zagubienia.

Ale nie należy ulegać złudzeniom; wielcy po prostu na chwilę odłożyli gazety, w których czytali własne przemówienia i relacje z własnych uroczystości rodzinnych. Tak jak na fotografiach w „Excelsiorze”, na której deputowany Jorge Montufar Arango trzyma między kolana-

Waż pożera orła

RYSZARD NAKONIECZNY

mi płachtę papieru i znużonym wzrokiem patrzy na skromną kobietę, która przyszła do niego ze swoimi kłopotami. Jak tylko fotograf odejdzie, deputowany znów podniesie gazetę do oczu, a kobieta zostanie sama...

Trzęsienie jednak nie tylko uświadomiło wszystkim, że nic się nie zmienia i nie da się zatrzymać czasu, choćby nawet prowadził on do tragedii i wydziedziczenia. Tu i ówdzie czas się jednak zatrzymał, a nawet jakby trochę cofnął.

Przypadkowi przechodnie idący Tlalpanem, pod wielkim betonowym tunelem, stawali się niemal przyjaciółmi, nie sposób było bowiem odpędzić myśli, że w następnej sekundzie tunel runie... Ludzie pomagali sobie wzajemnie jak mogli. Codzienne życie nabrało metafizycznego wymiaru. Każdy kierowca bezpłatnych wtedy autobusów, każdy sprzedawca tortilli, który nie podnosił ceny, dawał świadectwo wielkości narodu. Można było nawet zacząć rozumieć, dlaczego kiedyś budowano tu piramidy...

Okazało się, że Quetzalcoatl — Pierzasty Wąż, który niegdyś ofiarowywał narodowi meksykańskiemu słońce, nie odszedł z Doliny. Żyje w niej nadal, tyle tylko, że coraz bardziej beznadziejnie przegrywa walkę z Pepsicoatlem, jak wybitny pisarz Carlos Fuentes ochrzcił

ZACHŁANNE BÓSTWO Z PÓŁNOCY

Na Placu Trzech Kultur, w ciszy, która ogarnia tu przechodnia po ruchliwej osi Lazaro Cardenas, albo tętniącym życiem Paseo de la Reforma można przeczytać wykuty w kamiennej płycie napis:

„13 sierpnia 1521 roku bohatersko bronił się przed Cuauhtemocą padł przed potęgą Herna-

na Corteza Tlatelolco. Nie było ani triumfu, ani klęski, były bolesne narodziny ludu mieszkańców, którym jest dzisiejszy Meksyk”.

Napis nie zmienił się po trzęsieniu, nikt nie do niego nie dopisał. I nie tylko dlatego, że wykuto go w kamieniu, ale przede wszystkim dlatego, że jest prawdziwy. Może tylko z tym zastrzeżeniem, że te bolesne narodziny ciągle trwają i pojawił się znacznie trudniejszy przeciwnik. Nie wydaje wielkich bitew, nie stwarza okazji do spektakularnego bohaterstwa, działa podstępnie jak wąż (wąż pokryty śliską łuską, nie piórami) i bezboleśnie jak narkotyk. A współcześni Cuauhtemocowie (którzy nawet nie wiedzą, że nimi są) oddają mu coraz więcej pola. I, co gorsza, oddają mu swoje myśli i swoje serca. Powoli, kawałek po kawałku, ale bez przerwy.

Nie jest zbyt ostrożnie mówić głośno po angielsku na ulicach Meksyku, zwłaszcza tych odległych od głównych promenad. Można narażać się co najmniej na złośliwe zaczepki. Gringo jest tu kimś pogardzanym, kogo trzeba oszukać, ogołocić z pieniędzy, wyszydzić chociaż spojrzaniem. Ale gringo jest też przedstawicielem świata, o którym się marzy, do którego się tęskni. Stawia to problemy nie do rozwiązania: jak zrobić z Meksyku Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, jak pozostać Meksykaninem zmieniając się jednocześnie w norteamericano?

Rezultatem jest coraz częściej Ameryka z drugiej ręki. Te same nazwy: „Marlboro”, „Yardley”, „Levi-Strauss”, „Ford” z maleńkim dodatkiem: „hecho en Mexico” i już inny smak papierosów, zapach perfum, król spodni i komfort jazdy — ani amerykański, ani meksykański.

Kiedys, kiedy Pan Bóg tworzył świat, na miejscu dzisiejszego Meksyku zgromadził wszystko: wystarczy włożyć w ziemię kij, a wyrosną wspaniałe owoce, jest ropa, srebro... A gdy poruszeni tą niesprawiedliwością aniołowie spytali go, dlaczego właśnie tu ma być tak wiele, a gdzie indziej tak mało, Bóg odpowiedział: bo przecież tu będą mieszkali Meksykanie...

Jest to anegdota sympatyczna tylko do momentu, kiedy nie ma się zamiaru podważać boskich wyroków, a Meksykanie zaczynają się właśnie za to zabierać. Kiedyś wzięli Corteza za wracającego Quetzalcoatl, dziś myślą Pierzastego Węża z Wężem Pepsi. Jest to pomyłka za cenę utraty tożsamości...

W pesero, rodzaju kolektywnej taksówki, w pełnym słońcu i upale dochodzącym do 30 stopni, siedzi dziewczyna: ma ciężki makijaż, taplowane włosy, niebotycznie długie, jaskrawo pomalowane paznokcie, wąskie, opięte spodnie i buty na obcasach, których wysokość harmonizuje z rozmiarami manicure. A obok niej amerykańska turystka: włosy swobodnie opadają na szyję, na twarzy ani śladu pudru czy tuszu, paznokcie krótko obcięte, luźna, wygodna bluzka, dżinsy, adidas...
Estudios, Churubusco. Wybór statystów do filmu, tzw. casting. Przed kamerą video defilują Meksykanie; piękni, elegancko ubrani. Nagle w drzwiach pojawia się amerykański student; spóźnił się, „biali” byli fotografowani przedtem. Jednak, zauważywszy go, prowadzący spędza natychmiast z planu swoich rodaków i Amerykanin, zakłopotany, zostaje zaproszony przed kamerę.

Znacznie mniej zakłopotani są przepędzeni Meksykanie; większość z nich nienawidzi swojego koloru skóry i oczu, tego wszystkiego co często jest marzeniem Europejczyków i Amerykanek. Tu jednak nie chodzi o względy estetyczne; jasna skóra, oczy i włosy to niemal symbol awansu społecznego.

Drobny przemysłowiec, właściciel małej firmy produkującej rozmaite specyfiki pakowane w tubki, zapragnął opanować technologię wytwarzania zaślepek do tubelek, takich, które najpierw trzeba by przedziurawić, zanim wycisnie się zawartość. Spotkawszy na jakimś przyjęciu przebywającego w Meksyku polskiego inżyniera zwierzył mu się ze swojego kłopotu i poprosił o pomoc, tylko żeby było tanio i bez potrzeby zmiary maszyn. Inżynier poprosił o honorarium 100 000 pesos (około 200 dolarów) i zabrał się do roboty. Zrobił odpowiednio pomiary w fabryce, kombinował trzy tygodnie i w końcu wymyślił... Tymczasem jednak właściciel zapłacił specjalście amerykańskiemu 10 000 dolarów i tamten przywiózł mu gotowe urządzenie z Kalifornii. Co gringo, to gringo, a nie jakiś tam Polak, wprowadził białą i niby inżynier, ale... w każdym razie nie norteamericano...

Cierpliwe kolejki przed ambasadą USA na Paseo de la Reforma, ucieczki, czasem tragiczne, przez granicę... zaufanie i pogarda, służność i agresja, godność i pieniądze... bolesne, niustanne narodziny narodu mieszkańców...
15 września podczas uroczystości Dnia Niepodległości na obramowanym ciemnymi twarzami Zócalo, przed pałacem prezydenta i katedralną katedrą, trzej żołnierze trzymają na zgiętych ramionach

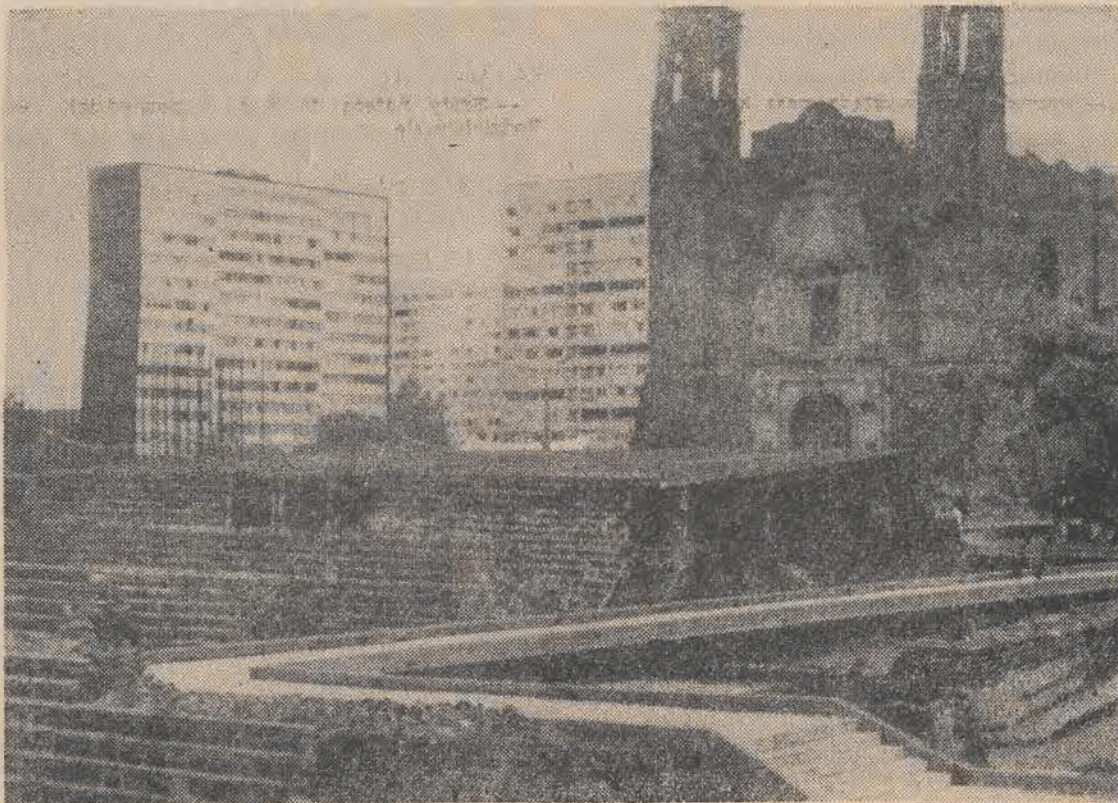
15 września podczas uroczystości Dnia Niepodległości na obramowanym ciemnymi twarzami Zócalo, przed pałacem prezydenta i katedralną katedrą, trzej żołnierze trzymają na zgiętych ramionach

15 września podczas uroczystości Dnia Niepodległości na obramowanym ciemnymi twarzami Zócalo, przed pałacem prezydenta i katedralną katedrą, trzej żołnierze trzymają na zgiętych ramionach

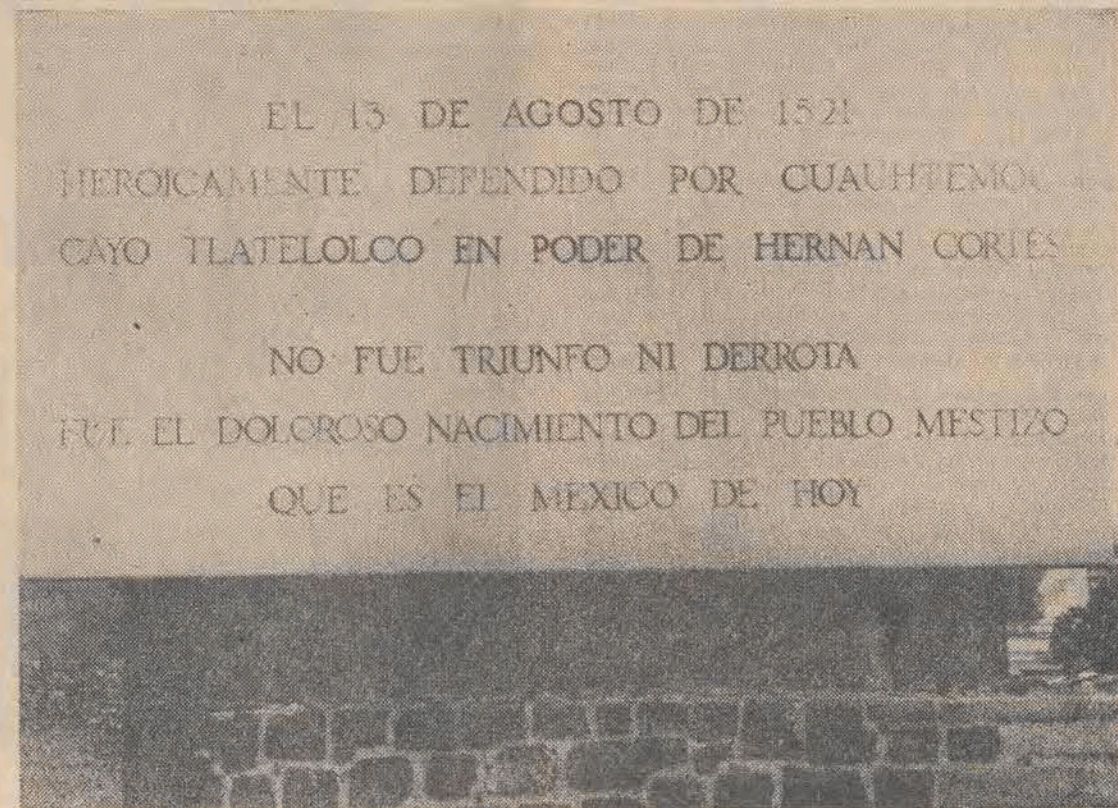
ORLY

Dwa siedzą spokojnie, ale trzeci jakby miał ochotę zerwać się do lotu; żołnierz ma kłopoty ze zmuszeniem go do oficjalnej, defiladowej pozycji.

Jakże inaczej wyglądałby plac, jakże inaczej wyglądałoby wszystko, cały Meksyk, gdyby ptakowi udało się wlecieć do góry, przerwać nieublagany, litoowy czas Pepsicoatla i wpuścić do kołowego, słonecznego czasu Pierzastego Węża. Ale orzeł ma skrepowane łapy i skrzydła; wszystko idzie według planu, defilada trwa dalej. A przecież... jeśli nie uratują się Meksykanie, nie zdola się uratować ani jeden człowiek” (Carlos Fuentes).



Plac Trzech Kultur



Napis na Placu Trzech Kultur

1.

Jest źle! Siedzę z Francisco Usallanem, pracownikiem Ministerstwa Spraw Zagranicznych, w restauracji hotelu Lincoln i czekam na Norberto Fuentes, autora książki „Hemingway na Kubie”.

Norberto Fuentes nie przychodzi.
— Que diablos — mówię. — Spóźnia się ponad godzinę.
— Może nawalił mu samochód.
— A czym on jeździ?
— Łódź — wzdycha Francisco. — Tak czy owak, nie czekamy dłużej. Vamos!

Przywołuje kelnera i składa zamówienie, a ja dygoczę z zimna. Na dworze szaleje tropikalny upał, lecz tu, w sali turkusowej hotelu Lincoln, dwie alry napędzają z sykiem lodowate powietrze. Kubańczykom to służy, Europejczykom ma wrazenie, że trafi do szpitala z ciężkim zapaleniem płuca.

Zaczynamy od crema de queso, zupy serowej, która jest wspaniała, gesta, rozplywa się w ustach jak prawdziwy kren, jem ją jednak w milczeniu, obaj dotknięci faktem, że Norberto nie przyszedł.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Norberto Fuentes przekazuje pozdrowienia (Korespondencja z Hawany)

Usallan pomagał Fuentesowi w zbieraniu materiałów do książki o Hemingwayu. Pomagał i mnie w wycieczkach do wszystkich tych miejsc, w których mieszkał lub bywał wielki Papa. Odwiedziłem więc hotel Ambos Mundos, gdzie tworzył pierwsze rozdziały „Komu bije dzwon” i bar Floridita, do której chadzał po pracy krokiem wolnym i pewnym, a wracając z niej późną nocą do hotelu był jak gdyby z lekka podcięty i takim pamięta go do dzisiaj wielu hawańczyków.

Pojechaliśmy do wioski San Francisco de Paula na obrzeżach stolicy, gdzie wśród skromnych, parterowych domków mieściła się w ogromnym, pełnym fantastycznych drzew ogrodzie Finca Vigia, iście pańska rezydencja Hemingwaya, a teraz jest tam muzeum i nie wolno wchodzić do środka, można jeno patrzeć na siedziszce pisarza przez otwarte okiennice, czego przyczyną był pewien leworek minister z Europy, który buchnął na pamiłkę jakiś niewiele znaczący drobniak z kolekcji Hemingwaya i jakkolwiek złodziejstwo zostało zauważone, nie było w protokole dyplomatycznym formuły pozwalającej zwrócić gościowi uwagę: proszę, to oddać, panie ministrze; nie godzi się okradać nieboszczyka!

Są oczywiście wyjątki i czasami wpuszczają kogoś do środka, jeśli ma specjalne rekomendacje. Otóż byłem tym wyjątkiem, wpuszczono mnie do środka, na pokój, gdzie pilnowało Polaka kilkanaście par oczu, a kiedy położyłem zeszyt na biurku Papy, żeby zanotować parę szczegółów (te biedne okulary w drucianej oprawie i ta opróżniona do połowy butelka whisky Old Forester), pani kustosz wprost zbladła ze zgrozy i oburzenia. Potem wręczyła mi jednak muzealny folder z sympatyczną dedykacją i otworzyła przede mną pamiłkową księgę, w której rolę się dostojnie od wielkich nazwisk — zapisałem całą stronę oświadczaając między innymi, że niczego nie ukradłem poza jednym liścikiem z drzewa mango, rosnącego w ogrodzie po zachodniej stronie domu.

Byłem również z Franciszkiem Usallanem w Cojimar, małym porcie rybackim pod Hawaną — tu rozpoczynała się i kończyła akcja noweli „Stary człowiek i morze”. Stałem przed popiersiem Hemingwaya w parku jego imienia nad zatoczką o wąskiej i brudnej, zaciągniętej smarem plaży. Po drugiej stronie pomnika umieszczono tablicę z wyjaśnieniem, że jest on dziełem rzeźbiarza Boday, a powstał z inicjatywy pisarza Fernando G. CAMPOAMORA przy wybitnej pomocy miejscowych rybaków.

W Cojimar można jeszcze zobaczyć odnowiony i przeobrażony bar o tarasie, z którego bogata turystyka podziwiała szkielet złowionej przez Santiaga ryby. Można również w schłodnym kolorowym domku pod numerem 209 porozmawiać z osiemdziesięcioletnim Gregoriem Fuentesem, najwierniejszym z morskich współtowarzyszy Ernesta Hemingwaya, sławnym rybakim i troskliwym opiekunem jachtu „Pilar”.

Siedziałem na wprost tego człowieka przełykając ślinę i słuchając jego barwnych opowiadań o wyprawach z Hemingwayem na marliny. Ma siwą, ale bujną, zaczesaną do góry czuprynę, patrzy i mówi szybko, z młodzieńczym wigorem, a spalona od słońca skóra nakrapiana jest na grzbietach rak i szty drobnymi cętkami, które przywodzą na myśl niezłomnego hemingwayowskiego bohatera.

Podobnie jak wielu innych rybaków z Cojimar Gregorio Fuentes mógłby pretendować do miana protagonisty „Starego człowieka i morza”, są jednak powody, dla których wciela się również w postać Harry’ego Morgana z „Mieć i nie mieć”.

Wspomina:

— To ja wypowiedziałem pierwszy owo zdanie: tener y no tener, po angielsku: to have and have not, a Hemingway zapisał je. Chodziło o przemysł alkoholu. Są tajemnice, których nigdy nie zdradzę, jestem jednak, tak samo jak Harry Morgan, ojcem trzech córek.

2.

Uspokójcie się! Nie mam zamiaru tworzyć kolejnego dzieła o Hemingwayu i jego przygodach. Na świecie jest już takich dzieł, analitycznych, hipotetycznych i głębokich, tysiące, co przypomina mi Łódź sprzed dwudziestu paru lat (przy zastosowaniu odpowiedniej skali, oczywiście), kiedy to większość literatów pisała najchętniej o twórczości Juliana Tuwima.

Siedząc wszelako z Franciszkiem Usallanem w sali turkusowej hotelu Lincoln odczuwałem serdeczny żal z powodu haniebnej nieobecności Norberta Fuentes. Chciałem go poznać i już! I nie dlatego, że facet sięga bez mała po światową sławę, lecz dlatego, że potrzebna mi była jego praca — nie do zdobycia w bibliotekach i księgarniach.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Podszedł kelner z dwoma parującymi talerzami i moje samopoczucie zaczęło jakby podnosić. Były to golonki po kubańsku: peklowane, podsmażone, przysypane żółtymi skwarkami i tak ogromne, że świnią, z której wypruto te zawiasy, mogłaby się zmierzyć z bykiem. Francisco poinformował mnie dyskretnie, że mięso wleprzone jest w Hawanie droższe od wołowiny i uchodzi za przejaw luksusu.

Wbiłem zęby w przejaw luksusu, unosząc jednocześnie wzrok na gościa, który podał mi łyżką kielichem swobodnym.
— Francisco — szepnąłem.
— Que?
— To on?
Usallan spojrzał i przytaknął:
— Si. Hola, Norberto!
— Hola.
Podaliśmy sobie ręce. Fuentes spoczął i oświadczył:
— Przepraszam, że się spóźniłem.
— Drobniak — mówię. — Niewiele ponad półtorej godziny. Samochód?
— Nie. Córeczka.
— Chora?
— Zdrowa, ale bez opieki.
— Cieszę się w każdym razie, że pan przyszedł. — Zerknąłem z bólem serca na stygnące mięsisko. Otworzyłem zeszyt i zarepetowałem długopis. — Jak długo pracował pan nad swoim dziełem?
— O Hemingwayu?
— Si.
— Siedem lat. Ale niech pan je, niech pan je!

— A pan?
— Ja wezmę to samo.
Tak więc najpierw ja pytałem jedząc, a później Fuentes jadł odpowiadając. Nawiązały się między nami nici sympatii.

3.

Ma czterdzieści trzy lata. Jest dość wysokim, przystojnym i szczupłym mężczyzną o jasnej karnacji. Nosi wasy, pali papierosy, pije piwo. Urodził się w Hawanie. Studiował sztuki plastyczne, ale już jako siedemnastolatek, tuż po zwycięstwie rewolucji, trafił do dziennikarstwa. W 1968 roku odnosi pierwszy wielki sukces literacki otrzymując za tom opowiadań „Condenados de condado” liczącą się na całym kontynencie nagrodę Casa de las Americas. Nie zrywa z dziennikarstwem. Jako współpracownik pisma, które przekształciło się później w organ Związku Młodzieży Komunistycznej „Juventud Rebelde”, zostaje wysłany w teren. Odwiedza kolejno miejscowości i zatoki uwiecznione piórem Hemingwaya w trzeciej części „Wysp na Gólsztromie”. Mówi:

— Przedtem nie byłem wielkim miłośnikiem Papy, choć znałem kilka jego książek, a jako dzieciak, spacerując z ojcem ulicą Obispo, przyglądałem mu się często jak szedł strajem chodnika albo uchodził lub wychodził z Floridity. Odkrywałem zacząłem go dopiero podczas owej reporterskiej wyprawy na Archipelag Camagüey. Zadmiała mnie rzetelność i precyzja hemingwayowskich opisów. Wszystko co można było przeczytać w trzeciej części „Wysp na Gólsztromie”, potwierdzało się teraz w moich oczach z bezlitosną dokładnością — cyple, plaże, kępy drzew, wodorosty i mielizny, słabsze i silniejsze prądy, a nawet kolor morza. Mówiłem do siebie: — Widziałem to już — a przecież nigdy tego nie widziałem. Zadawałem sobie pytanie: — Skąd ja to znam? — i odpowiedź brzmiała zawsze: — Z Hemingwaya. Wówczas doszedłem do wniosku, że tak samo prawdziwie muszą być hiszpańskie wzgórza z „Komu bije dzwon” i że tak samo od początku do końca

prawdziwa musi być cała twórczość tego niesamowitego artysty. Zaczęłem studiować ją i szukać potwierdzeń. Nie przestałem również pisać. Moje hemingwayowskie artykuły spodobały się w Hawanie i kiedy do niej wróciłem, przyjaciele zaczęli mnie namawiać, abym zajął się kubańskim okresem Hemingwaya na serio. Ale tak bardzo na serio! Cholernie na serio!

— W którym roku przystąpił pan do pracy?
— W 1974.

— I ukończył ją pan po siedmiu latach?
— Si. W 1981. Byłem zmęczony. Przekopałem tysiące dokumentów, listów i fotografii. Dokończyłem tłumaczenie. Poznałem setki ludzi, którzy przeżyli się przez życie pisarza i wyślałem setki telegramów, aby ustalić na przykład, co to za człowiek stał po lewej stronie Hemingwaya na takim lub owakim zdjęciu. Kiedyś wzięłem do ręki jakiś papier, otwieram go, patrzę, a to ni mniej ni więcej tylko akt przyznający Papie Nagrodę Nobla. Zapamiętałem każdy sprzęt z jego domu pod Hawaną i każdy kwiat każde drzewo z jego ogrodu. Jacht „Pilar” mógłbym naszkicować ze wszelkimi szczegółami przez sen...

— Norberto — przerwałem.
— Que?
— Nie mów dalej. Ja tę książkę, choćby nieudolnie, muszę potem opisać sam. Ale rozumiesz, o co chodzi? Żeby ją opisać, muszę ją mieć.

— Nie bédziesz jej miał.
— Czemu?
— Został mi tylko jeden egzemplarz.
— Tak czy owak, znajdziesz drugi. Spójrz, zadedykowałem ci moją powieść!
Wręczyłem mu „Noc Saksofonów”, a on podziękował i zapytał:
— Jak to będzie po hiszpańsku?
— La noche de los saxófonos.
— Zle.
— Co?

— Dwieście sylab. Trzeba operować oktawą. Wyrzucić do diabła „La”, wtedy zabrzmi, jak należy: Noche de los saxófonos.

— Dziękuję, ale wróćmy do twojego Hemingwaya. Powiedz mi, gdzie miałeś przekłady.

— W Hiszpanii, Japonii, Francji, USA, Arabii Saudyjskiej, Kolumbii oraz w tygodnikach i prasie codziennej na rozmaitych kontynentach.

— Znam siedem czy osiem fragmentów z warszawskiej „Kultury” w świetnym tłumaczeniu Teresy Papis.

— Skąd wiesz, że tłumaczenie jest świetne?
— Bo brzmi po polsku.

— Zgoda. Jeszcze o tym pomówimy. Książka ukaże się w twoim kraju.

— I w wielu innych?
— Tak.

— Jaki miała nakład na Kubie?
— Dwa wydania po dwadzieścia pięć tysięcy.

— A w Stanach?
— Sześćdziesiąt.

— Ile kosztował egzemplarz?
— Dwadzieścia dwa i pół dolara.

— Musisz być strasznie bogaty, Norberto.

— Nie jestem bogaty i nie chcę być bogaty. Nie zależy mi na pieniądzu. U nas panuje taki obyczaj, że pieniądze zarobione w walce kapitalistycznej przekazuje się na rzecz rewolucji.

— I słusznie. Krwawi serce moje. Nic z tego nie miałeś?

— Miałem.
— Co?

— Komputer. Rozmawiałem niedawno z Gabrielem Garcia Marquezem (noblistą i autorem wstępu do mojej książki) na temat techniki pisania, i on mówi, że sprawił sobie taki telewizyjny komputer. Coś wspaniałego! Tekst leży na ekranie. Słowo nie gra — podmieniasz, fraza jędrzeje — przestraszasz. Cały obraz widzisz jak na dłoni. Czujesz się jak pianista we własnym domu, który w każdej chwili może przydać kompozycji nowych

akcentów. Niczego nie przepisujesz, nie poprawiasz, przyciskasz tylko klawisze, te zaś śpięją w rytm twoich myśli. Potem rzucasz całość na domową drukarkę, a ona przekształca to w cudowny, nie wymagający korekty maszynopis, z którego cieszy się każdy wydawca. Widziałeś coś takiego?

— Si.
— Gdzie?

— W Warszawie u mojego niedoszłego szwagra. Tyle że on pracował w przeciwnym kierunku.

— Technik?
— Tak.

— Hombrel! Komputery są przede wszystkim dla pisarzy i reporterów.

— Tu się zgadzam. Jak doszło do tego, że Marquez, Nobel, jeden z najwybitniejszych bez wątpienia współczesnych pisarzy, zgodził się napisać do twojej książki prolog?

— Ano, podszedłem do niego i mówię: — Napiszysz? — A on mówi: — Napiszę. — I napisał.

— Długo pisał?
— Długo, ale wspaniale.

— To wiem, znam ten prolog z „Kultury”. Przydał niewątpliwie książce blasku. W ogóle miałeś szczęście bo blasku przydał jej również wywiad z Fidelem Castro.

— Jasne. Hemingway weryfikuje się poprzez spojrzenie zjeź, który jest zagorzałym wielbicielem i znawcą jego twórczości. Rozmawiałem z Castro dwie godziny późnym wieczorem, a wyniknęła z tego prosta konkluzja: Hemingway był naszym sprytnym rewolucyjnym, wspierał ją moralnie dzięki swoim niezapomnianym utworom, takim przede wszystkim jak „Komu bije dzwon” oraz „Stary człowiek i morze”. Obydwa znane były partyzantom jeszcze w czasie walk z Batistą, fragmenty zaś cytowano niczym odezwy bojowe.

— Czytał Fidel Castro twoją książkę?

— Tak. Uczynił w niej nawet dwie drobne poprawki.

— Dasz mi ją w końcu, czy nie dasz?

— Dam — powiedział Norberto Fuentes. — Wykombinuję gdzieś jeden egzemplarz i ci dam.

4.

Spotkałem się więc z Fuentesem naprawdę. Było to w końcu listopada 1985 roku, znowu w sali turkusowej Hotelu Lincoln. Francisco Usallan nie towarzyszył nam tym razem, a Norberto nie spóźnił się ani trochę i przyjechał ze śliczną, młodą żoną.

Wręczył mi kilka swoich zdjęć oraz obiecaną książkę z dedykacją. Książkę wydano w zdecydowanie dużym, słownikowym formacie. Ma twardą okładkę i piękną obwolutę: liczy 718 stron kredowego papieru i zawiera nieprawdopodobną ilość fotografii, wśród nich i takie: — Oh, Ery, I love you (Marlena Dietrich), młodzieńczy portret Williama Faulknera z niewidocznym już prawie podpisem, a dalej między innymi, Hemingway z Fidelem Castro, z Johnem Dos Pasosem, z młodą księżniczką włoską i ze wszystkimi czterema żonami, z dziećmi, z ukochanymi kotami i psami, z matadorami, rybakami i bokserami, ze Spencerem Tracy, z Errolem Flynnem i Gary Cooperem (powitanie Nowego Roku, 1951, w hawańskiej Floridicie), z żołnierzami i towarzyszami polowanymi — pijany, trzeźwy, śpiący, zadumany, w czasie wojny i pokoju, w buszu, w Chinach, w płonącej Hiszpanii i w ogóle wszędzie. Do tego dochodzą całe sterty wspomnianych już dokumentów, listów, rękopisów, rejestr osób znanych i nieznanych, no i oczywiście kilkadziesiąt stron świetnego, suchego tekstu samego Fuentes.

Podziękowałem autorowi:

— Teraz nie dziwię się — mówię — że pracowałeś nad tym siedem lat. Wydajesz coś obecnie?

— Owszem. Byłem korespondentem wojennym w Angoli i niedługo ukaże się mój książkowy reportaż o tym kraju.

— A co piszesz?

— Obszerną powieść, o której wolalbym na razie nie wspominać.



Hemingway i Gregorio Fuentes z marlinem złowionym w Zatoce Meksykańskiej.



Hemingway i Castro w Hawanie.

— Opublikowałeś dotąd pięć pozycji: opowiadania „Condados de condado”, esej „Hemingway en Cuba” i trzy tomy kronik. Czego do-
tyczyły te ostatnie?

— Rewolucji i walk z bandami kontrrewolu-
cyjnymi po jej zwycięstwie. Pero, Andrés,
zamknij ten zeszyt; mieliśmy spędzić dzisiaj
wesołość towarzyską.

— Jeszcze tylko kilka pytań. Pani wybacz
— zwróciłem się do sympatycznej i skromnej
żony Fuentes. I do niego: — Twój ulubiony
światowy pisarz?

— Babel.

— Znasz jakichś Polaków?

— Czytałem parokrotnie z zapartym tchem
„Popiół i diament” Andrzeja Leśmiana, a potem
obejrzałem ze ściśniętym sercem śmierć Małka
Chelmickiego w filmie Wajdy.

— Przyjedziesz do Polski?

— Tak. Jak tylko ukaże się moja książka.
Na razie, za dwa tygodnie, jadę do Hiszpa-
nii.

— Często bywasz za granicą?

— Często. Niemal rok w rok zapraszają mnie
do Stanów Zjednoczonych, gdzie mam wykłady
i odczyty na temat Hemingwaya.

— Nasza „Kultura” pisała, że twój „Heming-
way” został tam przyjęty nieufnie.

— Nic podobnego. Były ataki, ale było rów-
nież dużo entuzjastycznych recenzji w najpo-
ważniejszych pismach, takich choćby jak „New
Yorker” czy „Columbus”. Andrés?..

— Que?

— Ja dostałem z Polski ten numer „Kultu-
ry”, który poprzedzał druk moich odcinków...
Obok prologu Marqueza...

— Wiem.

— Co?

— Był wywiad z tobą. Przeprowadził go Ro-
man Samsel.

— Otóż sprawa polega na tym, że ja face-
ta nie znam. Nie widziałem go nigdy w życiu
i nigdy z nim nie rozmawiałem.

— Nie wygłupiaj się!

— Mówię poważnie.

— Musiałeś coś pokreślić. Może to nie było
w formie wywiadu?

— Owszem. Było. Były jego pytania i moje
odpowiedzi.

— Gość jest zasłużony dla całej latynoame-
rykańskiej kultury. Pisz o was, tłumaczy wa-
szą prozę.

— Ale nie rozmawiał ze mną, Andrés.

— I co wobec tego?

— Nic. Przekaż mu pozdrowienia.

— Zrobię to — powiedziałem. I pomyślałem
— mam już tytuł: Norberto Fuentes przekazu-
je pozdrowienia.

Chciałem zapalić. Wtedy podeszła kelnerka i
poprosiła mnie do telefonu.

5.

Dzwonił Adam Skrybant, pierwszy sekretarz
ambasady PRL. Powiedział, że mam już wy-
kupiony bilet do Nikaragui i że chciałby się
ze mną zobaczyć ambasador Czesław Dega.

— Jadę!

Wróciłem do Fuentesów i przedstawiłem im
spraw ubolewając, że akurat dzisiaj zabrakło
Franciszka Usallana, który przyjeżdżał zwykle
po mnie mercedesem kubańskiego MSZ.

— Francisco jest delikatny, nie chciał nam
przeszkadzać w rozmowie.

— I ty w związku z tym nie masz teraz sa-
machodu?

— Si.

— Zawiozę cię.

— Och, Norberto, nie obciążaj mojego su-
mienia! Ambasada polska jest na Miramar,
szalenie daleko, a wy, Kubańczycy, również
przeżywasz ciężkie kłopoty z benzyną. Mógł-
byś zająć taksówkę, ale wasi taksówkarze,
podobnie jak wasi kelnerzy, każą sobie płacić
w dolarach. Podrzuć mnie do jakiegoś autobu-
su.

— Podrzuć cię do ambasady. Nie przejmuj
się!

No i jechaliśmy wzdłuż pięknego Maleconu
na Czerdziesiątą Szóstą ulicę w Miramar, która
jest wspaniałą dzielnicą willową u brzegów Za-
toki Meksykańskiej. Po drodze nie przestałem
męczyć Fuentes.

— Jak to się stało, Norberto, że nie zwąt-
piłeś w siebie pracując przez siedem lat nad
„Hemingwayem”?

— Widzisz, prowadziłem długie, wielogodzin-
ne rozmowy z Gregorio Fuentesem, a nikt chy-
ba nie był bliżej Hemingwaya niż on. Kiedyś
ten stary, osiemdziesięcioletni wówczas czło-
wiek, który dzięki klimatowi Cojimar zachował
zdrowie i jasność umysłu, spojrzał na mnie
uwadźnie i powiedział: — Jesteś taki sam jak
Papa. Jesteś identyczny.

Zahamował przed rezydencją ambasadora.
Nim pożegnałem się i wysiadłem, zadałem mu
jeszcze jedno bezcelne pytanie:

— Ile miałeś żon, Norberto?

— Cztery. — Przeciwną do siebie dziewczy-
nę, która spoczywała obok niego na przednim
prawym siedzeniu. Pocałował ją i powiedział:
— Ta jest czwarta. Ale już ostatnia.

— Ta jest czwarta. Ale już ostatnia.

C o się nosi?

I tu będę brutalna: powiem, czego
się nie nosi!
Nie nosi się sadi! —
I nie pomoże najwymyślniejsze u-
czesanie, ani najobłędniejsza z ob-
lędnych ciuchów. Modna kobieta — to kobieta
szczęśliwa. Nawet gdyby miała na obład odliczać
po pięć ziarenek ryżu. Martwych z głodu pary-
żanek nie widziałam. Majtek nr 6 w sklepach,
też nie.

A rada może być tylko jedna: przestać, za-
przepraszam... i zacząć jeść. A na widok
„Horteksu” — po prostu przechodzić na drugą
stronę ulicy. Poza tym — cóż to za oszałamia-
jąca oszczędność! Nie tyjąc — pozwalasz użyć
swemu portfelowi Sama to wymyśliłam.

Jak to wygląda od strony nieprzewodnikowej,
nie turystyczno-reklamowej, nie restauracyjno-
kuszącej, czyli: prywatne życie francuskiego
żoładka.

FRANCUZ JE BARDZO REGULARNIE

godziny posiłków są jak nabożeństwo — święte.
Siódma — ósma, dwunasta — trzynasta, osiem-

Dziewczęta

na Polach Elizejskich

nasta — dziewiętnasta. Na śniadanie miseczka
kawki, przeważnie z mlekiem. Miseczka to ro-
dzaj filiżanki bez ucha, salatereczka, którą
mamy w naszym naczyniobiorze do czego in-
nego. A więc, kawa jako danie pierwsze i pod-
stawowe. Bywa to zresztą kawa całkowicie wy-
prana z kofeiny. Można powiedzieć — napój o
smaku kawowym, zaspokajający już tylko na-
wyki, nie uzależnienia. Do kawy jest bagietka
z dżemem, konfiturami, czasem miodem, bywa
— że i z masłem, bywa i raczej, że bez. Klasy-
cznie: to nakłada się na oddarty od bagietki
kawałek nieco słodkości, potem zanurza się
przyszły kęs w kawie i odgrzyza. I nie jest to
obrazek z domu rencyty. Zresztą francuskiego
domu rencyty nie cechują trudności związane
z przeżywaniem.

I nie jest to akurat także specjalnie cecha
francuska. Począwszy już od granicy na Odrze
i Nysie Łużyckiej — bezgłębny człowiek u-
chodzi za dzikusa i tu też nie pomoże żadna
fasada: ani gesty makijaż, ani duży fiat, ani
wysoki standard, ani długi tytuł przed nazwi-
skiem.

Przeciętny Francuz zjada na śniadanie te
swoje pół bagietki z kawą. I tak do tej dwunas-
tej, czyli do „lunchu”, czyli do déjeuner. O tej
porze wypada święta przerwa i w pracy, i w
szkole, i w całym państwie. Otwierają się res-
tauracje, knajpy, knajpki i trattorie i jeżeli
ktoś się nie wnieślić w tę południowo-jedze-
niową przerwę — to normalnie wypada z
kolejki i do wieczora pozostanie na sandwiczu,
czyli na dyżurnej bagietce, tyle że przekrojonej
wzdłuż i napchannej czymś. I to znamienne, że
to wypadanie z kolejki obejmuje także domy
— nie było się na czas — no, to pobał! Napij
się kawy...

Dwukrotnie zdarzyło mi się być w przecięt-
nym paryskim domu na przypadkowych, niezap-
owiedzianych posiłkach — do których mnie
zaproszono, co wcale nie musi być regułą.

RZECZ DZIEJE SIĘ W KUCHNI

Na stole, białym, lakierowanym, w koszyku
dyżurowały na wpół przełamane bagietki (całe
by po prostu nie wlażyły) obok stała butelka z
nalepką: eau minérale naturelle. Pani domu,
zauważyła jej niepełność. Wzięła butelkę, podes-
zła do kranu, odkręciła i dołąła... Paryż, nie
Rzym. Chociaż też stoi na siedmiu wzgórzach
— ale tutaj z nich nie nie wytryskuje i wola-
łabym, żeby to była woda gotowana. Ale woleć,
to sobie można w domu; nie ma przymusu
podrózowania po innych obyczajach.

Podano najpierw sałatkę z pomidorów po-
krojonych w plasterki z oliwą i odrobiną winne-
go octu. Potem kawałek mięsa wołowego u-
smażonego na groszkowanej patelni bez śladu
tłuszcza. Potem szpinak, którego się nie roz-
dziamdziowuje na paciaje — lecz jedynie ob-
gotowuje w lekko słonej wodzie całe liście.
Proszę zwrócić uwagę na to: potem, bo to jest
charakterystyczne, że mięso sobie, a jarzyna so-
bie. Talerzy nie zmieniają. Po każdym daniu
wycierano go kawałkiem bagietki, którą się
każde danie zakąsa. Potem podano aery. Były
dwa: Camambert, którego nie je się wraz z
białą pieśniową skorupką, jak napisano na
wieczku pudełka oraz biały ser kozł. No, i ka-
wa.

Na równie przypadkowej kolacji, diner, by-
łam u sąsiadki z dołu. W miejsce pomidorów z
oliwą, była zielona sałata z oliwą. Potem poda-
no pasztetówkę. Po prostu. Talerzyk, na którym
leżał gruby kawał, grubej pasztetówki. Odkra-
wało się od tego kawałeczek — przenosiło na
swoją talerz po sałacie i zjadało z bagietką.
Następnie było danie ciepłe: ser zapiekany na
cieście. Popijało się to wszystko czerwonym
winem, w ilości jeden kieliszek na osobę. Na
deser podano jogurt, do którego należało dosy-

pać łyżeczkę cukru, brązowego, jest droższy,
ale bez chemicznego rafinowania. Jest duża
moda na zdrową żywność.

Moja sąsiadka jest urzędniczką w ministe-
rstwie pracy. Zarabia 6500 franków. Za mieszka-
nie płaci 2500 fr. Za prąd, telefon, ogrzewanie
i coś tam — jeszcze 800 fr. Na „życie” wydaje
25 fr. dziennie. W sumie na resztę pozostaje jej
2500 fr. miesięcznie. Ceny reszty są takie: książ-
ka średnio 100 fr., buty bardzo średnie 300 fr.,
spódnica tyleż, bilet kolejowy do Bretanii 150 fr.,
dzień w hoteliku pod jedną gwiazdą 80 fr. —
puszka Coli 8 fr., czekolada 10 fr., cztery perga-
minowo cienkie plastry szynki 10 fr. Klipsy
cud! — 30 fr.

I nie ma co deliberować. Albo te klipsy cud
i figura, albo szynka, czekolada, Coca-cola i za-
dek jak u kaszanki Józefa Piłsudskiego.

Generalnie z apetytu wyleczyć się można na
Champs Elysées. Od tego co dziewczyny mają
na sobie — można dostać zawrotu głowy.
Ale właśnie rzecz polega na tym, że pod tym
wszystkim, co na sobie mają, wcale niekonie-
cznie bardzo drogie — są dziewczyny, a nie
donice. I mają szyk, który podobno — albo się
ma, albo trzeba się go długo i pokornie uczyć.

(3)

i miejsce, w które turysta przyjdzie jak dwa
razy dwa...

Dolna część Pół Elizejskich pozostała dotych-
czas nie zabudowana i ma ciągle jeszcze cha-
rakter parku — górna to właśnie Place Etoile
z Łukiem Triumfalnym, wybudowanym w la-
tach 1806—36. Wystawiony został ku chwale
armii francuskiej i dlatego na wewnętrznych
jego ścianach wykuto nazwy 128 bitew. Jest
pośród nich Pułtusk, Ostrołęka, Lidzbark i
Gdańsk. Są też nazwiska siedmiu polskich ge-
nerałów. Na frontonie Łuku i jego tylnej ścia-
nie umieszczono cztery płaskorzeźby. Ta po
prawej to Marsylianka, czyli wymarsz ochotni-
ków 1792. Łuk ma 49 i pół metra wysokości i
można wejść na szczyt krętymi schodami.

Pod sklepieniem Łuku, pomiędzy przednimi
filarami znajduje się Grób Nieznanego Żołnier-
za poległego w I wojnie światowej. Kiedy ja
stałam u brzegu płyty — leżał tam wielki
purpurowy wieniec od Michaiła Gorbaczowa.
Jakiś fotograf amator, uzbity w cięski
spręż, zrytowany układem wstęg, przekre-
szone wiatrem — właśnie wiał był z nogami na
płyty i jał je wyprostować ku górze sław-
nym podpisem. Czym dla odmiany zrytowany
wartujący żołnierz wziął go był za kark i wy-
walił z płyty grobu, że ten omal nie zgubił
swojego aparatu.

Nie sfotografowałam tego — bałam się.

W miejscu tym widziałam też Murzynkę, któ-
ra miała fryzurę upiętą z kilkunastu cięć, a
może kilkunastu warkoczyków, które opłatały jej
piękną kształtną głowę — filigranową kumpo-
zycją. Była tak piękna i tak dostojna w długiej
złotej pomarańczowej szacie, że nie podnie-
słam na nią obiektywu.

Nie śmiałam.

Kiedyś czytałam w jakimś przewodniku, że
Pola Elizejskie od Placu Etoile do Placu Con-
corde mają 1910 metrów długości.

Kiedy pierwszy raz, ciągle oszołomiona —
utopiłam wzrok w widoku Łuku z perspektywy
Placu de la Concorde — posliznęłam się na
psiej kupie najafadanej na samym środku „tho-
tuahu” Champs Elysées i omal nie przejecha-
łam w posługu całego prawie odcinka za jed-
nym zamachem. A kiedy już złapałam równo-
wagę i opadła mnie fala pierwszej złości, potem
oburzenia, wreszcie zdumienia — poczułam, jak
zaczyna z najciemniejszego kąca mojej oso-
bowości wyłazić żądłość zawiści: że oni wszy-
scy, ci tutaj, miejscowi i przybli, już sama nie
rozróżniam skąd, że oni wszyscy chodzą — tak
sobie... zdzierają ten trotnar bez nabożeństwa,
ot, zwyczajnie, bez filcowych kapci... która
zresztą może tym razem ratowałaby od po-
ślizgów...

PO DRUGIEJ STRONIE PLACU ZGODY

w przedłużeniu Pół — są ogrody Tuilleries. U-
lubiony park stolicy. 14 lipca, tu, obchodzi się
ludowy festyn. A dzieje ogrodów znowu wiąza-
nie z naszymi sprawami. W 1573 roku
Katarzyna Medycejska wydała tu właśnie wiel-
ki festyn na cześć polskich posłów przybyłych
ofiarować koronę Rzeczypospolitej — Henryko-
wi Walezemu, a w 1811 — Napoleon demon-
strował tutaj przed księciem Józefem Poniat-
wskim sztandary zdobyte przez Francuzów i
Polaków na wojnie hiszpańskiej.

Tuż przy placu, z boku ogrodów — Jeu de
pomme — stała ekspozycja impresjonistów. Wre-
szcie stoje w jakiejś kolejce. Wstęp 25 franków
— tyle co bagietka z szynką w snack barze
naprzeciwko...

Szynkę już widziałam. I to nie tylko na re-
produkcji. Impresjonistów też gdzieśśdzia-
porozrzucających po świecie — ale żeby tak na-
raz, dwa piętra...

Przebiegam najpierw jedno po drugim, tak
jak kartkuje się album, a potem siadam na
dużej, szerokiej ławie i zmuszam się do wyci-
szenia. Bez emocji. Tylko bez emocji. Ta cała
ściana na wprost — to naprawdę jest cała ściana
Gauguina i mam na nią cały dzień.

Potem kiedy wychodzę już w ogrody Tuil-
eries — widzę tamte obrazy. Nakładają się tak
dokładnie, że nie mogę odnaleźć współczesno-
ści. Młoda matka bawi się na trawniku ze swo-
im niemowlakiem.

— Przecież jest w dzinsach — powtarzam
sobie, ale nie mogę tego „zobaczyć” — te ko-
biety pośród mężczyzn są ubrane. Są ubrane
czarno plus.. a to co piją to coca, i to z pusz-
ki... i to ja, siedzę w następnym już fin-de
siècle'u na ławce z tamtych lat.

Jakiś facet karmi francuskie wróble. Jest
popołudnie nienormalnie żarnego październi-
ka. Idę aleja. Perspektywę zamyka
skwer karuzeli, tu znowu Łuk Trium-
falny. To na nim za pierwszego cesar-
stwa umieszczono rumaki Lizypa, zarabowane z
weneckiej bazyliki św. Marka. Teraz jest kwa-
dryga zaprzężona w cztery konie. W kwadry-
dze — Restauracja.

Zamykają Luwr. Gromady ludzi zaraz wejdą
w ogrody, by sobie to wszystko czym się cały
dzień ładowali — przemyśleć. Luwr zostawiam
na jutro, na niedziele. Bada tłumy. W niedzie-
le wstęp jest bezpłatny. To zjem sobie te ba-
giętkę z szynką.

Muzea też zwiedza się w życiu po parę razy...

TAMARA ROSZAK

Gorący wiatr

Z frontu walki między Irakiem a Iranem napływają sprzeczne doniesienia. Ostrzelwane są tankowce różnych bander pływające po Zatoce Perskiej. Trwa wymiana ognia artyleryjskiego, wojska obu stron przystępują do ataku, rozpoczynają się i załamują ofensywy. Ostatnio nadeszła wiadomość o bombardowaniu rafinerii ropy naftowej pod Isfahanem. Byli ranni i zabici. Doniesiono też o bombardowaniu przez lotnictwo irańskie różnych celów w okolicy Galat Saleh. Trwały walki na wyspach położonych wśród bagien w pobliżu Szatt-el-Arab.

Branko Savić, wysłannik jugosłowiańskiego pisma „Nin”, próbował wyjaśnić, skąd bierze się taka zacieśnienie w walce o bagna. Opanowanie tych wysp daje podstawę wyjściową wojskom irańskim do ataku na południowy Irak, kontrolę nad Szatt-el-Arab i możliwość przecięcia szosy łączącej Basrę z Bagdadem, co równa się odcięciu południowego Iraku. W tym rejonie znajdują się bogate złoża ropy naftowej, a ropa — wiadomo — też jest ważnym powodem tej wojny, daje bowiem siłę państwom Bliskiego i Środkowego Wschodu.

W gruncie rzeczy Europejczykowi jest dość obojętne, gdzie i o co toczą się walki między Iranem i Irakiem. Europejczyk tej wojny nie rozumie i zbytnio nią się nie interesuje. A powinien już choćby dlatego, że ropa z Zatoki Perskiej płynie również do europejskich rafinerii. Co prawda płynie jej wodami, tej Zatoki coraz mniej, gdyż coraz niebezpieczniej jest tamtejszy pływac. Pod koniec lat siedemdziesiątych przez Zatokę płynęło 41 procent wydobywanej tam ropy, teraz już tylko 15 procent. I będzie coraz mniej, gdyż wybudowano lub buduje się nowe rurociągi, którymi ropa z szelfów położonych nad Zatoką Perską płynie do portów w Turcji i Arabii Saudyjskiej.

A poza tym cena ropy spada, co grozi nie tyle zmniejszeniem wydobycia z szelfów już istniejących, ile i może przede wszystkim zahamowaniem poszukiwań nowych złóż. Właśnie w rejonie, gdzie toczą się walki między Iranem a Irakiem znajdują się — jak szacują specjaliści — najbogatsze złoża ropy naftowej. Tworzą one trójkąt, którego jeden wierzchołek znajduje się w Iraku, drugi w Iranie, trzeci w Arabii Saudyjskiej. Ani wojna, ani spadek cen nie sprzyjają poszukiwaniom ropy naftowej w tym właśnie rejonie.

Wojna iracko-irańska, która pochłonięła tysiące ofiar po obu stronach, trwa już pięć lat i nie nie wskazuje na jej zakończenie. Obie strony zdecydowały się na walkę do zwycięskiego końca, co oznacza całkowite pokonanie jednej ze stron, ale widoki na to są zadne. Na froncie iracko-irańskim nie dokonuje się konfrontacji między Zachodem a Wschodem, jak też nie dokonuje się scalenie państw arabskich. Co prawda Kuwejt, Arabia Saudyjska i Zjednoczone Emiraty Arabskie odłożyły na bok uprzedzenia, jakie miały w stosunku do Iraku, i śpieszą mu z pomocą, obawiając się wpływu rewolucji irańskiej na własne społeczeństwa. Wojna ta jednak bardziej dzieli świat arabski niż go scalała, co jest bez wątpienia na rękę Izraelowi, który żyje przecież w ciągłym otoczeniu i arabskim zagrożeniu. Zagrożenie to jest tak długo jednak teoretyczne, jak długo świat arabski jest podzielony i skłócony.

A przecież mimo wojny i niechęci do Iranu i irańskiej rewolucji gorący wiatr z Teheranu wciąż nieustannie nad Azją i północną Afryką. Jego powiewy dają się odczuć wszędzie tam, gdzie są muzułmanie, gdzie są szyici.

Turecja — jak wiadomo — od czasów Mustafy Kemala Atatürka zerwała z tradycyjnym islamem, choć 99 procent Turków to właśnie muzułmanie. Zniesiono kalifat i sultanat, zakazano nauki religii w szkołach, rozwiązano zakony i wprowadzono alfabet łaciński zamiast arabskiego. Był to proces laicyzacji Turcji, próba jej unowocześnienia. Nie zmałało to jednak tradycyjnych sił muzułmańskich przynajmniej na wsł. A dziś, pod wpływem gorących tchnień wiatru z Teheranu tradycje te odżywiają, gwałtownie rośnie religijność Turków i to nie tylko wśród ludzi starszych, ale właśnie wśród młodzieży.

W Ankarze i Stambule widok kobiety w czarofacie i chustce na głowie jest coraz powszechniejszy. Wiele sklepów sprzedaje takie tradycyjne ubiory kobiece, a kupują je nie tylko kobiety wiejskie, kupują je studentki i młode intelektualistki. Pojawili się szkoły Koranu — niegdyś zabronione. Powraca się do arabskiego alfabetu. Zakazano reklamy alkoholu w telewizji i radiu. Pojawiają się głosy domagające się wprowadzenia w Turcji jako obowiązującego prawa islamskiego opartego na zasadach Koranu — szariat. Jedni uważają że tendencje za mało groźne, inni sądzą, że zaszyły one już dość daleko i któregoś dnia Turcy mogą się obudzić w państwie podobnym do Iranu.

Coraz śmielej poczynają sobie przywódcy tureckich fundamentalistów — Erbakan. Przywódca afgańskich mullahów, Hekmatyara, pouczal dziennikarzy tureckich jak powinna wyglądać prawdziwa islamska gazeta. Sąd uniewinnił i wyprowadził islamskiego kaznodzieję Mahmuda Hoca, ale sam fakt, że stanął on przed trybunałem oskarżony o wykroczenia przeciw zasadom laicyzacji, ma swoją wymowę. Sąd uniewinnił również imam ze Stambułu, autora dwutomowej książki, która stała się w Turcji bestsellerem, Ali Riza Demircana. Imam ze Stambułu ma 39 lat i napisał książkę, która pełna jest nauk Koranu i ilustrowanych porad seksualnych dla Turków, którzy chcą postępować zgodnie z Koranem. „Życie seksualne w myśl nauk Koranu” Ali Riza Demircana ma już czwarte wydanie.

Imam ze Stambułu nakazuje kobietom całkowite podporządkowanie się mężczyźnie. Powinna ona przed okiem mężczyzny zasłaniać całe swoje ciało. Tylko bracia i ojciec mogą oglądać jej twarz i ręce. Nie powinna korzystać z salonów piękności, ani innych miejsc, w których gromadzą się kobiety bo może być narażona na lesbijską prozaię. Ali Riza Demircan zaleca obrzezanie kobiet, co zresztą stosuje się w niektórych krajach Afryki, a zwłaszcza w Egipcie i Sudanie, a przez co cierpią miliony muzułmańskich kobiet.

Imam Ali Riza Demircan opowiada się za tym, żeby prawowierny muzułmanin miał cztery żony ale sam jest wierny jednej, z którą ma dziewięćdziesięcioro dzieci. Ma już jednego wnuka. Poleca on mężczyznom, żeby — gdy ich onanie żądza — natychmiast ją zaspokajali z jedną z żon, gdyż tylko w ten sposób unikną pokusy cudzołóstwa.

Wykroczenia seksualne powinny być według Ali Riza Demircana surowo i zgodnie z Koranem karane: śmierć przez ukamienowanie za cudzołóstwo, śmierć za homoseksualizm lub sodomie, czyli uprawianie seksu ze zwierzętami, chłostę za miłość lesbijską i ośpienie dla podglądaczy.

Głoszenie takich poglądów było zakazane w Turcji, a mimo to sąd uniewinnił autora książki, w której znalazły się takie poglądy. Jednych to oburzyło i mówili o wyczuwalnym powiewie gorącego wiatru z Teheranu, inni dziwili się, że za coś, co jest tradycją islamu można w ogóle stanąć przed sądem.

Mimo, że na pustyni toczy się nadal wojna iracko-irańska gorący wiatr wieje z Teheranu.

JAN GRZEGORZ PAWELCZYK

ni, pewni siebie, o jasnym spojrzeniu i zdecydowanych ruchach. Bardziej może szorstki niż lozańscy, zadziwiająco jednak swobodni i naturalni. Są sobą. Żadnej na twarz nie zakładają maski przyzmiłnego uśmiechu.

Benjamin Constant z Lozanny, ubiegłowieczny pisarz i filozof takiego był wszakże zdania o berniejskiej gwarze:

„...zdaje mi się, że wokół mnie rozbrzmiewają ponure ryki dzikich bawołów... kiedy udam się na berniejski targ, gdzie kobiety sprzedają warzywa i owoce, odniosłem wrażenie, że słyszę stado donośnie kwaczących gęsi w drodze do wodopoju...”

Dla francuskiego ucha „schwytz” załatuje czymś śmieszny i drażniącym.

Lozańcy i dziś jeszcze pojąć nie mogą, czemu berniejszczy nie chcą mówić ich pięknym i plastycznym językiem. Nadal są przekonani, że jasno i logicznie można się wyrażać tylko w mowie Kartezjusza. A przecież jeszcze na przełomie wieków intelektualistów z Genewy niejako z obowiązku odbywali długi staż na uniwersyte-

jaką stosować pisownię. Regul nie ma. Rozbieżności są więc spore. Przeto ogniwem te dialekty łączącym pozostał w piśmie jak dawniej „hochdeutsch”.

Jeśli język jest instrumentem władzy, a władza pochodzi z poziomu gospodarki, to żadnej co do tego nie może być wątpliwości, że w kraju Helwetów dominuje „schwytz”. Grube ryby z kręgów finansjery, światowej renowy bankowcy przemawiają podczas narad w „deutsch”. Między sobą wszakże, w kuluarach, kiedy są na luzie i poklepują się po ramieniu, mówią wyłącznie „schwytz”.

Grube ryby spoglądają na pobratymców z Genewy z uśmiechem pobłażania, choć też z pewną życzliwością, odbiegającą mimo wszystko daleko od szacunku. Odrzucają język francuski. I vice versa. Jeden z genewskich zegarmistrzów oświadczył:

— Z jakiej niby racji miałbym uczyć się niemieckiego? Nie wszyscy za granicą słyszeli o Szwajcarii, ale o Genewie słyszał każdy. Niemcy są tacy zdolni, chcą być we wszystkim najlepsi, wobec tego łatwiej

JAN BABIŃSKI

„Schwytz” w natarciu

tach w Bernie i Zurychu, żeby w miarę dobrze opanować język Goethego.

Kiedyś „Romand” z Genewy i „Aleman” z Zurychu stali w sensie językowym „face a face”. Dziś stoją „dos a dos”, są do siebie odwrócony plecami.

Od pewnego czasu „schwytz” jest w natarciu. Sądzi się, że to jedno z następstw ostatniej wojny. Alemanowie z Berna i Zurychu pragną jakby bardziej zdystansować się i odseparować od kuzynów z północy. Wszak to mężowie z „hochdeutsch” w ustach dopuścili się zbrodni, jakich ludzkość dotąd nie знаła. Forsuje się „schwytz”, a właściwie „schwytzerdeutsch”, dialekt najbardziej tu rozpowszechniony. Przywiązanie do tego narzecza rośnie. W pewnym sensie jest to także przejaw umacniania się narodowej tożsamości.

Gazety drukuje się podobnie, jak książki w „schriftdeutsch”. W „Berner Zeitung” zaczął się już jednak ukazywać stały felieton w „schwytz”. Wydawnictwo „Franke”, „Victoria” i „Baenteli” drukują nawet książki w regionalnych dialektach. Tylko, że nie wiadomo wciąż

chyba będzie im nauczyć się francuskiego. „Schwytz”? O nie, ci z Berna to „tetes-carrees”, zakute łby, charczą tym swoim językiem, jakby natykali się kamieniami.

Tak czy owak politykę Szwajcarii określa Berno w języku niemieckim. Wielkość miasta nie wolno mierzyć liczbą jego mieszkańców, ani rozległością obszaru. Zurych to gnom przy Nowym Jorku. Jednak najbardziej wpływowo banki, największe towarzystwa ubezpieczeniowe, najbardziej znane giełdy mają siedzibę w Zurychu. Tu również ustala się cena złota. Dość, że szwajcarskie mózgi myślą po niemiecku.

Wśród szkolnej młodzieży Zurychu i Schaffhausen przeprowadzono starannie przygotowane sondaż. „Twoim zdaniem, jakim językiem powinni się porozumiewać wszyscy bez wyjątku Szwajcarzy?”

Odpowiedź zaskoczyła socjologów.



Rys. Janusz Szymański-Glane

Przed stacją benzynową na przedmieściu Berna zatrzymał się samochód z rejestracją kantonu Vaud. Z wozu wysiadł młody mężczyzna, podszedł do aparatury i stanął bezradny, nie bardzo wiedząc jak ją uruchomić. Wprowadza się tu wszak wciąż nowe cuda elektronowej techniki. Każdy zaś kanton chciałby w tym wysiłku wysunąć się na czoło. Trafiają się stacje tak poobwieszane, guzikami i przyciskami, tyloma rozbiyskują ognikami, że przywodzą na myśl kabiny pilotów w pasażerskich odrzutowcach dalekiego zasięgu. W tej dżungli wciąż nowych rozwiązań łatwo istotnie się zagubić.

Ze stojącego przy stacji garażu wyłonił się pracownik w niebieskawym kombinie i robotycznym. Zaczął tłumaczyć, jakie dźwięki należy ponosić. Próżny trud, mówił do lampy. Klient nie rozumiał jednego słowa. „Schwytz” był dla niego obcym zupełnie językiem. Pracownik garażu z wyrazem arogancji na twarzy sam wreszcie bak napelniał. Po czym odwrócił się plecami i odszedł z drwiącym uśmiechem. Półki, żyje, nie widziałem nic podobnego.

Dwaj Szwajcarzy, obaj młodzi, jednak nie mogli się ze sobą porozumieć. Czyżby należało zatem powątpiewać o spójności szwajcarskiej struktury państwowej? Radziłbym ostrożność z wyciąganiem aż nazbyt pochopnych wniosków. Wszystko tu jest inne. Na innych działach zasadach. Szwajcaria to taki dziwny kraj, gdzie wszyscy doskonale się ze sobą zgadzają, choć wzajemnie się nie rozumieją.

Korzeni językowych barier szukać by trzeba w historii tego kraju. Rzymianie podbili tu ongiś Helwetów, więc celtyckim szczerem, narzucili własny język, kulturę i prawo. Z biegiem lat Celtów doszczętnie zromanizowano „ad majorem dei prosperitatem”. Później górskimi przełęczami wdarli się alpejskie doliny Alemanów. Wyparli Rzymian, zachowując swój własny język zdobywców i własne obyczaje. Z zachodu uderzyli na to ziemie Burgundowie, z pochodzenia Germanie. Zlatynizowani już w Gali mówili narzeczem francuskim. Tak więc w żyłach współczesnych Szwajcarów płynnie krew celtycka, rzymska i germańska. Ten cocktail nadzwyczaj okazał się udany. Wykształcił się z niego naród wybitnie utalentowany. Po Celtach wziął polot i inwencję, po Germanach charakter i nieustępliwość. Językowe przegródki ustaliły się już w średniowieczu. Są trwałe, uświęcone przez czas i tradycję.

Półoś, 74 proc. ludności posługuje się alemańskim dialektem „schwytz”. Zachód 21 proc. ludności mówi po francusku, choć „falszywym” akcentem. Pozostali, na południowych skrajach kraju, używają włoskiego i reto-romańskiego. Zwartą na pozór tkaninę państwowości przetkana jest aż czterema językami. Tak naprawdę liczy się niemiecki i francuski.

Granice państw zauważy się gołym okiem nawet z rozpedzonego pojazdu. Widać je po zabudowaniach. Tyle już lat minęło, a dziś jeszcze starczy pod Wieruszowem minąć most na Prośnie, żeby natychmiast spostrzec ogromne różnice w wyglądzie domów. Tędy przebiegała granica carskiego imperium i królewskich Prus. Starczy minąć przy Nijmegen most na Renie, żeby od razu się połapać, że wjeżdża się na obszar „Bundesrepublik”. U Holendrów — domki jak cacka, wybudowane z czerwonej cegły o wspaniale błyszczącym lico. W Niemczech budynki są masywne, wielopiętrowe, poobrazowane wszystkimi ohydym szarym tynkiem.

Nie trzeba sokolego oka, by dostrzec już przed Murten, na drodze z Lozanny do Berna, że domy stają się szersze, bardziej rozłożyste o zawieszonych okapach i biegnących wokół pięter obszerne werandach. Nie ma w nich francuskiego wdzięku i lekkości. To już alemańska Szwajcaria.

Od razu też wkoło słyszy się inny język. Dźwięki są ostre i gardłowe. Dla mego ucha melodyjne wszakże, pełne siły i dziwnego uroku. Przypominają brzmieniem bardziej może szwedzki niż holenderski. Ludzie też inni. Silnie zbudowa-

1

Nagle zastępstwo

„Dzielo naszych serc i rąk”

Z powodów oczywistych, o tak rzec — naturalnych, ogromna większość moich znajomych należy do tzw. inteligencji. Trzy literki „tzw.” nie wyrażają sarkazmu, używam ich dlatego, że od dawna nie wierzę w istnienie w naszym społeczeństwie w miarę spójnej i jednorodnej grupy społecznej, dawniej zwanej „inteligencją”.

Od dawna już wszyscy albo prawie wszyscy moi znajomi utyskiwali na wysokość swoich zarobków. Przywykłem do tego. Od pewnego czasu jednak pojawił się w tych utyskiwaniach element nowy: moi znajomi nie narzekają już w imieniu własnym, oni narzekają „klasowo”, narzekają w imieniu całej inteligencji. Nawet skłonny byłbym się z tym zgodzić, w końcu sam — ze względu na wykonywany zawód — należę do tych, których zarobki jeszcze niedawno wyrażały nieco ponad średnią, a ostatnio gonią te średnią z coraz mizerniejszym skutkiem. Skłonny byłbym, ale...

To „ale” będzie krótkim wykładem z dziedziny ekonomii i polityki społecznej wykładem — na szczęście — w wykonaniu amatora. Podkreślę swoje amatorstwo, bowiem wyglądam rzecz heretycka zgoda i scieżną na swa biedna głowę gromy. Jako amator występuję sobie niefrasobliwie i mam prawo nie tylko do błędów: mam prawo nawet zupełnie nie mieć racji!

Dla ułatwienia sobie i czytelnikom zakładam, że rzecz będzie dotyczyła tylko inteligencji technicznej, zatrudnionej w przemyśle. Ta grupa zawodowa pracuje lub przynajmniej powinna pracować w zakładach zreformowanych czy raczej reformujących się. W zakładach tych, jako jeden z elementów reformy, funkcjonują zakładowe systemy placowe, porozumienia placowe, czy jak tam jeszcze się to nazywa. W wyniku — z reguły — dość prymitywnego akordu indywidualnego, pracy w godzinach nadliczbowych itp. robotnicy uzyskują zarobki dość wysokie, z reguły wyższe niż zarobki inżynierów. Dyrekcje i rady pracownicze zgodnie premiuja wydatność — wydajność jednostkową, wydajność najłatwiejszą do uchwycenia, wymierzenia, wycenienia. Wydajność, która dziś, tu i teraz, decyduje o wielkości produkcji i doraznych zyskach zakładów. Praca inżyniera — organizatora produkcji, technologa, konstruktora itp. ani takich oczywistych efektów nie daje, ani nie da się tak łatwo skalikować...

Do tego miejsca wszyscy chybą się ze mną zgodzą. Ale to nie koniec! Inżynierowie nasi — w ogłomnej swej większości — od lat uprawiają działalność biurokratyczną administracyjną, nieprodukcyjną w najszerszym zakresie znaczeniowym tego słowa. Tak jest od lat, tak jest także dziś... Pięć lat temu, kiedy wszyscy wszystkich oskarżali o błędy i wypaczenia „gierkizmu” okazało się, że winni byli decydenci, winni byli doradcy, winni byli wreszcie ekonomiści a nawet dziennikarze. Tymczasem postać inżyniera polskiego była jasna i nieskalana. To on narysował projekty i nadzorował budowę osiedla Retkinia, to dziełem jego twórczego geniuszu był samochód Syrena, to dzięki jego twórczości wysiłkowi nie można było sprzedać za granicę polskich obrabiarek i wytworów przemysłu chemicznego. Przypomnijmy sobie pieśń masowa sprzed lat: „dzielo naszych serc i rąk”. A głowy? To słowo — jakże spóźnione! — nie było użyte przez poetę...

Nie się w ostatnich latach nie zmieniło Gros czasu pracy inżyniera zajmują proste, administracyjne i papierkowe czyn-

ności, które może z powodzeniem — i taniej — wykonać przyuczona panienka po maturze. A postęp techniczny, jak się wolać dowiadujemy z prasy, jest nadal domeną „leśskich chłopaków” i „złotych rączek”, a nie wynika z zaprogramowanej, twórczej pracy ludzi do niej powołanych. Zakłady coraz częściej nie przyjmują do pracy absolwentów politechnik — poszukują tokarzy, hydraulików, robotników niewykwalifikowanych. A inżynierom nie chcą dobrze płacić. I słusznie! Skoro ich praca nie przynosi konkretnych efektów...

Kiedy reforma wyjdzie już z przedszkola (w którym dość skutecznie trzyma ją m.in. minister Niekarz) i okaże się, że utrzymanie się na rynku wymaga oszczędności materiałowej, nowych technologii, prawdziwej organizacji pracy — wtedy zrodzi się zapotrzebowanie na inżyniera — na prawdziwego inżyniera! Wówczas inżynier twórczy, innowacyjny, słowem — przydatny, będzie potrzebny i będzie dobrze zarabiał. Ale nie każdy! Miernota i średniactwo nie wytrzyma konkurencji, będzie pracować na stanowiskach robotniczych i dziękować, że w ogóle pracuje...

Przez lata pozostawaliśmy w błogim przekonaniu, że sama liczebność inżynierów w przemyśle wymusi postęp techniczny. Jest to mniemanie błędne — od czasów Fenicjan wiadomo, że wszystko musi się opierać, postęp także. Życie skoryguje zapotrzebowanie na inżynierów w produkcji. Może być bardziej przydatni w piarach usługowo-konstrukcyjnych czy badawczych, pracujących nad konkretnymi problemami na konkretne zamówienia przemysłu? Zakłady będą minimalizować zatrudnienie inżynierów a takim właśnie biurom zlecać będą — za grubą gotówkę — ekspertyzy, projekty itp. itd. Zatrudnieni w tych biurach inżynierowie będą opłacani właśnie w systemie akordowym — bowiem akord indywidualny jest wprawdzie anachronizmem w opłaceniu pracy fizycznej, ale jako system opłacania pracy twórczej jest niezastąpiony. W takich biurach będą możliwości uzyskania bardzo dobrych zarobków. Tylko możliwości! Reszta w rekach samych zainteresowanych. Automatycznie nie będzie tam miejsca na bylejaką i średniactwo.

Tego wszystkiego życzy Państwu (i sobie także) z okazji świąt. Jeśli jednak taka perspektywa powoduje u kogoś lek i gęsia skórka, niech łaskawie zauważy, że numer „Odgłosów”, który trzyma w ręku ukazuje się przed pierwszym kwietniem. Dla podtrzymania dobrego samopoczucia proponuję uznać wszystko to co powyżej za primaaprilisowy żart...

ANDRZEJ KAROL

2

„Wygrać bitwę i napisać poemat”

Czytam właśnie książeczkę Aleksandra Bocheńskiego pod dość długim tytułem: „Rzecz o psychice narodu polskiego”. Autor próbuje w niej pokazać warunki, w jakich kształtował się nasz sposób myślenia, jego obciążenia niejako dziedziczne. Jest tam opisana taka oto scena:

„W pewnym salonie, grupującym zarówno oświeconą arystokrację, jak i elitę pisarzy, urządzono pewnego dnia u progu XIX wieku zabawę polegającą na tym, iż każdy podawał na nie podpisane kartki szczyt swoich marzeń, po czym miano przeznaczyć nagrodę dla najlepszego sformu-

wania. Zdobyła ją kartka z napisem: „Wygrać bitwę i napisać poemat”. Autorem jej okazał się młody Adam Czartoryski, najwybitniejszy potem polityk owego okresu”.

To właśnie wówczas narodził się wzór człowieka piszącego, jako wzór najwyższej wartości. Gdy dziś czasem się zastanawiam, skąd u nas tylu młodych poetów, to powinienem — szukając odpowiedzi na to pytanie — przywołać tamte już odległe przecieży czasy, gdy się taki a nie inny wzorec ukształtował. Człowiek piszący wiersze był i jest celem marzeń młodych ludzi.

Pisać wiersze nie jest grzechem. Jeśli ktoś ma taką wewnętrzną potrzebę, jeśli do tego ma talent, niech pisze wiersze i niech opływa w wielkiej sławie. Każdemu społeczeństwu potrzebni są poeci. Rzecz w tym, że nie tylko. Potrzebni są również czytelnicy, czyli odbiorcy tych wierszy. Gdyby w społeczeństwie danym byli sami poeci, byłoby to straszne społeczeństwo, ale podobnie byłoby, gdyby nagle zabrakło poetów. Chodzi bowiem o to, że pisanie wierszy nie może być przeciwieństwem pracy. Pisanie wierszy powinno też być pracą. I prawdziwe pisanie wierszy jest taką, ciężką niekiedy pracą. Ale młodzi ludzie wyobrażają sobie to zupełnie inaczej. Ot, siada człowiek i wodzi długopisem po papierze, a z długopisem razem z tuszem leje się struga na papier czysta poezja. Sama się leje.

Jak już komuś sama poezja leje się z długopisu na papier, to ten ktoś jest artystą i jako artysta nie podlega żadnym rygorom, zasadom i nic go w ogóle nie obchodzi. Jest ponad wszystkim, bo jest artystą. Otóż ideałem zrodzonym w czasach romantyzmu był nie naukowiec, nie fabrykant, nie człowiek pracy — tymi pogardzano — ale cygan, artysta wolny, niepodległy, goły jak święty turecki, naciągający tępych mieszczuchów, ośmieszanych i wyszydanych. „Najwyższą rangę społeczną — pisał we „Wspomnieniach” Ludwik Krzywicki — w całej oświeconej warstwie Polaków osiągnął człowiek-cierpielnik, nie naukowiec, ani broń Boże, fabrykant”. Władysław Smoleński przyznał się, że dopiero w 1868 roku przestał wierzyć, że Polska jest Chrystusem narodów, że wcale nie będzie lepiej dla Polski i dla świata, jeśli będzie cierpieć.

Coś z tego nam zostało. I myślę, że sporo. W Polsce XVIII wieku nie mieliśmy silnego mieszczaństwa. Podobnie było w XIX wieku. Polska inteligencja ma szlacheckie rodowód, a szlachta za pracę nie przepadała. Lubila dobrze zjeść, wypić i pilnie baczyła, aby przypadkiem nie rosła w siłę władza centralna, czyli królewska. Bryła złota wolności i o nie się nie martwiła. Taki sposób myślenia do dziś daje o sobie znać. Gdy w innych państwach Europy rosło w siłę mieszczaństwo, prymat zdobywała inna postawa: oszczędność, schudłość, skromność, pracowitość. Inaczej nie rosłoby mieszczańskie fortuny, nie powstawałaby pożywka dla rozwoju kapitalizmu. W tych państwach młodzińców wysyłało się w termin do specjalistów, aby uczyli się zawodu, poznawali świat i mogli przejąć ojcowską spuściznę. U nas młodych wysyłało się do Paryża, aby poznać świat, a za nimi szły do stolicy świata pieniądze wyciskane z chłopskiego potu. To pniały szlacheckie fortuny, zubożała szlachta szła w inteligenty, niosąc z sobą cały bagaż szlacheckich nawyków, uprzedzeń i przyzwyczajęń. Pracowali biedni, niezaradni, głupi.

Zrobić karierę, to oznaczało zrobić majątek. Wyjść do brzoze za mąż, ożenić się z posażną panną. Bogaci mieszczaństwo, później fabrykanci kupowali majątki i szlacheckie tytuły. To było szczytem ich marzeń, to znaczyło, że inni nie tylko na nich pracują, ale i im muszą służyć. Oni awansowali w społecznej hierarchii — awansowali „drogą kupną”, ale stawali się szlachtą, choćby nawet szlachecka. Jak się ma pieniądze, to się człowiek liczy. Pracują głupi, którzy nie mają pieniędzy.

Dziś też jest dobrze mieć pieniądze. Można nawet napisać do specjalnego biura, bodajże w Białymstoku i tam dostać rodowód, a nawet herb wynalazony. Ponoć produkuje klasa jest klasa robotnicza, ale zawsze herb, to tradycja. A tradycję trzeba szanować. Pracują głupi, którzy nie potrafią urządzić się w życiu.

Tylko, że to już było. Skutkiem braku szacunku dla pracy był upadek Polski. Nie wierzę w powtarzającą się historię, ale warto z przeszłości wyciągnąć właściwe nauki.

WITOLD BOROWY

3

Opowieści wschodnie

Końskie żarty

Szef telewizyjnego Studia 1 wykazał, w wywiadzie udzielonym „Przeglądowi Tygodniowemu”, bardzo specyficzne rozumowanie, przypominające mi jako żywo sposób myślenia sporej części obywateli Perszeronii. Dlatego też dzisiejsza moja opowieść ma z tym pięknym, dalekim krajem niewiele wspólnego.

Marek Jefremienko odpowiadając na pytanie dziennikarza o poziom kierowanego przez siebie programu powiedział, że nasz przemysł motoryzacyjny też nie robi Mercedesów tylko Polonezy. Jest to myśl głęboko słuszna i prawdziwa, ale jakby mało płodna intelektualnie. Co z niej bowiem wynika? Ano, wynika z niej, że kiedy tylko poprawi się standard techniczny polskich samochodów, to automatycznie wzrośnie poziom rozrywkowego programu telewizyjnego!

Może to nawet i prawda, może rzeczywiście są jakieś związki ogólnoeconomiczne i ogólnospołeczne między przemysłem motoryzacyjnym a telewizją, ale są to związki raczej gołym okiem niewidoczne i żaluję, że pan Jefremienko nie spróbował swojej tezy udowodnić.

Pan redaktor Jefremienko, wyraźnie oburzony na prasę powiedział jeszcze jedną ciekawą rzecz: mianowicie stwierdził, że być może prezydent (i prezydentki) występujące w jego programie nie są mistrzami swego zawodu, ale przecież i felietoniści też bywają różni!

Znow jest to myśl słuszną i prawdziwą, ale znow nic z niej nie wynika. Felietoniści są różni, hydraulicy są różni, ministrowie są różni. Wywiad jednak nie dotyczył ani felietonistów, ani hydraulików, ani ministrów tylko właśnie programu telewizyjnego i ludzi, którzy go tworzą. I tak się składa, że oni za jego poziom odpowiadają. Jestem felietonistą — być może nie najlepszym, sam zresztą mogę wymienić lepszych ode mnie — tym niemniej nie poczuwam się do minimalnej choćby odpowiedzialności za Studio 1 ani jakikolwiek program telewizyjny... Myślę, że podobny pogląd mają koledzy, zasiadający ze mną na tej kolumnie tygodnika, którą taskawny czytelnik właśnie ma przed sobą.

Rozmowa pana Jefremienki jest właśnie perszeroniskie — robić swoje, nie przejmować się krytyką. Przyjdzie walec i wyrówna...

Podobny sposób rozumowania zademonstrowali koledzy i zwierzchnicy redaktora Jefremienki, którzy zaprosili do kraju bohaterkę popularnego serialu produkcji australijskiej. Zupełnie celowo używam słowa „bohaterka”, albowiem popularność serialowych aktorów przewyższa znacznie normalną sympatię widzów — utożsamiają oni aktora z rolą i uwielbiają go (lub może także — nie nawiadza) jakby nie był postacią z celulozoidu, a żywym świętym. Otóż w odróżnieniu od niezapomnianej Isauiry, której pobyt w Polsce wywołał jakieś niesłychane i niezrozumiałe w gruncie rzeczy emocje, wizyta australijskiej aktorki nikogo specjalnie nie zainteresowała.

Tymczasem, niczym nie zrażeni organizatorzy tej imprezy zapowiedzieli kolejne wizyty telewizyjnych gwiazdorów — ma przyjechać do nas telewizyjny Robin Hood i włoski aktor, grający główną rolę w

serialu „Osmiornica”. No i dobrze, niech przyjadą, tylko po co? Sukces Isauiry jest niepowtarzalny i nikt już długo nie potrafi zrobić jej konkurencji.

Rozumowanie, w wyniku którego zaprasza się idoli grupowo, seriami i hurtem, jest również rozumowaniem perszeroniskim. Robić swoje, ciągnąć swój wózek, nie przejmować się. Był do wlosny...

Perszeroniski sposób rozumowania zademonstrowała ostatnio jedna z łódzkich spółdzielni mieszkaniowych. Rozesłała ona mianowicie do swych członków obszerną informację, z której wynikało, że spółdzielnia popadła w tarapaty finansowe i bez podwyżki czynszu z nich się nie wygrzebie. Trudno, zdarza się. Tyle że spółdzielnia nie podała ogólnej kwoty deficytu ani nie poinformowała co się na nią składa. Natomiast bardzo sumiennie, co do groza wytłumaczyła się z pewnej, śmiesznej wręcz sumy deficytu (dosłownie — kilku tysięcy złotych!). Może to kogoś przekonało, ale mnie się przypomina Perszeronia: Pieniądże trzeba włożyć, a jak się to wytłumaczy — nieważne... Robić swoje, ciągnąć swój wózek, nie przejmować się!

Mimo, że mam do Perszeronii i jej obywateli wiele sympatii, wolałbym we własnym kraju spotykać się z inną logiką i inną mentalnością. W Perszeronii właśnie powstało przed laty powiedzonko „koński żart”. Jestem jednak raczej za ludzkimi żartami, nawet z okazji Pierwszego Kwietnia...

BEN GRUNDIK

4

Sport

Nie przewiduję końca świata

Oglądałam rewanżowy mecz Juventusu Turyn z FC Barceloną z niejakim zaciekawieniem, choć mecz był chwilami nudny, nieładny i przypominał do znużenia zmagania naszych dzielnych piłkarzy. Stąd właśnie moje zaciekawienie. Oddaję całą sprawiedliwość zarówno piłkarzom Juventusu, jak i Barcelony. Byli lepiej od naszych technicznie przygotowani. Ale pod bramką niczym naszym chłopcom nie ustapowali. Strzelali równie nieporadnie. Nawet mnie to zaczęło bawić. Ale zabawę na cały gwizdek miałam dopiero po oświadczeniu naszego komentatora — Dariusza Szpakowskiego.

Krygując się przed mikrofonem, bo kamera przecież pokazywała stadion w Turynie, wyznał jednak, że Juventus bez „nocego piłkarza” (oczywiście idzie o Bonka — B. M.), to jednak nie ten sam Juventus i wyraźnie widać na boisku brak naszego dzielnego internacjonalisty. Gdyby on był — to zmobilizowałby Włochów, techną w nich ducha, napełnił zapalem do walki i stałby się cud. Juventus pokonałby Barcelonę. Ale Zbigniewa Bonka nie ma już w Turynie i stąd cała tragedia. Przynajmniej dla Włochów.

Dariusz Szpakowski w drugiej połowie meczu powtórzył to samo, zastrzegając się, że nie przemawia przez niego narodowa megalomania. Następnie dnia przeczytałam w „Dzienniku Łódzkim” tytuł na drugiej stronie: „Zabrakło Bonka — nie ma „Juve”.

Bardzo lubię Zbigniewa Bonka, uważam, że jest to piłkarz inteligentny, utalentowany, pracowity, który wie, czego chce i jak ma postępować. Niedługo przedtem dawałam temu wyraz na tych łamach i zdania nie zmieniałam. Zbigniew

Boniek święci triumfy w Rzymie i niech mu się wiedzie jak najlepiej. Ale Zbigniew Boniek jest jeden i wcale — tak sądzę — nie ma zamiaru być zbawicielem całego włoskiego piłkarstwa. Pograł w Turynie, teraz gra w Rzymie i — jak to kiedyś powiedział w wywiadzie dla „Odgłosów” — wszystko poświęca tym barwom, dla których gra. Taki jest łos piłkarza. Grał jak najlepiej dla Juventusu, teraz gra jak najlepiej dla Romy. Koniec, kropka. Cały wywód Dariusza Szpakowskiego nie ma sensu. Podobnie jak tytuł w „Dzienniku Łódzkim”. Widać depreczowanie tej gazety zamiast pracować, oglądał sprawozdanie z meczu i słuchał komentarza Dariusza Szpakowskiego.

Skończył już z tą megalomanią narodową. Mogłabym tu przypomnieć obśmiany już wielokroć zwrot, że piłka jest okragła a bramki są dwie i wygrać może każda drużyna, która akurat tego dnia jest lepsza. Ze Zbigniewem Bonkiem, czy bez Zbigniewa Bonka. Z jakimkolwiek Polakiem, czy bez jakiegokolwiek Polaka. Bez naszego udziału w imprezie świat się jeszcze nie zawali.

Rozlega się oto lament przeciagły, że nasi sędziowie piłkarscy nie pojadą do Meksyku na mistrzostwa świata. Nie pojadą. Fakt. I co z tego? Czy to znaczy, że świat się natychmiast zawali? Nie. Nie przewiduję żadnego końca świata z tego tylko powodu, że polskich sędziów nie będzie w Meksyku latem 1986 roku. Nie będzie ich tam i nie będzie gdzie indziej. A dlaczego nie będzie? Oto jest pytanie. Tylko to pytanie jakoś umyka z pola widzenia wszystkich lamentujących. A trzeba się nad nim zastanowić.

Warto się też zastanowić nad tym, ilu to mamy działaczy w różnych międzynarodowych organizacjach sportowych, że już nie wymienię UEFA i FIFA. W piłce nożnej nasi wspaniali chłopcy już po raz czwarty z rzędu kwalifikują się do mistrzostwskich rozgrywek, w tym dwa razy zajmują trzecie miejsce, a polskich działaczy w międzynarodowych federacjach piłkarskich za święca nie uważasz. Zresztą szkoda świecę darmo wypalać. Dlaczegoż to — warto zapytać — polscy piłkarze liczą się na mistrzostwach bosiskach, a polscy działacze sportowi nie liczą się w międzynarodowych salach konferencyjnych? Nastawiam uszu i słucham odpowiedzi. Cisza.

Już chciałam machnąć ręką, gdy doszedł mnie słaby głos z Krakowa. Otóż uparty felietonista tamtejszego „Tempa”, Wojciech Lipiński spróbował odpowiedzieć na to pytanie. Oddaję mu głos:

„Co najmniej trzy cechy powinny określać działaczy międzynarodowego sportu. Po pierwsze, znajomość sportu w jego danej dyscyplinie, po wtóre w nawiązywaniu kontaktów z przedstawicielami innych krajów, a wreszcie najsłabszy punkt naszych zagranicznych delegacji — znajomość języków obcych”.

No, to już wiemy wszystko. Chociaż mam pewne wątpliwości, bowiem z każdą ekipą tłumnie wybierają się iacy działacze. Wiem, że niektórzy z nich wykazują nawet nadzwyczajne zdolności w nawiązywaniu kontaktów z tubylcami. Tyle, tylko, że nie z tymi, o których powinno im chodzić. I w nawiązywaniu tych kontaktów wcale nie przeszkadza im znajomość jedynie języka rodzimego. Słyszałam nawet, że pewien specjalista — tym razem nie sportowy — domagał się, aby inni uczyli się polskiego, no bo skoro oni tak wyjechał z kraju, to inni też niech złożą jakąś ofiarę na ołtarzu współpracy międzynarodowej. Wrócił jeszcze szybciej niż wyjechał.

No, ale dość żartów! W całej tej dziwnej sprawie związanej z naszą narodową megalomanią jest pewien racjonalny promyk. Mamy przecież dość szeroko rozwiniętą sieć szkół średnich i wyższych. Niektórzy mawiają, że nawet nadniemie. Czyżbyśmy tam nie szkolili młodych ludzi w trudnej sztuce kontaktowania się z przedstawicielami innych nacji? A może, ci specjaliści właściwie przygotowani nie mają jakoś okazji do wyjazdu i wykazania się swoimi umiejętnościami? Warto się temu wnikliwie przyrzeć.

BOGDA MADEJ

O zmroku dotarł na Pchli Targ przy Dapperstraat. Zamykano już stragany i budki z podejrzany towarem, zdołał jednak jeszcze w budzie z teatralnymi akcesoriami kupić fałszywą brodę, wazy i klej. Nabył też nieprzemakalny płaszcz, kapelusz i w miarę dobrą walizkę. Wszedł do publicznego kłozetu, przykleił sobie brodę i wazy, nałożył płaszcz, głowę okrył kapeluszem. Z walizką w ręku stanął w bramie naprzeciw jednopiętrowego domu z dwoma dużymi oknami na parterze i widocznymi przez nie rowery. Sklep był czynny, wystawy zostały oświetlone, tylko całe piętro domu miało ciemne okna. Odetchnął z ulgą i spojrzał na zegarek. Dochodziła piąta po południu, o szóstej Yvette zamykała sklep. Należało tylko czekać. Cierpliwie. A to on potrafił. Wszedł nieco głębiej w bramę naprzeciw sklepu, gdyż na ulicy zapalono lampy.

Nie chciał znowu popełnić błędu. Tak, to było niewybaczalne, że gdy znalazł zwłoki Bundera, zamiast uciec tą samą drogą przez zdziczały ogród, po prostu wyszedł frontowymi drzwiami. Zachował się jak amator, jak gdyby pierwszy raz w życiu dano mu do wykonania poważniejsze zadanie. Czy naprawdę zadziałała w nim podświadomość, że jest człowiekiem niewinnym, pokierował nim odruch spowodowany poczuciem, że skoro to nie on zabił Bundera, mógł opuścić miejsce zbrodni drogą człowieka uczciwego, ba, może nawet zatelefonować po milicję. Na moment zapomniał, że w jego zawodzie nigdy nie było się człowiekiem niewinnym, ani nawet w potocznym tego słowa znaczeniu — uczciwym. Zabił czy nie zabił i tak zostałby aresztowany. Jeśli nie za zabójstwo, to za coś innego, gdyż znał Bundera i spotykał się z nim. Już sam fakt, że wszedł do willi przez zdziczały ogród, czynił go podejrzanym. Christopher Bullow nie powinien wyjść frontowymi drzwiami, a jednak to uczynił. Dlaczego? Bo frontowymi drzwiami opuścił willę nie Christopher Bullow, lecz osobnik o nazwisku Józef Maryn, niewinny i uczciwy. To była reakcja, odruch, sposób zachowania się Józefa Maryna, osobnika, od którego próbował się odczepić, gdy wysiadał z samolotu i nad którego myślał, że mu się to udało. Tylko — prawdopodobnie — nie do końca. To Christopher Bullow telefonował z różnych miejsc do Ivo Bundera, ale to Maryn zareagował tak dziwacznie na śmierć przyjaciela. Nie daj Boże, jeśli teraz, na Dapperstraat, w bramie domu naprzeciw sklepu z rowerami, choć przez moment zapomni, że istnieje jedynie Bullow, a nie żaden Maryn. W przeciwnym razie nigdy nie osiągnie swojego celu, nie pozostanie człowiekiem wolnym. W ten wieczór musi skopać w sobie Maryna, a może nawet zabić go, unicestwić, pozbawić osobowości.

„Ten sam wieczór ogarnął także las w Mordegach i piaszczystą plantację nasienną. Karol Stęborek nie zapalając światła harleya podjechał pod szeroką bramę na plantację i zobaczył stojący nieco z boku czarny samochód Romanikowej. Kierowca drzemał w wozie, Romanikowa znajdowała się zapewne w baraku, jak postawiono na plantacji, aby można w nim było składać rozmaite drobne narzędzia oraz Romanikowa miała coś w rodzaju prymitywnej pracowni. W ten wieczór musi skopać w sobie Maryna, a może nawet zabić go, unicestwić, pozbawić osobowości.

Przez całe lato, tydzień w tydzień przyjeżdżała na plantację Romanikowa, aby podziwiać las uporządkowany, sadzonki wko-pane w równych odległościach jedna od drugiej, każda z metryczką, z rodowodem. Odszedł Kulesza, zastępował go gajowy Wzdregę, nadleśniczy ciągle jeszcze nie mógł się zdecydować kogo ma uczynić odpowiedzialnym za plantację i oddać mu leśniczkówkę po Kuleszy.

Z początku wszystko na tej plantacji radowało Romanikową. Dwa ciagniki bez przerwy spulchniały ziemię między sadzonkami, aby nigdzie nie wyrosło choćby żółbło trawy lub zielsko. Zazienili się ładnie igły sadzonek, radował jej serce widok setek palików z przywiązany drzewkami, choć z daleka płać Wilczego Rogu wyglądała jak ogromny cmentarz z setkami krzyży, którym odpadały ramiona. To dla niej, Romanikowej, na środku plantacji wybudowano z żywicznych desek barak dwuizbowy; w jednej izbie znajdowały się narzędzia, a w drugiej coś w rodzaju jej pracowni ze stołem drewnianym, szafą, kubłem na czystą i brudną wodę oraz tapczanem nakrytym kocem.

Chodziła gruba Romanikowa po plantacji w cienkiej kretonowej sukience. Odmierzając wiele kilometrów oglądając podczas tych wędrówek niemal każdą sadzonkę. Niekiedy odsyłała samochód i nocowała na tapczanie w baraku. Trochę jej ubył kilometrów, nie pociła się już tak jak dawniej, przestała nosić majtki, gdyż czuła dziwną przyjemność kiedy wiatr od jeziora podrywał jej sukienkę i chłodził gołe podbrzusze. Nie musiała się tu nikogo wstydząć; traktory przestały spulchniać ziemię, odeszli z plantacji robotnicy i pojawiali się jedynie gajowy Wzdregę. Ta nagość pod sukienką dziwnie ją podniecała, a podniecenie trochę oszalało. „Tutaj jest dobre, zdrowe powietrze” — myślała. Coś się w niej budziło nowego, odżywały dawne zapomniane kobiece pragnienia, bo przecież nie była taka znowu stara. Miała pięćdziesiąt pięć lat, choć wyglądała starszej ze względu na swoją tuszę. Gajowy Wzdregę był chudy, szczerbaty, brudny i niewiele od niej młodszy. Pewnego wieczoru zaprosił go do baraku, postawiła na stole pół litra wódki, usiadła na ławie po turecku podciągając kretonową sukienkę. Gdyby gajowy trochę pochylił głowę, mógłby jej zająrzeć między nogi. Wzdregę jednak nie pochylił głowy, nie zająrzał jej pod sukienkę; wódkę wypił, a potem powiedział, że z tej plantacji nie będzie, ponieważ umarli na to nie pozwolą. O zmroku, kiedy już go chciała jakoś inaczej ku sobie zachęcić, o swoich dużych cecach zaczęła opowiadać, on rzekł, że boi się duchów i poszedł z plantacji, ona zaś została w baraku z gorącą w podbrzuszu.

Nazajutrz pojechała do Masłochy i stanowczo zażądała nowego leśniczego na miejsce Kuleszy. Masłocha obiecał wyszukać takiego i przedstawić go Romanikowej. Było to z początkiem lipca; przez kilka dni wiały silne wiatry i na własne oczy Romanikowa widziała ogromną chmurę piasku nad plantacją. Wiatr od jeziora zwiłwał cienką warstwę próchnicy i ukazywał coraz większe połacie szarego piasku. Z krzykiem strasznym pojechała do Masłochy, ten jednak w milczeniu wydobyl z sejfu rulon map i pokazał jej dokładnie, że próchnica na Wilczym Rogu zalegała bardzo głęboko i to, co widziała własnymi oczami było tylko chyba złudzeniem albo te mapy kłamią.

— Docenik tu jakiś przyjechał i te mapy robił ze swoimi studentkami. Nawet starego cmentarzyska nie zaznaczył. Dupczył tak, że aż przez jezioro do wsi piski niesło. No, i takie mamy mapy, nie pani na to nie poradzi.

— Pan o tym wiedział — oskarżycielsko dęgała go palcem w pierś.

— Wiedziałem, że dupczył. Ale mapa to dla mnie świętość — odparł.

Ponad dwieście sadzonek zaraz uschło. Z metrykami, z rodowodami, drogocenne, szczone gatunkami najlepszych drzew z całego kraju. Inne sadzonki walczyły o życie i nie rosły. Przez miesiąc nie pojawiła się Romanikowa na plantacji, urlop wzięła. A kiedy powróciła — dół zobaczyła w jednym miejscu.

— Skąd się to tu wzięło? — ostro zapytała Wzdregę.

— Zastępca nadleśniczego, Wojtczak, zepchnął cmentarz do bagna. Za nieboszczkami wstawił się nadleśniczy Masłocha, cztery skrzynie przygotowane, trochę starych kości wykopano i na cmentarz do wioski przewieziono. Wojtczak zaś poszedł na wcześniejszą emeryturę. Być może teraz ta plantacja da nasiona.

Pojechała Romanikowa do Masłochy i znowu zażądała specjalnego leśniczego do opieki nad plantacją.

— To musi być inżynier, człowiek wykształcony — mówiła.

Masłocha nie miał inżynierów wolnych od leśnictwa.

— Owszem, jeden chętny się zgłasza. Inżynier Stęborek. Ale na jego uprawach jest więcej wypadów niż na plantacji. Przede wszystkim wygubił modrzewie. On nie rozumie lasu, a las jego nie lubi.

— Nie chcę takiego — oświadczyła Romanikowa.

Zakładanie plantacji kosztowało miliony. Za tę plantację wysokie odzyskanie państwowe otrzymała doktor Romanikowa, niższe — nadleśniczy Masłocha, jeszcze niższe — zastępca nadleśniczego — Wojtczak. Na plantacji powstało trzydzieści procent wypadów, można jednak było w przyszłym roku zrobić uzupełnienia. Czy godziło się kobiecie uczonej rozprawić, że całe zło pochodziło od spermy jakiegoś docenta? Dlatego w Ministerstwie Romanikowa wygłosiła referat o doświadczeniach z zakładaniem plantacji, nie kryjąc trudności, ale i nie wspominając o spermie. „Za brak doświadczenia i naukę wszyscy musimy płacić” — tym zda-

Wielki las

(38)

ZBIGNIEW NIENACKI

nem zakończyła referat, tak zresztą jak to kiedyś przewidział Masłocha.

Nie zaprotestowała Romanikowa, kiedy nadleśniczego Masłochę awansowano służbowo do stolicy, co było marzeniem jego żony. Nie powiedziała ani słowa, gdy nadleśniczym został inżynier Tarchowski. O tym jego awansie na nadleśniczego dyskutowano nawet na wysokim szczeblu w urzędowym języku. Był leniwy i uważany za słabego w robocie, liczono więc na liczne donosy, przez które władze otrzymają wgląd w sprawy nadleśnictwa. On też zaczął się skarżyć na leśniczych i tak powstała równowaga, swoista biocenoza, ekosystem i klimaks urzędowy. Romanikowa wierzyła, że od Tarchowskiego łatwiej uzyska leśnika na plantację.

Z końcem września dostała list od Stęborka, że chciałby objąć plantację. Kazała mu się stawić w baraku w wyznaczony dzień o wyznaczonej godzinie wieczornej. Przed spotkaniem poszła aż nad jezioro i patrzyła jak wiatr, który się zerwał, podnosił na plantacji chmury piasku i obsypywał nimi zielonkawą fałę. O zmroku usiadła w baraku, zapaliła lampę naftową, rozłożyła na stole mapy, na których czerwonymi kółkami zakreślono miejsca po uschniętych drzewkach. Nie mogła uwolnić się od myśli o owym doceniku, który zamiast dokładnie zbadać głębokość zalegania próchnicy, zgłębiał pochwy swoich studentek. Ona, Romanikowa, w tak intymnym miejscu dłoni męskiej nie czuła chyba od czterech lat. „A przecież nie jestem stara” — konstatowała. Dlatego poprzedniego dnia poszła do fryzjera i kazała sobie uczynić wszystkie pasma siwych włosów na skroniach. Kilkanaście siwych włosów odkryła na swoim łonie, ale z fryzjerką trudno o takich sprawach rozmawiać. Jadąc przez las kazała kierowcy na chwilę zatrzymać wóz i przespacerowała się po linii działowej. Pachniało grzybami i butwiejącym drewnem, znowu zaskoczył ją bałagan leśny, chaszcze i krzewy splątane z pniami młodych buków w jakimś ogromnym miłosnym uścisku (czemu jej się wszystko teraz kojarzyło z miłością). Profesor Tara uczył ją porządku. W lesie musi być schudnie jak na plantacji. Drzewa powinny stać obok siebie jak żołnierze w kompaniach, pułkach, batalionach i dywizjach. Na czele tego wojska po liniach działowych i drogach przeznaczonych do wywozu drewna — widziała w wyobraźni leśników w zielonych mundurach z dystynkcjami generałów.

„Usłyszała łoskot silnika starego motocykla i po chwili do baraku wszedł szcuple, wysoki leśnik. Jego twarz jej się nie spodobała, za bardzo przypominała pyszczek liska. Nie podobał jej się także jego uśmiech, który właściwie nie był uśmiechem tylko jakimś ciągłym skrzywieniem ust.

— To pan jest Stęborek? Spóźnił się pan — oświadczyła opryskliwie, związując mapy na stole.

— Nie mogłem przyjechać wcześniej. Padło na mnie podejrzenie, że podpaliłem tartak sąsiadom. Wszystko się pomyśliście wyjaśniło, winna okazała się źle założona instalacja elektryczna.

Mówił prawdę. Gdy znalazł się w komisariacie w Bartach i przyprowadzono do niego Łukę i Kozusznika, taką zobaczył rozpacz na ich twarzach, że ogarnęła go przegromna radość, jaką zwykle odczuwał, gdy widział cudze nieszczeście. Przeniknęło go współczucie dla Łuki i Kozusznika, zupełnie zapomniał jak ich nienawidził, ponieważ zbudowali tartak pod jego leśniczkówką. Zaplał skłócić nad ich nieszczęciem, a potem rzucił się im w ramiona i kłął wraz z nimi. Objawiły się w nim głębokie pokłady aktorstwa, zresztą już naprawdę nie wierzył, że podpalił tartak. To była wina złej instalacji elektrycznej, przecież to kołowej instalacji zaczęło się najpierw palić. Płakał tak szczerze, że Łuka objął go i zaplał razem z nim, a potem przytulił się do nich Kozusznik. W istocie owa rozpacz Stęborka wydawała się głęboka (i zapewne była taka, skoro Stęborek nie wierzył, że podpalił tartak), że zwolniono Stęborka z aresztu. Łuka i Kozusznik mieli zresztą otrzymać wysokie odszkodowanie i znowu postawili tartak na tym samym miejscu. Stęborek nie chciał o tym myśleć, tymczasem napawał się ich nieszczęciem i jadąc do domu powtarzał sobie: „Jestem szczęśliwy, szczęśliwy, szczęśliwy”. Romanikowa nie rozumiała, że uśmiech na jego twarzy był wyrazem jego poczucia szczęścia.

— Pan, panie Stęborek, chce zająć się plantacją. Tak napisał pan do mnie w swoim liście. Ale bym nadleśniczym Masłocha opowiadał mi, że w pańskim leśnictwie jest najwięcej wypadów. Pan nie lubi lasu i las pana nie lubi.

— Tak nie wolno oceniać pracy człowieka — odparł Stęborek. — To nie jest naukowe podejście. Masłocha i inni są pełni rozmaitych leśnych zabobonów.

— Wszystkie modrzewia na uprawie pan utracił... — Nieprawda. Jeden modrzew żyje. Jest już duży. Trzyletni. Ja wierzę w naukę, w wiedzę, pani doktor. Oni chcieli mnie zmusić do różnych strasznych rzeczy, lecz ja nie chciałem się zgodzić. — Do czego chcieli pana zmusić? — Stęborek zawał się. Czy miał prawo zwierzać się ze swoich najintymniejszych przeżyć? Czy jednak bez całkowitej szczerości otrzyma plantację od Kuleszy? — Powiedzieli, że muszę iść z żoną na uprawę i tam ją zerznąć.

— Pan się wyraża wulgarnie — powiedziała Romanikowa i ocknęła się w niej podniecająca ciekawość. — I co pan zrobił?

Opowiedział jej dokładnie jak zabrał Malwinę do lasu, jak ją zaprowadził na małą polankę, kazał jej ściągnąć majtki i ona je opuszczała do połowy ud. A wtedy mu się zrobiło jej żal i poczuł wstyd.

— Tak, tak, tak — pomrukiwała Romanikowa, zafascynowana rozgrywaną się w jej wyobraźni wizją tej sceny. — A jaka jest pana żona?

— Ładna.

— Nie o to pytam. Jakie ma uda, brzuch, piersi...

— Uda ma chude, brzuch obwisły z rozstępami po dziecku, piersi...

— Dość — oświadczyła Romanikowa, bo poczuła wstyd do tamtej kobiety. — Nietrudno się domyślić, że pan lubi kobiety tęgie, z grubymi udami.

— Ja ją kocham — rzekł z mocą Stęborek. — I nie wierzę w zabobony. Nie tego mnie uczono na studiach. Pani reprezentuje naukę, dlatego sądziłem, że pani mnie zrozumie.

Romanikowa zamyśliła się. Wspomniała swojego profesora Tara, jego nauki, jego pieczyoty.

— Las, w którym pan pracuje, panie Stęborek — powiedziała po chwili — to wielki chaos, bałagan, ogromne rumowisko drzew. A ja uczyłam się u profesora Tara. On uważał, że w lesie musi być porządek, pan mnie rozumie. Tak! Tak jak na plantacji. Drzewo od drzewa w odpowiedniej odległości. Być może otrzyma pan tę plantację i dom po Kuleszy, bo jak mi pan napisał w swoim liście, w pana domu rozpanoszył się grzyb. Przeszkadza też panu tartak.

— Tartak się spalił.

— To nic. To nie ma znaczenia — przerwała mu zmierzwiłona. — Ta plantacja potrzebuje mężczyzny. Prawdziwego mężczyzny. Profesor Tara wiedział, co lubię i jak ze mną postępować. Był bardzo delikatny.

— Ja też jestem delikatny — zapewnił ją Stęborek.

Przełknął głośno ślinę. Miał przecucie grozy. Ta kobieta, wielka i gruba, tak dziwnie do niego mówiła, tak dziwnie na niego patrzyła. Zdawało mu się, że dostrzega w jej oczach jakąś ogromną zachłanność, jak gdyby go pragnęła połknąć. Chciał uciekać, tylko, że coś go trzymało bardzo mocno, być może nawet pragnienie spotkania się z ową grozą. Choć myślał inaczej; trzeba się poświęcić, aby otrzymać plantację i suchy dom dla Malwiny.

Romanikowa zdumiała pływając w lampie naftowej i w baraku zrobiło się ciemno. Usłyszał jak ta kobieta ciężko sadowi się na stole.

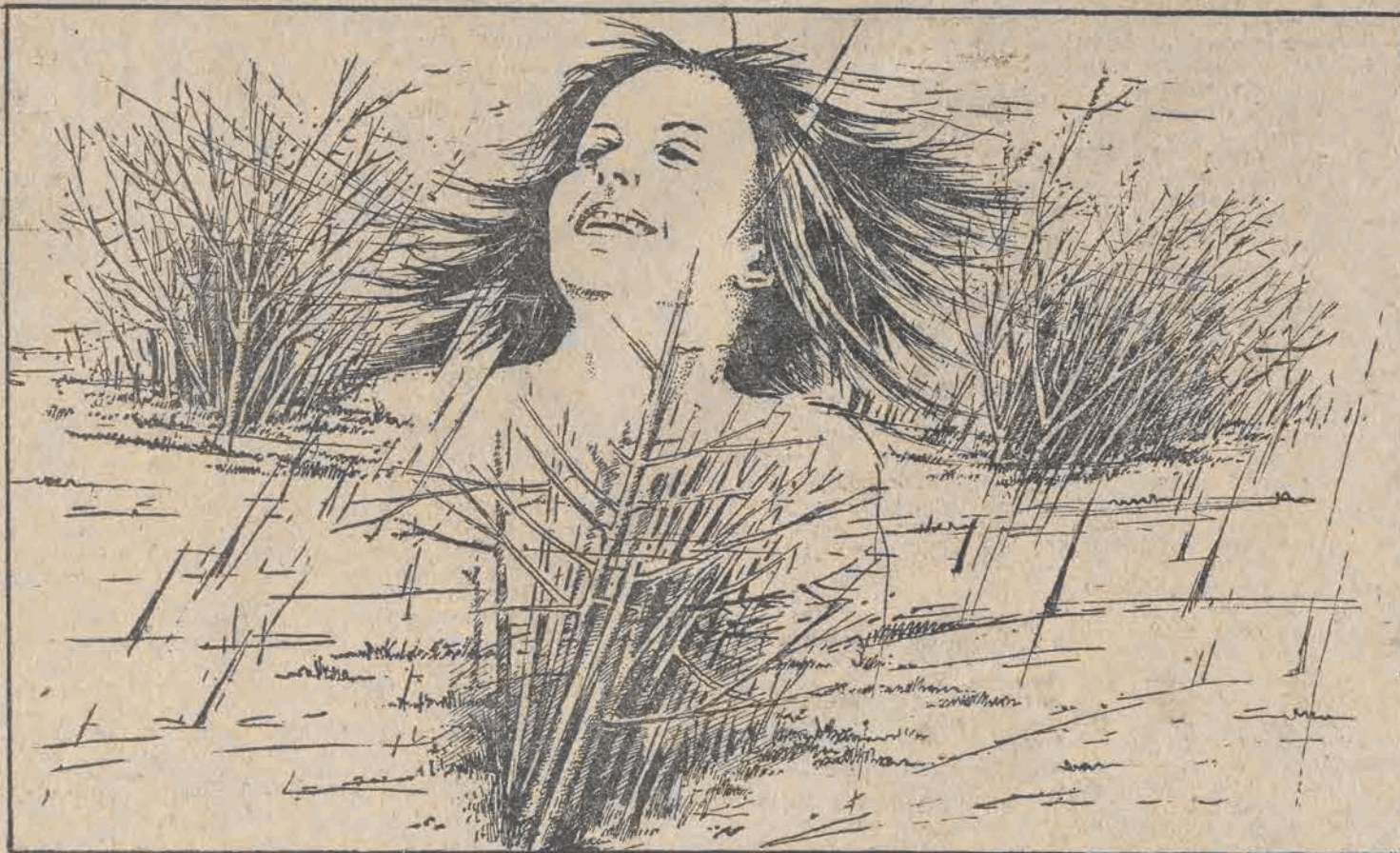
— Profesor Tara zawsze kładł mi głowę między uda i dotykał mnie wargami — dobiegł go ścisły, głuchy głos Romanikowej.

Ukłękł i włożył głowę między jej tłuste uda. Malwina nigdy mu tego robić nie pozwalała, twierdziła, że to ją hańbi. Uda Romanikowej buchały gorącym, poczuł ostre zapachy jej kroczu i ogarnął go wstyd. Nigdy go tak nie upokorzono, nigdy nie żądano od niego czegoś takiego dla osiągnięcia korzyści. Czy to była kolejna ofiara, jaką musiał ponieść dla wielkiego lasu? Jaką jeszcze zbrodnię polecał mu uczynić, aby go las pokochał?

Czuł, że nagie gorące uda Romanikowej niemal parzą mu policzki. Zarazem jednak mimo wstępu i złości na tę kobietę za jej straszne żądanie nieoczekiwanie nabrzmiał mu członek w spodniach i stał się sztywny aż do bólu. Przed oczami zawirowały Stęborkowi czerwone kęgi, chwycił Romanikową za wielki przód sukni, uniósł ją ze stołu, rzucił na podłogę, zaczął szarpać na niej wełnianą suknię aż obnażył jej miękkie i szerokie jak talerze piersi. „O Jezu, Jezu, Jezu” — jęczała pod nim Romanikowa, a on szarpiał ją i gryząc w szyję, wpełznął w jej wilgotne wnętrza swojego członka. Dysząc ciężko spełnił się w niej z niezwykłą rozkoszą. I zaraz, jeszcze mając pod sobą pulchne duże ciało, ogarnął go wstyd. Poderwał się z podłogi, schował w rozporek mokrego członka i wybiegł z baraku. Dopadł harleya i wyjechał z plantacji mimo że czerwone kęgi od czasu do czasu pojawiały mu się w oczach. W końcu musiał zatrzymać się. Zgasił silnik, wprowadził motocykl między drzewa i usiadł, ocierając chusteczką spocone czoło i zamykając oczy. Dlaczego nigdy tak mocno rozkoszy nie przeżył z Malwiną? Miał świadomość, że nienawidził grubej Romanikowej. Co gorsze jednak — chciał żeby to się w przyszłości powtórzyło.

W ciemnym baraku Romanikowa z trudem podniosła się z nie malowanych desek drewnianej podłogi. Cały przód wełnianej sukienki miała podarty na strzępy. Stęborek wydawał jej się jakimś potworem. Mimo tego czuła satysfakcję, że wzbudziła w nim aż takie pożądanie. „Będzie dobrym opiekunem plantacji” — pomyślała, siadając na ławce i odpoczywając. Pomyślała również, że przecież stało się coś dobrego. Ta plantacja da owoce, bo choć nauka nie mówi o czymś takim, dobrze jest sprzągnąć się z kobietą tam, gdzie się zasadzi młode drzewa.

CDN



Rys. Janusz Szymański-Głano